



PRZEDŚWIT

GH. Q. YARBRO

Chelsea Quinn Yarbro

PRZEDŚWIT

False Dawn

Tłumaczenie: Zbigniew A. Królicki

I

Najwięcej ciał leżało w pobliżu silosu i zbiorników, gdzie pod koniec wycofali się obrońcy. Przyparci przez Piratów do Sacramento, zostali wybici do nogi. Wśród kilku ciał Piratów Thea zobaczyła policjanta w wyjściowym mundurze. Gliny w końcu przeszły na drugą stronę...

Ostrożnie, z uwagą poruszała się wśród fetoru rozmamłanych i ograbionych trupów. Nie przeżyłaby swoich 26 lat, gdyby była lekkomyślna. Podążając na wschód, dotarła po zmroku do Chico — a raczej do tego, co z miasta zostało. Piraci zemścili się tu na nielicznych pozostałych mieszkańcach. Wiatr kołysał trupami straszliwie okaleczonych mężczyzn, powieszonych za nogi na latarniach. Były tam również kobiety.

Jedna z nich żyła jeszcze. Jej nagie zmalretowane ciało zwisało z połamanej tablicy ogłoszeń. Sznury przytrzymywały jej rozłożone szeroko nogi. Miała wielkie sińce na twarzy i piersiach, zakrwawione uda i brzuch, i była napiętnowana dużą literą M — Mutant.

Kiedy Thea podeszła bliżej, kobieta targnęła się w więzach i wybuchnęła śmiechem, który zakończył się wstrząsającym skowytym.

Nie pozwól, żebym tak skończyła — pomyślała Thea, patrząc na spazmatyczne ruchy bioder. — Nie tak.

Coś poruszyło się na ulicy i Thea zamarła. Nie mogła biec, nie dając się jednocześnie zobaczyć i nie mogła czekać, jeśli to byli Piraci. Ruszyła, powoli wtapiając się w cień wypatroszonego budynku. Znikając w ciemności, czujnie obserwowała ulicę.

Stworzeniami, które się pojawiły, były psy, chude i wynędzniałe, z czerwono nabiegłymi ślepiami i zjeżoną sierścią. Thea widziała je wiele razy i wiedziała, że szukają żeru. Właśnie go znalazły.

Największy pies zbliżył się na ugiętych łapach do kobiety, skomląc cicho. Dосkoczył i ugryzł ją w nogę. Kobieta zaśmiała się tylko przeciągłym, rehotliwym śmiechem. Ośmielony, pies skoczył do niej ponownie, odgryzając bardziej zdecydowany kęs. Odpowiedziało temu szarpnięcie i wrzask, po którym nastąpił wybuch śmiechu. Pozostałe psy

nabrały odwagi. Zaatakowały wszystkie, doskakując do nóg i stóp kobiety, odgryzały spore kawałki ciała. Nie napotykając żadnego oporu stawały się jeszcze śmielsze. Thea spoglądała na to w milczeniu, zakładając bełt do swej topornej kuszy. Wycelowała starannie i nacisnęła spust. Wysoki, łkający śmiech urwał się nagle i zakończył bulgoczącym westchnieniem, gdy pocisk wbił się w szyję kobiety. Ciszę przerywało teraz tylko warczenie psów. Thea oddalała się cienistą aleją, pozostawiając stado za sobą.

— Zupełnie o tym zapomniałam — powiedziała do siebie. — Będzie teraz więcej psów. I szczurów — pomyślała po chwili.

To nie była mutantka — rozważała, nie mogąc zapomnieć o kobiecie. — Ona była po prostu zdrowa. Wolała się nie zastanawiać nad tym, co Piraci zrobiliby z nią, tak zmienioną genetycznie. Odgłosy psów ucichły w oddali, wśród pustych, zaśmieconych ulic. Tu i tam widziała sterty ciał, niekiedy zabitych w walce, czasem zamęczonych na śmierć. Wielu nosiło piętno „M”. Dwukrotnie widziała oznaki neoleprozy: oślepe twarze o skórze łuszczącej się i przybierającej srebrną barwę, co odróżniało nową chorobę od starej. Jednak w przeciwieństwie do starej, nowa odmiana była naprawdę zaraźliwa. Piraci z pewnością zabrali ją ze sobą.

Thea potarła swą ciemną, grubą skórę, od dawna opaloną na czerwono-brązowo. Do tej pory miała szczęście i oparła się większości nowych chorób, lecz wiedziała, że w końcu szczęście nawet ją opuści. Nawet jeżeli znajdzie Osadników Złotego Jeziora i zostanie przez nich zaakceptowana.

Po przeszło godzinie marszu zostawiła Chico za sobą, zmierzając wciąż na wschód przez spustoszone pola i bagniska. Ostatnie rośliny z trudem wyostały się z ziemi i ich łodygi wiły się pod nogami jak wielkie, mokre węże. Nad bagniskami wisiała silna fosforescencja nie dająca ani światła, ani ciepła. Thea nie знаła przyczyny tego zjawiska i wolała się nie zbliżać. Od czasu klęski Sacramento cztery lata wcześniej, dolina przestała być bezpiecznym miejscem. Zanim rozsypały się tamy, był tu raj w porównaniu z rozciągającymi się dookoła skażonymi terenami.

Teraz z delty cuchnącego trzęsawiska powoli rozszerzające się skażenie postępowało w górę rzeki.

Thea potknęła się o coś — zobaczyła pod nogami zdechłego kota. Zwierzęta znalazły go wcześniej, miał wygryziony bok i puste oczodoły, lecz jego futro wciąż wyglądało zdrowo. Potrząsnęła głową ze smutkiem. Pochylając się nad martwym kotem, zobaczyła ze zdziwieniem, że jego przednie łapy miały brunatno-pomarańczowy kolor zregenerowanej tkanki. Może uległ mutacji w wyniku działania wirusa, tak jak ona. A może właśnie złapał jakiegoś wirusa. Mógł złapać różne rzeczy. Jeszcze raz potrząsnąwszy głową, przykryła małe ciało kilkoma gnijącymi łodygami, wiedząc, że to pusty gest. Ziemia stawała się coraz bardziej podmokła, a stare łodygi zrobiły się ohydnie lepkie i kleiste. Thea rozejrzała się, szukając pewniejszego gruntu i zobaczyła tłusty nurt rzeki wijącej się w bladym świetle księżyca. Po drugiej stronie ciągnął się puchowy dywan skarłowaciałego sitowia. Zasłoniwszy oczy błonami mrużnymi, Thea opadła na czworaki i ruszyła naprzód, trzymając kuszę w pogotowiu. Nadrzeczne tereny niebyły przyjaznym miejscem. Thea usłyszała świnię ryjącą przy brzegu i zatrzymała się. Te świnię, które jeszcze żyły, były głodne i niebezpieczne. W końcu świnia wygramoliła się z wody i Thea poczłapała dalej.

— Jedyna korzyść z Klęski — pomyślała, zanurzając się w cuchnącej wodzie — to to, że zabiła większość insektów.

Dotarła do sitowia i ukryła się w nim. Było to niezłe schronienie — aż do świtu, kiedy będzie musiała poszukać wyżej położonego gruntu. Znalazła mały pagórek i zwinęła się na nim do kilkugodzinnego snu. Świt sprowadził nad rzekę więcej zwierząt i dwóch poszukujących żywności Piratów, którzy przejechali obok w swych zmodyfikowanych pojazdach. Mieli karabiny i trzema strzałami położyli dwa zwierzaki: świnię i bardzo starego konia ze złamaną nogą.

— Dalej! Bierz je! — pohukiwał Pirat w pierwszym wozie. — Pomóż mi, ty zasmarkany, pieprzony mutancie!

Pierwszy krzyknął:

— Montague ciebie wyznaczył do noszenia na ten tydzień, a Cox tego nie zmienił. Nie ja miałem robaki w prowiancie.

Parsknął drwiąco i zapuścił motor.

— Wiesz, co będziesz musiał zrobić, jeżeli zmarnujesz paliwo — powiedział wesoło ten od noszenia.

— Wypluj to! — krzyknął pierwszy ze strachem w głosie. — Nie chcę słuchać twojego krakania. Mogę cię zaraz tu zostawić.

— Wtedy na ciebie spadnie noszenie — przypomniał drugi lakonicznie i dodał: — W każdym razie Cox mówi, że Montague nie żyje.

— On i jego ochrona — powiedział ten na brzegu tak, jakby to było przekleństwo. — Próbowali powstrzymać Wilsona i mnie, kiedy wyciągnęliśmy tego małego mutanta z piwnicy. Powiedział, żeby puścić go wolno. Głupiego mutanta! Ten Montague zwariował.

Zapadło milczenie przerywane jedynie warkotem silnika i odgłosem wleczenia martwych zwierząt po błocie. Thea kuliła się w sitowiu, ledwie ośmielając się oddychać. Widziała Cloverdale po tym, jak splądrowali je Piraci w czasach, zanim Montague zjednoczył ich pod tym ironicznie brzmiącym hasłem: „Przeżyć”.

— Jedno z głowy — powiedział pierwszy.

— Ugryź się w dupę!

Znów zapadła cisza. Nagle taszczący zwierzę mężczyzna wydał dziki wrzask.

— Co jest? — dopytywał się ten w wozie.

— Pająki wodne! — krzyczał ten drugi z przerażeniem. — Całe tuziny!

Z jego gardła wydobył się straszliwy ryk. Skulona w sitowiu Thea patrzyła z lękiem w oczach. Nawet ona musiała się wystrzegać pajaków wodnych. Jeszcze bardziej przyłgnęła do wilgotnej ziemi, szukając wokół twardych, błyszczących pancerzy tych stworzeń i ich długich, haczykowatych szczęk sączących paraliżujący jad. Trzy ukąszenia zabijały w niecałe dziesięć minut. Tuzin — i nie było żadnej szansy. Rozdzierający wrzask urwał się nagle i niebawem bezwładne ciało przepłynęło obok razem z pajakami wspinającymi się po twarzy do oczu.

Thea odwróciła wzrok. Na drugim brzegu silnik kaszlnął i zaświstał, gdy pozostały Pirat odjeżdżał z nadmierną szybkością. Thea zaczęła, aż ciało zniknie za zakrętem rzeki i wyszła z kryjówki. Pobiegnęła przez nastroszone poszycie, nie zważając na Piratów czy pająki. Kolana miała jak z waty, a strach odebrał jej rozsądek. Biegła jak szaloną, aż znalazła się na suchym gruncie — wtedy stanęła zdyszana. W ciągu tych kilku minut oddaliła się prawie o pół mili od rzeki i zostawiła za sobą szeroki ślad w poszyciu. Nie było się czym martwić — taką bruzdę mogło zostawić jakieś zwierzę. Jednak obecność myśliwych świadczyła, że Piraci są jeszcze w pobliżu, być może obozują gdzieś niedaleko. Jeżeli Montague nie żyje, jak mówili mężczyźni, których podsłuchiwała, to będzie wiele zmian u Piratów. Montague był upartym, bezkompromisowym człowiekiem, ale wielu mówiło, że jest sprawiedliwy. Jeżeli to, co widziała w Chico, świadczyło, jaki będzie Cox... Musiała się stąd oddalić, inaczej skończy jak ta kobieta na tablicy ogłoszeń. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Domyślała się, że Piraci obozują nad rzeką, blisko miasta, więc kryjąc się wśród drzew, ruszyła w przeciwną stronę, na południowy wschód. Karłowate dęby pousychały już dawno w wyniku zatrucia wód gruntowych, lecz odporniejsze od nich drzewa owocowe, przyzwyczajone do chemikaliów, wyrosły wysoko, pokrywając wzgórze jak wodorosty, rodząc niejadalne owoce.

Thea wiedziała, że jeżeli będzie zmuszona, może wspiąć się między gałęzie i kłaść jednego Pirata po drugim z kuszy — dopóki jej nie zabiją. To by im zabrało trochę czasu.

Do południa oddaliła się o kilka mil od Piratów. Za sobą pozostawiła rzekę toczącą tłuste, brązowe wody — to umierało wschodnie rozwidlenie Sacramento.

Właśnie wtedy zobaczyła prymitywny silos. Jakiś farmer ze wzgórz, prawdopodobnie jeden z dawnych komun, wybudował tu silos, by przechowywać swoje ziarno. Budowla stała, przekrzywiona, zardzewiała, lecz sucha i bezpieczna. Doskonałe schronienie na noc, a może nawet baza na parę dni, byłby to dobry punkt do wypadów na wzgórze i poszukiwań najlepszej drogi do Złotego Jeziora.

Ostrożnie okrążyła silos, szukając wejścia i zagrody, która kiedyś musiała tu być. Budynki okazały się tylko wypaloną skorupą. Jedyne silos pozostał z farmy składającej się kiedyś z domu, kurnika i stodoły. Thea pokiwała głową ze smutkiem i szarpnięciem otworzyła drzwi.

W następnej chwili odskoczyła w tył.

— Głupia, głupia! — powiedziała na głos. — Głupia!

W silosie był mężczyzna i machał czymś do niej. Zła i rozczarowana zaczęła uciekać.

— Nie! Nie! — ścigał ją głos. — Nie uciekaj! Zaczekaj! To moja ręka! Wołał coraz głośniej.

Thea zatrzymała się. Jego ręka?

— Co? — krzyknęła, oglądając się za siebie, gotowa podjąć ucieczkę.

— To moja ręka. Odcięli ją — słowa odbiły się niesamowitym echem od falistych ścian silosu. — W zeszłym tygodniu. Chyba.

Zawróciła z powrotem.

— Kto to zrobił?

— Piraci. W Orland, po drugiej stronie rzeki. Piłą mechaniczną. Osłabł i słowa wydobywały się nieregularnie z jego ust.

— Dotarłem aż tutaj.

Stała w wejściu, patrząc na leżącego.

— Dlaczego jej nie wyrzuciłeś? Nabrał tchu.

— Szukali człowieka z jedną ręką, więc zaszyłem ją w rękawie kurtki — przerwał na chwilę, po czym zakończył: — Nie mogę iść dalej. Potrzebuję pomocy.

Zignorowała to i rzuciła spojrzenie na leżącą na podłodze silosu rękę.

— No, lepiej ją zakop.

Ich spojrzenia spotkały się.

— Nie mogę — powiedział.

Thea przyjrzała mu się uważnie. Był od niej starszy przynajmniej o piętnaście lat, o krępym ciele wychudłym z głodu i cierpienia. Jego szeroką, wyrazistą twarz przecinały liczne zmarszczki i brudne smugi. Ubranie miał podarte i ubłocone, ale widać było, że kiedyś musiało być eleganckie.

— Jak długo tu jesteś? — zapytała.

— Myślę, że dwa, może trzy dni.

— Och! — sądząc ze stanu ręki miał rację. Wskazała na kikut. — Jak z tym? Zakażenie? Czujesz coś? Zastanowił się.

— Chyba nie ma zakażenia. Jeżeli, to niewielkie. Swędzi.

Pominęła to na razie.

— Próbowałem przedostać się w góry.

Thea rozważała to, powodowana pierwszym impulsem chciała uciec i zostawić tego mężczyznę własnemu losowi. Jednak zawahała się, widząc w niebieskich oczach mieszaninę nadziei i niedowierzania. Pomyślała o Złotym Jeziorze, tak odległym, i wiedziała, że trudno będzie się tam dostać.

— Mam lekarstwo — powiedziała podejmując decyzję. — Mogę ci trochę dać. Nie wszystko, bo sama mogę je potrzebować. Jednak troszkę mogę ci dać.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem na wymizerowanej twarzy.

— Dziękuję — powiedział, nienawykły do wielu słów.

— Mam parapenicylinę i niedużo sporomycyny. Co chcesz?

— Penicylinę.

— Później dam ci trochę witaminy C — dodała, wchodząc do silosu i patrząc w zamyśleniu na kikut ramienia. Rana była zainfekowana, ale oczyściła się sama i skóra miała brązowo-pomarańczowy kolor regenerującej się tkanki.

— Jesteś mańkutom?

— Tak.

— Masz szczęście.

Zdjąwszy kuszę z ramienia i schowawszy bełty w bocznej kieszeni plecaka, postawiła go na podłodze, niezbyt blisko mężczyzny. Miał jeszcze jedno dobre ramię i potwierdził, że jest mańkutom.

— Jak się nazywasz? — zapytała grzebiąc w plecaku.

— Seth Pearson — odpowiedział po lekkim namyśle. Spojrzała na niego przenikliwie.

— Na kołnierzyku kurtki jest napisane David Rossi. To jak?

— To bez znaczenia. Które ci się lepiej podoba.

Zbladł i w jego cichym głosie pojawiło się znużenie. Thea odwróciła wzrok.

— W porządku. Zrobimy to tak, Rossi — podała mu przybrudzone, lecz nietknięte opakowanie. — To jest parapenicylina. Będziesz musiał ją zjeść, bo nie mam strzykawki.

Później dodała:

— Ma okropny smak. Masz — podała mu krótki, płaski kawałek suszonego mięsa. — Dziczyzna i przyprawy. To zabije smak.

Położyła swój plecak między nimi i usiadła. Kiedy mężczyzna zdołał wmusić w siebie białą maź, powiedziała:

— Jutro idę na wschód. Możesz iść ze mną, jeżeli utrzymasz się na nogach. Przed nami jest jeszcze jedna niebezpieczna rzeka, może trzeba będzie ją przepłynąć. Jest głęboka i rwąca, więc lepiej namyśl się dobrze.

Nie oczekiwała odpowiedzi. Wyjęła dwa następne kawałki suszonego mięsa i zjadła je w skupionym milczeniu.

Północny wiatr przeszywał ich na wskroś, słońce świeciło jasno, lecz nie dawało ciepła. Stopniowo zbocze stawało się coraz bardziej strome. Szli coraz wolniej, nic nie mówiąc i czujnymi spojrzeniami obrzucając krzaki porastające stok. Wczesnym popołudniem dotarli do powalonych, rozsypujących się pni wielkich sosen, które padły ofiarą smogu. Stopami wzbijali pióropusze pyłu, gryzącego w oczy i zmuszającego do kichania. Mimo to pieli się w górę.

Pochód stawał się coraz wolniejszy, aż byli zmuszeni przystanąć na chwilę pod osłoną dużego pnia. Rossi chwycił ręką połą swej podartej kurtki, usiłując chronić Theę i siebie przed wiatrem.

— Wszystko w porządku? — zapytała Thea, gdy chwyciła oddech. — Jesteś blady.

— Tylko trochę się zasapałem — kiwnął głową. — Jestem... jeszcze słaby.

— Taak... — powiedziała, spoglądając ukradkiem na kikut, który przybrał ciemniejszą barwę. — Widzę, że ci lepiej.

Chciał coś powiedzieć, gdy lawina pyłu osunęła się pod jego stopą. Chwycił Theę za ramię, broniąc się przed upadkiem.

— Nie rób tego! — cofnęła się.

Odzyskawszy równowagę, spojrzał na nią z niejakim zdziwieniem.

— Czego? — zapytał łagodnie.

— Nie dotykaj mnie! — obronnym ruchem chwyciła za kuszę. Jego twarz przypominała jej pełną nienawiści twarz Pirata nad rzeką.

Zmarszczył brwi i w jego oczach pojawiło się zakłopotanie, później jego czoło wygładziło się.

— Nie będę.

W tych słowach zawarł wiele zrozumienia. Znał świat, w którym żyła Thea, nie gorzej od niej. Wyzywająco poprawiła kuszę, nie spuszczając mężczyzny z oka.

— Strzelam z niej naprawdę szybko. Pamiętaj o tym.

Chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył.

— Stójcie w miejscu! — nadbiegł z tyłu głos.

Nie poruszając się, wymienili szybkie, przestraszone spojrzenia.

— Tak, dobrze.

Wzbijając kłęby pyłu, podszedł do nich młody mężczyzna w zniszczonym mundurze policjanta, przyciskając do piersi karabin.

— Wiedziałem, że was złapię — rzekł głośno do siebie. — Szedłem za wami od rana.

Thea przysunęła się do Rossiego.

— Przyszliście z Chico, no nie? — wskazał mężczyznę lufą karabinu.

— Nie.

— A ty? — zapytał Theę.

— Nie.

Spojrzał ponownie na Rossiego i na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech.

— Co z tobą... Rossi, tak? Na pewno nie przechodziłeś przez Chico? Słyszałem, że faceta nazwiskiem Rossi zabito pod Orland. Jeden z ludzi Montague'a, ten Rossi.

— Nic o tym nie wiem.

— Mówili, że próbował ratować Montague'a, kiedy Cox przejął władzę. Wiesz coś o tym... Rossi?

— Nie.

Młody mężczyzna roześmiał się.

— Hej, nie kłam, Rossi. Jak będziesz kłamał, to cię zabiję.

Stojąc w cieniu, Thea powoli zakładała bełt do kuszy, usiłując nie zwracać na siebie uwagi.

— I tak nas zabijesz, więc co to za różnica? — pytał Rossi.

— Słuchaj... — zaczął policjant. — Co to jest? — zapytał patrząc prosto na Theę. — Co tam robisz?

Wyciągnął rękę i chwyciwszy dziewczynę za ramię szarpnął, przewracając ją na ziemię.

— Ty dziwko!

Kopnął ją wściekle w ramię — tylko raz, bo Rossi znalazł się między nimi.

— Odejdź!

— Nie. Jeżeli chcesz, żebym się odsunął, będziesz musiał mnie zabić.

Policjant wahał się chwilę, kurczowo ściskając czarny metal. Twarz wykrzywiła mu się konwulsyjnie. Nie odwracając się, Rossi zapytał Theę:

— Zranił cię?

— Trochę — przyznała. — Zaraz przejdzie.

— To twoja kobieta? Tak?

Rossi odwrócił się wolno, zmuszając mężczyznę z karabinem do odstąpienia.

— Nie. Ona nie jest niczyją kobietą.

Mężczyzna zachichotał w odpowiedzi.

— Założę się, że naprawdę tego potrzebuje, że się do tego pali.

Thea zamknęła oczy, by ukryć oburzenie i strach. Jeżeli ma być zgwałcona, użyta jak... Otworzyła oczy, gdy ręka Rossiego dotknęła jej ramienia.

— Spróbuj jeszcze raz takich głupich numerów, cipo, a skończę z tobą. Zrozumiałaś?

— Tak — wymamrotała.

— A co powie Ccx, gdy się dowie? — zapytał Rossi. Wciąż trzymał się między Theą a policjantem.

— Cox nic nie powie! — splunął pytany.

— Więc zdezerterowałaś — kiwnął znacząco głową Rossi, widząc winę wypisaną na twarzy tamtego. — Głupio zrobiłaś.

— Zamknij się! — przysunął się do nich. — Weźmiecie mnie ze sobą, obojętnie gdzie idziecie. Jeżeli wpadniemy na kogoś, albo złapią nas w pułapkę, rozwalę was. Kapujecie? No!?

— Śmierdzisz — powiedziała Thea.

Przez chwilę w młodych, twardych oczach pokazała się złość, później chwycił ją jedną ręką za brodę.

— Nie, jeszcze nie — zacisnął chwyt, wpijając mocno palce. — Jeśli chcesz tego, to będziesz musiała poprosić. Będziesz musiała wycisnąć to ze mnie.

Spojrzał wyzywająco na Rossiego.

— Dobrze?

— Puść ją.

— Ty ją chcesz?

— Zostaw ją.

— W porządku — powiedział policjant, lekko kiwając głową. Cofnął się o krok. — Później, co? Kiedy to sobie przemyślisz.

Rossi spojrzał na mężczyznę.

— Będę blisko, Thea. Tylko krzyknij.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie. Thea najchętniej uciekłaby od obydwu, schroniłaby się w umierającym lesie. Jednak nie mogła uciekać po otwartym stoku. Ostrożnie rozmasowała ramię i stanęła u boku Rossiego.

— Masz lepszy wybór — kpił policjant. — Nazywam się Lastly. Możesz mnie tak nazywać, dziwczaku. Nie nazywaj mnie inaczej.

Nic nie odpowiedziała, spoglądając w górę zbocza. Rossi powiedział cicho:

— Nie próbuj teraz. Później, kiedy będziemy osłonięci i będę z nim walczył.

Spojrzała na niego z głębokim zdziwieniem.

— Naprawdę? Zrobiłbyś to?

Chciał coś powiedzieć, ale Lastly odepchnął ich od siebie.

— Nie chcę tego słyszeć. Macie nie szeptać, kiedy jestem w pobliżu. Słyszycie? Jak macie coś do powiedzenia, to mówcie.

— Chcę się wysikać — powiedział Rossi. Lastly znów zachichotał.

— O nie. Nie teraz. Nie można zostawiać śladów. Przynajmniej na razie, dopóki nie wejdziemy między drzewa. Musisz się wstrzymać, kapujesz?

Rossi wzruszył ramionami i poszedł jako pierwszy, wiodąc ich ku odległej linii butwiejącego lasu.

— Co to było? — Lastly skierował lufę karabinu w kierunku drżącego nad poszyciem lasu dźwięku. Rosnącą i opadającą nutą wśród drzew rozchodziło się wycie, samotne i straszne.

— Psy — rzekł bez ogródek Rossi. — Polują.

W głębokim, wieczornym cieniu rzadkie drzewa zdawały się zrastać ze sobą i otaczać troje ludzi wędrujących w mroku. Dźwięk powtórzył się — tym razem bliższy i wyraźniejszy.

— Gdzie są?

Thea rzuciła mu krótkie spojrzenie.

— Jeszcze daleko. Nie możesz do nich strzelać, dopóki się nie zbliżą.

— Musimy się stąd wydostać — powiedział Lastly ze strachem. Niespokojnie zacisnął dłonie na karabinie. — No nie? Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Rossi zerknął na ciemniejące niebo.

— Powiedziałbym, że mamy jeszcze godzinę. Później lepiej będzie wspiąć się na drzewa.

— Ale one są zbutwiałe — zaprotestował Lastly.

— Lepsze to niż psy — powiedział spokojnie Rossi. Jednak Lastly nie słuchał.

— Kiedyś były tu obozy, prawda? Musimy je znaleźć. Żaden pies nie zbliży się do obozowiska.

— Ty głupcze — głos Rossiego był beznamiętny, a zapadający mrok skutecznie ukrył wyraz jego twarzy.

— Bez gadania! Nie chcę tego słyszeć! — Lastly skierował broń na Rossiego.

— Lepiej obaj przestańcie — wtrąciła cicho Thea. — Psy mogą was usłyszeć.

Zapadła cisza. Po chwili Rossi powiedział:

— Thea ma rację. Jeśli będziemy cicho, może uda się nam znaleźć w porę jedno z twoich obozowisk.

— Więc ruszajcie się — powiedział pospiesznie Lastly. — Już!

Kiedyś, kiedy ludzie mieli jeszcze domki letniskowe, to był letni domek. Z jego okien roztaczał się dawniej widok na sosnowe lasy i żyzne pola doliny. Teraz stał na rozległej polanie otoczonej butwiejącymi drzewami, spoglądając w dół, na postępujące od rzeki skażenie. Dziwnym trafem szyby w oknach były wciąż całe.

— Możemy tu zostać — rzekł Rossi okrążywszy domek — z tyłu jest weranda i możemy tam zdjąć drzwi z zawiasów.

— Możemy przecież wejść przez okno — powiedział z zapalem Lastly.

— Jeżeli wybijemy szybę, psy też będą mogły wejść. — Kiedy policjant zrozumiał, Rossi ciągnął dalej: — Tyłem jest bezpieczniej. Będziemy mogli się zabezpieczyć.

— Wy oboje zdejmiecie drzwi — rozkazał Lastly, wskazując ganek lufą karabinu. — I pospieszcie się.

Gdy Thea i Rossi mocowali się z drzwiami, Lastly siadł okrakiem na resztkach ogrodzenia.

— Wiesz, Rossi, co Cox zrobił z tym Mutantem w Chico? Po prostu obdarł go ze skóry. Zobaczycie, że Cox pozbędzie się tych wszystkich Mutantów.

— Taak — odparł Rossi, mocując się z zardzewiałym zamkiem.

— Wiecie co? Montague chciał go uratować.

Wściekle kopnął nogą łamiąc sztachety tak, że parkan zachwiał się pod nim.

— Słyszałeś o tym, Rossi? Montague chciał ocalić Mutantów. Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? Co? Dlaczego prawdziwy człowiek miałby ratować Mutantów?

Rossi nie odpowiedział.

— Pytałem cię o coś... Rossi. Odpowiadaj!

— Może myślał, że tylko ich warto ratować.

Odwrócił się plecami do Lastly'ego i zajął się dolnymi zawiasami.

— A co z tobą, dziwczaku? Ratusz Mutantów? — machnął karabinem i prawie stracił równowagę. Stary płot zakołysał się i drewno zaskrzypiało z protestem.

Z głęboką odrazą w spojrzeniu Thea powiedziała:

— Tylko siebie, Lastly. Usiłuję się trzymać przy życiu.

— A co trzymasz dla mnie? Ja mam dla ciebie...

— Drzwi zdjęte — powiedział Rossi, odstawiając je na bok. — Możemy już wejść.

Myszy dostały się do domku, zjadły suszone owoce i mąkę przechowywane w obszernej kuchni. Na podłodze leżały powywracane puszki po kaszy i cukrze. Jednak zostały konserwy — jedzenie, które Thea ledwie pamiętała. Na ścianie wisiały garnki i patelnie, w większości zardzewiałe, lecz kilka emaliowych naczyń nadawało się do użytku. Piec stojący pod ścianą był opalany drewnem.

— Patrzcie — powiedział Rossi, wodząc oczami po szafkach i ich wspaniałej zawartości. — Wystarczy, by zrobić zapasy na drogę.

— Świetnie, cholera. Zaraz sobie podjem. Gorące żarcie, kąpiel i wszystko co trzeba.

Spojrzał chytrze na Theę i Rossiego.

— Dym może ściągnąć Piratów — powiedział Rossi z krzywym uśmiechem. — Pomyślałeś o tym?

— Jest noc, Rossi. Nie zjawią się tu wcześniej niż rano.

Thea obeszała kuchnię.

— Nie ma drzewa. Przynajmniej tu nie ma. Stół jest z plastiku.

Po chwili milczenia Lastly oznajmił:

— Słyszałeś, co pani mówi, Rossi? Nie ma drzewa. Przyniesiesz jej, prawda? Co?

— Ja pójdę — powiedziała szybko Thea.

— O, nie — zatrzymał ją lufą karabinu.

— Ale on nie da rady jedną ręką.

— Zajmie mu to trochę czasu, dziwczaku. Trochę czasu — oto czego mi trzeba.

— A może ty, Lastly? — zapytał pojednawczo Rossi. — Jesteś sprawny i masz broń.

— Żebyście zamknęli drzwi i zostawili mnie z psami? Nie ma głupich, Rossi. — Obszedł stół i pchnął krzesło w kierunku Rossiego. — Ty pójdziesz. Odpocznij trochę, zanim pójdziesz po to drzewo.

— Nie pójdę bez Thei.

Lastly wydał aż nazbyt dobrze im znany rechot.

— Sam masz ochotę, co? Ona ci nie da. Potrzebuje mężczyzny. Całego mężczyzny, Rossi. Nie ciebie.

Thea rzuciła Rossiemu błagalne spojrzenie.

— Pozwól mi się zamknąć w bocznym pokoju. Wtedy będziecie mogli iść we dwóch.

— Racja! — powiedział nieoczekiwanie Lastly. — Dziwczak ma rację. Zamkniemy ją i pójdziemy po drzewo, Rossi.

— Jeżeli tak chcesz, Thea.

Kiwnęła głową.

— Zobaczymy się później? — zapytał, głęboko zaglądając jej w oczy.

— Mam nadzieję — odparła. Czuła się bardzo zmęczona.

— Chodź, dziwczaku. Zamknę cię.

Lastly wziął ją za ramię i pociągnął za sobą w kierunku bocznego pokoju.

— Siedź tutaj — rzekł, wpychając ją do środka. — To twój buduar. Bądź miła i ciepła, kiedy przyjdę.

Trzasnął drzwiami i po chwili Thea usłyszała słaby zgrzyt zasuwanego rygla. Skulona siadła na materacu na środku sypialni. Wokół unosił się wilgotny zapach stęchlizny i małych zwierząt. Przez liczne

dziury z materaca wyłaziły kłęby włosów, czyniąc go jeszcze bardziej nierównym. Niska rama, na której spoczywał, załamała się w jednym rogu i siatka drutów zastępujących sprężyny protestowała jękliwie przy każdym ruchu dziewczyny.

Thea nasłuchiwała głosów mężczyzn, pragnąc uciec od nich jak najdalej. Jednak była krańcowo zmęczona i bezradna. Gdyby opuściła domek, znalazłyby ją psy — albo Piraci. Bolało ją ramię w miejscu, gdzie kopnął ją Lastly, a głód ścisnął jej żołądek jak żelazna pięść. W miarę upływu czasu zmęczenie brało górę. Powoli wyciągnęła się na materacu i zasnęła.

— Miałaś czekać. Mówiłem ci, żebyś się przygotowała — rozległ się nad nią chrapliwy głos. — Wiedziałaś, że wrócę.

Odwrócił ją brutalnie na plecy i przygniół swoim ciężarem. Na wpół śpiąca, Thea odpychała mężczyznę broniąc się rękami i nogami.

— Zamknij się! — warknął, wymierzając jej policzek. Gdy krzyknęła, uderzył ją jeszcze raz.

— Słuchaj, cipo! Jesteś moja. Myślisz, że oddam cię takiemu pieprzonemu kochasiowi Mutantów jak Montague? Co?

Przytrzymał jej ręce nad głową, wiążąc sznurem nadgarstki.

— W Orland daliśmy lekcję jemu i jego zboczeńcom. Słyszysz?

Naciągnął sznur, mocując go do wezgłowia łóżka.

— Teraz dostanę, co mi się należy. No nie?

Szlochając z wściekłości, Thea rzuciła się na niego, szczerząc zęby i kopiąc. Więzy wpiły się głęboko w jej ciało. Dławiła się z gniewu.

— Nic z tego — zachichotał Lastly. Tym razem uderzył ją pięścią w skroń i Thea upadła oszołomiona, walcząc z mdłościami. Jej palce zaciekle szarpały sznury.

— Bądź miła, cipo, bo będzie gorzej.

Obwiązał sznurem jej lewą nogę w kostce, a później prawą. Dwoma pociągnięciami rozchylił szeroko jej nogi i zamocował końce sznura pod materacem. Thea daremnie ciskała się w pętach.

— Leż cicho — powiedział, nachylając się nad nią. — Zrób to jeszcze raz, a zrobię ci krzywdę. Widzisz to? — zapytał podsuwając jej pod nos

nóż. — Wziąłem go z kuchni. Jest naprawdę ostry. Jak będziesz mi sprawiać kłopot, pokroję cię trochę. Aż nauczysz się grzeczności.

— Nie!

Nie zważając na to, Lastly rozciął jej kurtkę. Zerwał ją z niej i rozciął szwy jej skórzanych spodni. Gdy je ściągał, Thea szamotała się w więzach. W jednej chwili był na niej.

— Mówiłem ci.

Przyłożył jej nóż do piersi, chwytając sutkę między ostrze a kciuk.

— Mogę to zaraz wyłuskać, wiesz? Nacisnął mocniej. Ostrze zagłębiło się w ciało.

— Żadnych krzyków, cipo. Bądź cicho, albo ci utnę.

Pod wpływem przeszywającego bólu zasłoniła oczy błonami mrużnymi. Lastly zobaczył to.

— Mutantka! Cholera! Ty parszywa Mutantko!

W jego głosie słychać było triumfalną nutę. Thea krzyknęła głośno, gdy odciął sutkę. Krew oblała jej piersi. Lastly opuścił spodnie do kolan i jednym gwałtownym ruchem wszedł w nią. Wbijając się głębiej, powiedział ze śmiechem:

— Mutantka Montague'a. Zniszczę cię!

Padając na nią, zacisnął zęby na jej drugiej piersi. Krzyknęła. Podniósł głowę.

— Zrób to jeszcze raz, a odgryzę!

Dochodząc uderzył ją w twarz. W tej samej chwili coś szarpnęło go w tył i trzasnęło nim o ścianę.

— Ty nędzny ... — trzymając go za włosy, Rossi uderzył nim jeszcze raz o ścianę. Rozległ się głośny trzask i Lastly zwiotczał. Rossi stał nad nim, patrząc jak osuwa się na podłogę. Podeszedł do łóżka.

— O Boże, Thea... — powiedział. — Nie myślałem... Nie chciałem...tego.

Klęknął, nie dotykając jej.

— Przepraszam.

Zabrzmiało to, jakby przeproszał za cały świat. Delikatnie rozwiązał ją. Skuliła się na łóżku, wstrząsana cichym płaczem. W końcu odwróciła

się do niego, ze wstydem w oczach.

— Chciałam ciebie. Chciałam ciebie — powiedziała i odwróciła się znowu. Podniósł się zdziwiony.

— Mam tylko jedną rękę i wyznaczono cenę za moją głowę.

— Chciałam ciebie — powtórzyła, nie mając odwagi na niego spojrzeć.

— Nazywam się — powiedział bardzo cicho — Evan Montague.

Czekał, spoglądając gdzieś w dal przez wyłamane drzwi, przez ciemny pokój, gdzie paliła się tylko jedna świeca. Nagle poczuł jej dłoń na swojej ręce.

— Chciałam ciebie.

Popatrzył na nią, trzymając ją za rękę, nie śmiejąc jej objąć. Pociągnęła go na materac obok siebie, ale odsunęła się.

— Zranił mnie — powiedziała tępo.

— Próbowałem ocalić wszystkich, a nie zdołałem uratować nawet ciebie — szeptał ze skarga w głosie. Spojrzał na nią: na zakrwawione piersi, posiniaczona twarz i głębokie zadrapania na udach. — Wezmę trochę twojego lekarstwa i...

— Nie! — gwałtownie chwyciła go za rękę. — Nie zostawiaj mnie!

Spróbował się uśmiechnąć — bez powodzenia. Siedział koło niej, trzymając ją za rękę, podczas gdy Thea dygotała i krew powoli zasychała na jej piersi, aż w dali usłyszeli dźwięk silników, jak brzęczenie ula.

— Szukają go. Albo mnie — powiedział Montague. Kiwnęła głową.

— Musimy iść?

— Tak.

— A jeśli zostaniemy?

— Zabiją mnie. Cox chce skończyć to, co zaczął. Ciebie nie. Jesteś kobietą, Thea... i mutantką, prawda?

Zrozumiała i wstrząsnęła się spazmatycznie.

— Nie pozwól im! Zabij mnie. Zabij. Spal domek. Proszę!

Przerażenie w jej głosie zaalarmowało go. Podniósł jej palce do swoich ust i ucałował.

— Zrobię to. Obiecuję, Thea.

Nagle jego głos zmienił się. Zerwał się z materaca i zachwiał się lekko, stając na nogi.

— Nie. Wydostaniemy się stąd. Będziemy żyli tak długo, jak tylko się da.

Lastly znieruchomiał z cichym westchnieniem, jego głowa była odchylona pod dziwnym kątem.

— Chodź — powiedział Montague.

Thea podniosła się z trudem i oparła na jego ramieniu, aż osłabienie ustąpiło.

— Potrzebuję ubrania.

Rozejrzał się po pokoju, zobaczył komodę po przeciwnej stronie.

— Tam? — zapytał, podchodząc i wyciągając szuflady. Zawierały ubrania dla dzieci, ale Thea była tak mała, że mogła włożyć niektóre z nich. Z determinacją wcisnęła się w grube, płócienne dżinsy, ale odmówiła założenia swetra i kurtki

— Nie mogę — szepnęła.

— Tss — syknął. Warkot silników narastał.

— Zawiąż je na biodrach — powiedział, podając jej dwie koszule i kurtkę. — Będą ci potrzebne. Spojrzała z powątpiewaniem, ale wzięła rzeczy.

— Która godzina? — zapytała.

— Wczesna. Na wschodzie szarzeje.

— Musimy iść. Mój plecak...

— Zostaw go. Ani ty, ani ja nie możemy go nieść.

— Moja kusza...

— W kuchni. Załóż mi ją na ramię. Jeżeli ją napniesz, będę mógł strzelać. Ruszył w stronę kuchni, lecz silniki ryczały zbyt głośno, zbyt blisko.

— Nie tędy. Będziemy musieli zostawić kuszę.

— Broń będzie nam potrzebna — powiedziała z rozpaczą. Montague stanął i podniósł sznur.

— Mamy to. Będzie musiało wystarczyć.

Dźwięk silników narastał i słychać już było pojedyncze krzyki.

— Myślałem, że to jest sposób — rzekł z ironią. — Byłem głupcem. Podszedł do okna i otworzył je, potem zarzucił sobie sznur na ramię.

— Pójdziemy tędy. Prosto między drzewa.

— Evan! — krzyknęła, gdy zimne, poranne powietrze sięgnęło otwartej rany na jej piersi. — Evan!

— Dasz radę? Musisz! — powiedział, stając przy niej.

— Tak. Tylko wolno.

— Dobrze.

Wziął ją za rękę, czując ciepło jej palców mimo rannego chłodu.

— Na razie będziemy iść wolno.

Gdy wspinali się zboczem w mrok umierającego lasu, dźwięk silników i ludzkich głosów narastał, zagłuszając odgłosy ich ucieczki i płosząc dzikie psy, które z wyciem umknęły w dal — w chłodne, szare światło przedświt.

II

Zanim zatrzymali się na odpoczynek, zapadł zmierzch. Znajdowali się wysoko nad miastem, na szerokiej przeciniec, gdzie kiedyś przebiegała linia wysokiego napięcia. Niektóre słupy jeszcze stały, samotne jak porzucone zabawki. Inne leżały na ziemi, sypiąc srebrnymi płatami łuszczącej się farby.

— Tutaj — wydyszał Evan rwącym się głosem.

Thea zawróciła do niego, wymacując sobie drogę wśród powyginanych resztek metalowej konstrukcji.

— Gdzie? — spytała marszcząc brwi.

— Spójrz! — z trudem chwycił oddech, opierając się ciężko o starą rozpore. — Możemy narzucić na to trochę gałęzi i zostać tu na noc.

Pchnął ręką demonstrując solidność stalowej konstrukcji. Słup zaskrzypiał i jedna z rozpór wygięła się.

— Nie — powiedziała Thea odskakując. Zaalarmowany Evan również się cofnął.

— Może masz rację — przyznał — ale muszę odpocząć, Thea. Spojrzała na niego i pokiwała głową.

— Może znajdziemy inny domek? — zaproponowała.

— Nie, nie tutaj. Tu przychodzili tylko konserwatorzy linii. — Przez chwilę marszczył czoło.

— Konserwatorzy — powtórzył. — Konserwatorzy...

Ruszył dalej, kierując się ku skrajowi rdzawoczerwonego lasu. Ze sposobu w jaki szedł, Thea domyśliła się, że sprawia mu to trudność, widać to było w jego niepewnych ruchach i powolnym rytmie kroków. Tak jak i ona, do tej pory ukrywał swój ból.

— Evan, nie! — krzyknęła za nim, niezdolna wyrazić swych uczuć. Współczucie zbyt wiele zdradzało, nie powinna ujawniać swojej sympatii.

— Co? — zapytał z irytacją. Zatrzymał się, stając całym ciężarem ciała na jednej nodze, trzymając zgięty kciuk w zwojach liny. — Thea, jeżeli przychodzili tu konserwatorzy, to musieli gdzieś nocować. To oznacza

budkę lub domek. Jeżeli tak, to trzeba go szukać w pobliżu któregoś słupa, bo tu wykonywali większość swojej pracy. Jeśli tutaj niczego nie znajdziemy, będziemy szukać przy następnym.

Czekał niecierpliwie na jej odpowiedź.

— Może masz rację z tymi gałęziami. Myślę, że tak byłoby bezpiecznie.

W jej oczach znów pojawiła się rozpacz. Noc nadciągała ze wschodu i różowawy całun opadający na Dolinę Sacramento za ich plecami, prześwietlony zachodzącym słońcem, lśnił blaskiem jak jakiś egzotyczny metal.

— W domku byłoby bezpieczniej.

Jednak mówiąc to, już schodził z powrotem po stoku.

Gałęzie odłamywały się łatwo, sypiąc próchnem. W powietrzu rozszedł się żywiczny zapach: mdlący i lepki, zmieszany z kurzem zmuszającym do kichania i wyciskającym łzy z oczu. Jednak praca szła szybko i wkrótce u stóp słupa piętrzyła się kupa gałęzi.

— Nie używaj sznura — poradziła Thea i Evan kiwnął głową. Pogrzebał nogą w pyle.

— Powinny tu zostać jakieś kable. Nie mogły się całkiem rozpaść. Drut bardzo nam się przyda — jeżeli go znajdziemy.

Thea opadła na kolana i zaczęła odrzucać pył na bok, macając palcami w poszukiwaniu kawałka drutu. Pracowała po omacku, koncentrując wszystkie zmysły na zadaniu. Ostrożnie sięgnęła głębiej i znalazła zwój skręconego kabla.

— Mam go — powiedziała ponuro i zaczęła wyciągać przewód z ziemi. Większość izolacji odpadła, ale miedziane druty pozostały nietknięte.

Usiedli razem przy słupie, wyciągając druty z kabla i prostując je ostrożnie.

— Są miedziane, pamiętaj — ostrzegł Theę Evan, gdy udało jej się wyciągnąć jeden drut. — Im dłużej go wyginasz, tym jest twardszy.

— To niedobrze — odparła. — Myślałam, że zrobię z tego cięciwę do kuszy. Teraz widzę, że miedziany drut się nie nadaje.

Evan przytrzymał gałęzie, podczas gdy Thea mocowała je do metalowych nóg słupa. W słabnącym świetle było to trudne, miedziany drut pękał, a gałęzie wymykały się z rąk lub łamały się, gdy przywiązywano je mocniej. Ich zniechęcenie pogłębiło się z nadejściem nocy i Evan warknął na Theę, gdy złamała kolejny kawałek drutu, próbując przywiązać gałąź.

— Jeżeli uważasz, że zrobisz to lepiej...

— Nie chcę spędzić całej nocy na wygrzebywaniu drutu. Zaklął, gdy pękła następna gałąź.

— Czemu się tak męczymy? — rzucił w przestrzeń.

— Jeśli to beznadziejne, czemu nie zrezygnujesz?

Własne słowa wprawiły ją w zdumienie. Miedziany drut wydał jej się nagle gorący.

— A ty nie myślisz, że to beznadziejne? Czy wiesz, jak wyglądał świat niecałe dwadzieścia lat temu? Czy masz choćby słabe pojęcie, ile straciliśmy?

Odrzucił od siebie dwie ostatnie gałęzie i spojrzał w niebo oczami pełnymi udręki. Przez chwilę Thea stała cicho, aż wreszcie powiedziała miękko:

— Ale co mamy zrobić, Evan?

Wydawał się jej nie słyszeć. Później napięcie wolno zniknęło z jego twarzy i przygarbił się lekko. Schylił się i podniósł gałąź.

— Skończmy naszą robotę — powiedział z rezygnacją.

— Wystarczy nam tego? — zastanawiała się głośno Thea, mocując ostatnią gałąź.

— Na sufit nie — powiedział Evan ponuro. — Jeśli zaczną padać, to mamy pecha.

Mówiąc to wczołgał się do środka i zaczął obłamywać zbędne gałązki, rzucając je w jeden kąt, by stworzyć rodzaj legowiska.

— Nie będzie padać — powiedziała Thea, wciągnąwszy nosem powietrze. — Ani dziś, ani jutro.

— To dobrze. Nawet gdybyśmy mieli dach, nie zatrzymałby ani kropli wody. Spojrzał na Theę, która dołączyła do niego.

— Jesteś zmęczona.

— Trochę.

— Ja też — powiedział, mając nadzieję, że zobaczy jej twarz i zdoła odczytać jej myśli. W trakcie pracy zamknęła się w sobie i w jakiś cichy, niewyczuwalny sposób stała się bardziej odległa, niż sugerowała to dzieląca ich odległość.

— Możesz odpocząć. To mi nie przeszkadza.

— A co z tobą?

Thea potrząsnęła głową ze znużeniem.

— To nieważne.

Teraz, kiedy była już bezpieczna, jej ciało wciąż pamiętało. Kiedyś, wiele lat temu, pobił ją farmer, któremu obrabowała kurnik. Nadal miała zgrubienie na obojczyku w miejscu, gdzie kość nie zrosła się prawidłowo. Jednak wtedy jej ciało pozostało jej własnością, nie tak jak teraz, kiedy samą jej osobowość naruszono, pogwałcono.

— Nigdy tego nie zrozumiem — powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do Evana.

— Czego nie rozumiesz? — jeszcze sprawdzał zamocowanie gałęzi, zaciskając druty tak mocno, jak mógł jedną ręką. Nie słuchał.

— Tego, co się zdarzyło. Gwałtu — powiedziała, stwierdzając, że nawet to słowo sprawia jej udrękę. „Gwałt” brzmiał zbyt osobiście, zbyt odślaniająco. Musiało być jakieś inne słowo, które nie bolałoby tak bardzo. Odsunęła te myśli od siebie i przybrała chłodny wyraz twarzy. Tylko jej oczy patrzyły niespokojnie, lśniąc szkliście jak u przestraszonego zwierzątka.

Evan przerwał swoje zajęcie, kiedy usłyszał jej głos. Czuł, jak coś skręca go w środku, jakby część jej udręki spłynęła na niego. Stał tak blisko niej, jak tylko się odważył, bez ruchu. Widział zmianę wyrazu jej twarzy i był zadowolony, mogąc zwrócić jej uwagę na inne sprawy.

— Tu mogą być jacyś Nietykalni. Będziemy musieli trzymać w nocy wartę.

— Wartę? A tak, tak myślę. Powiedziała to wolno, nie patrząc na niego.

— Chcesz czuwać pierwsza? Potrząsnęła głową.

— Nie dbam o to — powiedziała obojętnym tonem. Zamknęła się w sobie.

— Może więc weźmiesz pierwszą wartę? Obudź mnie około północy, albo wcześniej, jeżeli poczujesz się zmęczona.

— O północy.

— Możesz określić czas według gwiazd — rzekł twierdząco.

— Pewnie. O północy.

Wskazał na wyrwę w gałęziach.

— Stąd jest najlepszy widok. Na północy są same drzewa, a na południu jest zbyt stromo, stamtąd nic nam nie grozi. Stąd — stuknął ręką w zachodnią ścianę prowizorycznego schronienia — nadejdą kłopoty — jeżeli w ogóle nadejdą.

Odsunął się, żeby mogła popatrzeć.

— Widzisz, tędy przyszlismy. Przecinkę widać wyraźnie, a droga nie jest trudna. Jeżeli Piraci przyjdą za nami...

— Sądzisz, że przyjdą? — powiedziała zbyt szybko. Podzielał jej obawę.

— Nie myślę, żeby Cox był aż takim idiotą.

Był bliski prawdy, lecz pamiętał ludzi, którymi posłużył się Cox przejmując władzę — co do nich, nie mógł być niczego pewny. Gorren, Mackley, Spaulding — to byli fanatycy zdolni do czynów, przed którymi wzdragałby się nawet Cox.

Jest możliwość, że spróbują wypadu w góry, a to oznaczałoby, że pójdą naszym śladem. Zawsze istnieje takie ryzyko.

— Rozumiem — powiedziała.

— Thea — rzekł stanowczo — jeżeli poczujesz, że coś jest nie w porządku, cokolwiek, zbudź mnie. Spojrzała na niego niespokojnie.

— Spodziewasz się kłopotów?

— Ja zawsze spodziewam się kłopotów. — Potarł mocno rosnącą brodę. — Nabrałem takiego zwyczaju.

— Wiem.

Po chwili dodała cicho:

— Zbyt wiele zmartwień, prawda? Skinął głową. Odsunęła się nieco dalej.

— Pośpij trochę. Zbudzę cię później. Spojrzała na pociemniałe niebo.

— O północy. Zaakceptował odprawę.

— Dziękuję — powiedział, opadając na posłanie w rogu, które sporządził wprawnie z oderwanych gałęzi i narzuconej na nie kurtki.

Thea obserwowała go z lekko zmarszczonymi brwiami. Zobaczyła, jak sen wygładza ostre rysy jego twarzy, zmieniając go z surowego towarzysza ucieczki w mężczyznę, który uwolnił ją z więzów Lastly'ego. Poczuła żal, że to był Montague, który dowodził Piratami. Z tym nazwiskiem wiązało się zbyt wiele zniszczenia. Skierowała swoją uwagę na zewnątrz. Głowę miała ociążałą od spróchniałego, sosnowego drewna i wysuszonej żywicy, bolało ją całe ciało i zagryzała wargi, by powstrzymać krzyk, gdy znów pomyślała o Lastlym. Kiedy noc stała się chłodniejsza, założyła kurtkę, ale szorstki drelich zdarł strup z jej piersi i ciepła, lepka krew popłynęła z rany plamiąc materiał.

Gwiazdy nad głową wirowały wolno, odmierzając upływającą noc. Thea patrzyła na nie, pragnąc, by poruszały się szybciej. Zmęczenie i smutek opadały ją coraz mocniej w miarę upływu godzin. Na wzgórzach nic się nie poruszało oprócz samotnego wiatru jęczącego wśród umierających drzew. Wtem daleko w dole usłyszała głos unoszący się z wiatrem w upiornej harmonii. Dołączył do niego następny i jeszcze jeden. Psy wpadły na trop.

Thea słuchała uważnie, starając się pochwycić każdy nadlatujący dźwięk. Przez chwilę była prawie pewna, wyobraziła sobie, że ten przenikliwy dźwięk powstał wśród konarów drzew, a nie w psich gardłach, jednak zaraz głosy nadbiegły znów, głośniejsze i wyraźniejsze, rozchodząc się szybciej niż szept wiatru wśród drzew.

— Evan — powiedziała wyciągając rękę. — Evan, psy.

Poruszył się we śnie i wykrzywił usta. Nie obudził się.

— Evan! — potrząsnęła nim gwałtownie.

Przebudził się z krzykiem, szeroko otwierając oczy. Zamachnął się swym jedynym ramieniem i odepchnął ją, mieląc w zębach przekleństwa.

— Psy! Psy! — wrzasnęła. Wyrwała go z transu.

— Psy? — popatrzył na nią zdumiony.

— Tropiły nas, Evan. Zbliżają się.

Potarł twarz, jakby chcąc odpędzić resztki snu. Niezręcznie nałożył kurtkę i chwiejnie stanął na nogi.

— Gdzie? — zapytał.

— Tam w dole. Jeszcze ich nie widać.

Gestem nakazała milczenie i wskazała palcem w noc. Z mroku nadleciał głos sfory.

— Szybko się poruszają — rzekł Evan. Znowu nadstawił ucha.

— Będziemy musieli uciekać — powiedziała.

— Tak.

— Tropią nas — dodała z przekonaniem. Zmarszczył czoło w głębokim namyśle.

— Czy masz zapałki?

— Nie. A ty?

Poklepał się po kieszeniach.

— Miałem...

W końcu znalazł zatłuszczone, pomięte kartonowe pudełko z czterema pozaginаныmi zapałkami.

— Zamokły, więc nie wiem, czy się uda.

— Co chcesz zrobić? — wystraszyła się Thea.

— Wzniecić ogień — powiedział. — Wiatr wieje na północny wschód. Ogień ruszy w dół wzgórza. Stracą ślad.

— A co z nami? Zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Nie mam zamiaru umierać — stwierdził spoglądając w dół. — Ogień je zatrzyma.

— A ja nie chcę się usmażyć — powiedziała ostro.

— To nam nie grozi. Wiatr nam pomoże. Pomóż mi trochę. Nie mogę sobie poradzić jedną ręką. Wyciągnął dłoń z zapałkami. Zastanowiła się.

— Dokąd pójdziemy?

— Tą przecinką: w góry. Większość niebezpieczeństw jest związana z drogami. Tam w górze mamy szansę. Trudniej będzie nas znaleźć i

możemy w ten sposób uniknąć Piratów.

— A żywność?

Wzruszył ramionami, podając jej zapałki.

— Będziemy się o to martwić później.

— Już teraz jestem głodna.

— Psy też.

Wyciągnęła jedną zapałkę z pudełka i potarła. Zapałka pozostawiła czerwoną smugę — nic więcej.

— Spróbuj z drugiej strony.

Jeszcze jedna próba i znów bez skutku.

— Nic z tego — westchnęła.

U stóp wzgórza coraz wyraźniej słychać było zbliżające się stado. Można już było rozróżnić poszczególne głosy i stwierdzić, że sfora była liczna.

Około dziesięciu, może więcej — powiedziała Thea posłuchawszy.

— Weź inną zapałkę.

Wiatr zaświszczał.

— Uważaj — rzekł Evan, osłaniając dłonią pudełko.

— Weź gałązek na rozpałkę.

Skinął głową i złamawszy małą gałąź, przytrzymał ją blisko trzech pozostałych zapałek. Druga zapałka prysnęła, zamigotała i zgasła,

— Cholera!

— A co, jeśli żadna się nie zapali? — zapytała Thea, próbując trzeciej zapałki.

— Będziemy musieli biec — Evan przysunął gałązkę. Trzecia zapałka zapaliła się i zgasła pod dotknięciem wiatru.

— Musi się udać — zamruczała Thea. — Przyłóż tu gałązkę.

Usłuchał i wstrzymał oddech. Za pierwszym razem zapałka zostawiła tylko czerwony ślad i Thea poczuła ogarniający ją strach i poczucie klęski.

— Nie!

— Spróbuj drugą stroną — powiedział Evan. — Szybko.

Kiwnęła głową, zaciskając zęby. Ostrożnie potarła zapałką pudełko. Bez skutku.

— Jeszcze raz — syknął Evan.

Thea wzruszyła ramionami. Potarła jeszcze raz i w nagrodę uzyskała maleńki, błękitny płomyczek. Z cichym okrzykiem osłoniła go dłońmi.

— Daj gałązkę — szepnęła, prawie bojąc się, że płomyk zgaśnie, jeśli powie to głośniej.

— Tu — Evan wsunął gałązkę między jej dłonie. Igły pociemniały i opadły pod dotknięciem płomienia.

— Zapałka się kończy — powiedziała ze złością Thea.

— Chwyci — nalegał Evan, uparcie trzymając gałązkę. Igły wciąż się osypywały.

— No już, zapal się — mruzczała, przez cały czas obawiając się, że spróchniałe drewno zadymi tylko i zgaśnie. Gałązka zwęgliła się do połowy i parzyła Evanowi palce. Przesunął je dalej.

— I co? — zapytała niepewnie Thea.

— Nie wiem. Lepiej uciekajmy.

Skinęła głową, słysząc zbliżające się psy. Ich wycie brzmiało teraz inaczej, słysząc w nim było niecierpliwość. Evan wepchnął gałązkę między prowizoryczne ściany ich szałas.

— Może chwyci — mruknął, po czym zwrócił się do Thei: — Jak myślisz?

— Lepiej biegnijmy przecinką niż lasem. Wśród drzew będziemy zbyt powolni. Szczególnie jeżeli zaczniesz się palić.

Kiwnął głową zgadzając się z tym.

— Oszczędzaj siły.

— Może znajdziemy jakiś domek — powiedziała, sama w to nie wierząc.

— Może — mówiąc to wyszedł na zewnątrz, łamiąc ciało gałęzie, które obsypały go lepkiem próchnem.

— Jak sądzisz, daleko są? — zapytała, spoglądając niespokojnie na zbocze.

— Pół mili. Może mniej. — Słuchał chwilę.

— Są zmęczone. To już coś.

Z początku wolno, później nieco szybciej ruszyli w gore, uciekając przed psami. Prowizoryczne schronienie zniknęło w ciemnościach.

— A co ze sznurem? — spytała Thea, nie zwalniając kroku. — Czy mamy czas, by zastawić pułapkę?

Evan pomacał sznur, zastanawiając się nad tym.

— Nie.

Podążali w milczeniu, usiłując nie wsłuchiwać się w głosy psiej sfory. Przed nimi majaczył następny słup wysokiego napięcia, równie zniszczony jak poprzedni.

— Może się zatrzymamy?

Nie było to pytanie. Głód i zmęczenie podkopały ich siły. Nie mogli już iść dalej. Evan nie trudził się odpowiedzią. Staął i zaczął ściągać sznur z ramion.

Wtem wśród nocy zakwitł dziwny, czerwony kwiat, gdy ściany ich szałasów stanęły w płomieniach. Ujadanie psów przeszło w przerażone warczenie, kiedy napotkały rozchodzący się ogień. Jeden pies, który zapędził się zbyt blisko, umykał teraz z osmaloną sierścią i płonącym ogonem. Nowy podmuch wiatru podsycił ogień i strumyki płomieni popłynęły ku drzewom. Jakby spragnione ciepła, najbliższe konary pochwyciły je i utuliły w iglastych ramionach. Evan patrzył zwężonymi oczami na palący się las.

— Cox może jeszcze być tam na dole.

Thea beznamiętnie obserwowała pożar.

— Pomyśli, że zginęliśmy.

— Możliwe — powiedział.

Odwrócił się i ciepły blask ognia opromienił połowę jego twarzy. Druga połowa, ukryta w mroku, sprawiała, że nie sposób było odczytać jego uczuć.

— Chodźmy. Już późno — rzekł do Thei.

Odwrócił się na pięcie. Wskazał ręką wzgórze: — Zobaczmy, czy na szczycie jest jakieś schronienie.

Świtało już, zanim je znaleźli w starym barakowozie na skrzyżowaniu linii wysokiego napięcia z zardzewiałymi torami kolejowymi. Wagon stał samotny i opuszczony, wciąż ukazując swój dawny kolor starej cegły w miejscach, gdzie nie złuszczyła się farba. Jego koła na długo wcześniej stopiły się ze stalowymi wstęgami, po których jeździł przed laty. Był mocno przechylony i miał pęknięty dach. Dookoła wyrósł gąszcz krzaków, jakby próbując go osłonić przed złymi i wścibskimi oczami.

— Jest bezpiecznie? — szepnęła Thea do Evana.

Ukryci w krzakach, obserwowali barakowóz. Wzruszył ramionami, nie spuszczać oka z wagonu.

— Możemy pobiec i sprawdzić — podsunął myśl, znów zdejmując sznur z ramion. Jednak Thea wahała się.

— Nie. Jeszcze nie.

Zgarnęła garść żwiru z podkładów kolejowych i cisnęła nim w barakowóz. Kamyki zagrzechotały na ścianie starego pudła.

— Teraz się okaże.

Czekali, lecz nic nie przerywało ciszy, żadnych szmerów we wnętrzu ani najbliższym otoczeniu. Ostrożnie podeszli bliżej.

— Kto wchodzi drzwiami? — zapytał Evan, gdy stanęli przy wagonie.

— Ja — odparła sądząc, że się temu sprzeciwi.

— W porządku. Masz. Może ci się przydać.

Podał jej kilkustopowy kawałek sznura z węzłem na końcu — ciężkim i twardym.

— Uderz tym, jeżeli coś się poruszy. Mocno. Pamiętaj.

Wzięła sznur, machnęła nim na próbę i pędem ruszyła do drzwi. Drewno wykruszyło się i zardzewiała klamka została jej w ręku przy pociągnięciu. Powietrze, które z sykiem wydostało się na zewnątrz, wywołało mdłości i Thea przez moment stała chwiejnie na wąskiej, metalowej platformie służącej za werandę. Wstrzymując oddech wcisnęła się śmiało do środka osłaniając nos i usta połą kurtki.

Kimkolwiek byli, nie żyli już od dawna. Suche i gorące powietrze zмумifikowało ich ciała. Leżeli bezwładnie w zaschniętych kałużach ekskrementów ujawniających przyczynę ich śmierci. Czerwonka

pełzakowa była powszechną chorobą dziesięć lat wcześniej, a ci ludzie nie żyli przynajmniej od tak dawna. Ich ubrania i koce, kiedyś przesiąknięte potem i odchodami, zbutwiały, pozostawiając zaledwie strzępy na żalonych ludzkich szczątkach. Patrząc na nich, Thea czuła, jak ogarnia ją współczucie.

— I jak? — zawołał Evan. W jego pełnym napięcia głosie słychać było skrywany lęk.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego przeszła się po małym pomieszczeniu, patrząc na przedmioty pozostałe po trzech nieszczęśliwcach, zastanawiając się, jaki można z nich zrobić użytek. Ona i Evan potrzebowali tak wiele, nie mogli sobie pozwolić na przeoczenie czegoś.

— Thea!

Ostrożnie wyszła z barakowozu.

— No? — Evan zamaskował ulgę gniewem.

— Są tam trzy ciała, bardzo stare. Chyba wykończyła ich czerwonka. Przynajmniej na to wygląda. Sądzę, że nie powinniśmy wchodzić do środka. Jednak możemy zostać pod wagonem. Jest tam sporo miejsca — powiedziała prosząco. — Widziałam jakiś brezent. Moglibyśmy postawić namiot. Rozepniemy go... — urwała gwałtownie.

— Jest tam coś jeszcze warte zabrania?

— Brezent. Mówiłam ci. Koce nie nadają się do użytku. Jest trochę sznurka, nie tak grubego jak ten — machnęła liną, którą jej dał — ale lepiej się nadającego do wiązania i noszenia. Są trzy pudełka zapalek. I kilka książek.

— A noże? — dopytywał się wpatrzony w barakowóz, jakby chciał go rozszyfrować, wydrzeć mu wszystkie sekrety. — Czy jest coś, co nadawałoby się na broń? Ostre widelce, cokolwiek?

Skrzywiła się.

— Noże są zardzewiałe. Nie nadają się do niczego. Widziałam parę pilników. Moglibyśmy je naostrzyć. Evan skinął głową z widoczną aprobatą. W zamyśleniu potarł kikut swego ramienia.

— Postawimy namiot. I zaostrzymy pilniki. Zabierzemy też zapałki... i książki.

Widząc, jak dotyka okaleczonego ramienia, Thea przeraziła się.

— Boli?

— Swędzi.

Zakłopotany, przestał. Po chwili zapytał:

— Mówiłaś, że są tam książki?

— Około tuzina — przytaknęła.

— Tuzin książek — powiedział rozmarzony. — Kiedy byłem chłopcem, zbierałem książki. Miałem ich setki. Same pierwsze wydania. Różne rodzaje książek.

Potrząsnął głową, jakby budząc się ze snu.

— Może znajdziemy trochę czasu, żeby przeczytać parę.

— Od dawna nie czytałam żadnej książki — powiedziała Thea, przypominając sobie chwile spędzone w Camminsky Creek, które skończyły się tak gwałtownie jedenaście lat temu. — Jack Thompson pilnował, żeby wszyscy dużo czytali.

— Co? — zapytał zdziwiony Evan.

— Nic. To już skończone.

Spojrzała uważnie na barakowóz.

— Myślę, że lepiej będzie zabrać wszystko i wynieść się stąd. Wagon bardzo rzuca się w oczy.

Teraz, gdy słońce oświetliło stary gruchot, wyblakła czerwona farba łuszcząca się na jego ścianach pojaśniała i stanowiła silny kontrast w stosunku do bladych liści otaczających go zarośli. Thea czuła, że jest zbyt widoczny i jej lęk przerodził się w niechęć do tego miejsca. Evan czuł to również, bo rzekł:

— Oczywiście, masz rację. Bylibyśmy tu zbyt dobrym celem.

Gdzieś w krzakach prześliznął się wąż i liście zaszeleściły pod jego ciężarem. Dźwięk był absurdalnie głośny i oboje prawie podskoczyli.

— Chodź — powiedziała szybko Thea. — Weźmiemy, co nam potrzeba, i prześpijemy się pod wagonem, ale nie zostaniemy tu długo.

— Nie — zgodził się Evan i poszedł za nią.

— Po co wzięłaś książkę? — pytała go Thea, gdy leniwie przewracał kartki. Pod wagonem było chłodno i brezent rzucał cień, kryjąc ich przed całym światem.

— Od dawna nie miałem żadnej w rękach — odparł w roztargnieniu. Uświadamiał sobie, ile już zapomniał.

— Ale książka kucharska do niczego nam się nie przyda. W ogóle nie mamy nic do jedzenia. Jak możesz na to patrzeć?

Odsunęła się gwałtownie, dalej od niego. Nie zwrócił na to uwagi.

— Spójrz: cielęcina z oberżyną w białym winie z Marsali, nerkówka po mediolańsku... Kiedyś to jadłem w Parmie.

Przekartkował książkę i odłożył ją na bok. Przez chwilę Thea milczała.

— Co to jest nerkówka po mediolańsku?

Evan położył się na plecach, patrząc na spróchniałe podwozie barakowozu.

— Nerkówka... to się robi z podrobów. Usuwa się błony i gotuje mięso w gęstym sosie z białym winem, przyprawami i grzybami... — urwał i powiedział innym tonem:

— To nieważne. Minęło. Nikt już tak nie je. — Przewrócił się na brzuch i oparł podbródek o zgięty łokieć. — Lepiej prześpijmy się trochę.

Thea usiadła i oparła głowę na kolanach. Powoli wyciągnęła rękę i dotknęła książki kucharskiej. Po chwili otworzyła ją i zaczęła czytać, próbując sobie wyobrazić smak tych dziwnych potraw. W końcu powiedziała:

— Moja matka czasem wkładała plasterki pomarańczy, kiedy smażyła kurczaki. Nacierала je też masłem i miodem.

Gdyby Evan powiedział coś w tym momencie, rozpłakałaby się. Ale Evan już spał.

Na drugi dzień, wspinając się wolno od jednego zardzewiałego słupa do drugiego, zobaczyli bandę Trędowatych podążających przez wzgórza na północy.

— Niosą flagę — zauważyła Thea, osłoniwszy oczy dłonią. W dali dojrzała krzyż na czerwonym tle. — Jest ich prawie dwudziestu.

— Muszą tu gdzieś obozować — przytaknął Evan, zadowolony z okazji do poprawienia węzełka przymocowanego na plecach. Mając tylko jedną rękę, łatwo tracił równowagę, gdy bagaż się przesunął, co zmuszało go do częstego przystawania i poprawiania węzełka.

— A co z żywnością? Myślisz, że wiedzą, gdzie można ją znaleźć? — zapytała pośpiesznie Thea, zaciskając szelki swojego pakunku.

— Nawet jeżeli wiedzą, nic nam z tego — rzekł ponuro. Trędownaci byli zbyt niebezpieczni, nie tylko z powodu swojej choroby. Wiedział, że nie mogą ryzykować kontaktów ze straszliwymi wyrzutkami.

— Nie podzielę się z nami, Thea.

Wokół nich wznosiły się samotne szczyty. Las pozostał nisko w dole i teraz tylko głązy i niskie krzaki pokrywały stoki. Pod dotknięciem słońca skały błyszcząły, jakby pocąc się z gorąca, w cieniu okrywały się kurzem roznoszonym nieustannie z każdym podmuchem wiatru.

— Mogliby wiedzieć coś o Złotym Jeziorze — powiedziała Thea z nadzieją w głosie, obserwując rząd figurek znikających w dali.

— Wiesz dobrze, że to na nic — warknął Evan. — Gdyby coś wiedzieli o Złotym Jeziorze, gdyby tam byli, z pewnością my nie moglibyśmy tam pójść. Prawda?

— Czy to ma być właśnie tak? Czy wszyscy będziemy musieli zostać Piratami lub Trędownymi zanim umrzemy?

Odwróciła się do niego, oczekując odpowiedzi, lecz nie otrzymała jej.

— Musimy ruszać.

Rozmyślnie odwrócił się, by nie patrzeć na sylwetki wędrujących po północnej grani.

— W porządku.

Włożyła kciuki za pas, dotykając wiszącego na nim zaostzonego pilnika. Upał sprawił, że kurtka była zbędna i czuła, jak jej posiniaczona skóra ciemnieje od słońca. Tylko okaleczone miejsce, gdzie była jej sutka, pozostało nie zmienione, ignorując słońce i jej wysiłki by zapomnieć.

— Jeżeli będzie trzeba, rozbijemy namiot na noc — powiedział Evan łagodniejąc. Nietrudno rozpiąć brezent na paru kijach i sznurze. — Może jednak znajdziemy jakąś chatę, kto wie?

To była przyjemna myśl, a w każdym razie nie całkiem kłamstwo.

— A jeżeli nie?

— Wystarczy nam namiot.

— A co z jedzeniem? — zapytała ze złością, głodna.

— Może jakieś znajdziemy. Są tu jeszcze węże. Możemy je jeść. Chyba widziałem dziś królika. Może jest ich więcej.

Niechętnie potrząsnęła głową.

— A jeśli pojawi się Cox?

Evan zatrzymał się.

— Co jest, Thea? Co się stało?

Troska w jego głosie była dla niej udręką.

— Możemy tu zginąć — powiedziała gwałtownie, przerażona całym wyrazem jego twarzy. — Może powinniśmy się rozdzielić. Moglibyśmy się spotkać później, przy Złotym Jeziorze.

— Chcesz powiedzieć, że nie pójdziesz ze mną dalej? — w jego głosie nie było cienia urazy.

— Nie — odparła, zastanawiając się, czy to prawda. Przyjrzał się jej bacznie, uświadamiając sobie, że obawiała się nie tylko jego ciała.

— Możesz przejść przez góry sama, jeżeli o to ci chodzi, ale ja nie. Nie z jedną ręką. Nie mogę nawet podnieść bagażu bez pomocy. Bez ciebie jestem zgubiony. Zostań ze mną Thea. Proszę.

— Słyszałam, że w górach jest lepiej — odrzekła niezachęcająco.

— A więc do wzgórz. Kiedy znów znajdziemy się wśród drzew, jeszcze o tym porozmawiamy.

Przyjacielskim gestem dotknął jej ramienia. Cofnęła się raptownie. Wiatr sypał za nimi kurzem, gdy podążali dalej na wschód.

Tej nocy w miejscu, gdzie strumień spływał ze skał, znaleźli wodę, a w pobliżu budkę konserwatora wybudowaną przez towarzystwo telefoniczne bardzo dawno temu. W środku były trzy czyste pokoje oraz — co graniczyło z cudem — lampy naftowe pełne nafty, schowane przezornie w kredensie.

— Doskonale — rzekł uśmiechnięty Evan, kiedy skończył inspekcję domku. — Nawet szopy się tu nie dostały.

Thea położyła swój pakunek na kuchennym stole, nie zwracając na nic uwagi.

— Jest tu coś do jedzenia? Będziemy jedli?

Evan podszedł do zasuwanych półek w kredensie i otworzył je na oścież.

— Nic tu nie ma — próbował ukryć rozczarowanie. — Nie, czekaj. Sięgnął głębiej i wyciągnął trzy małe puszki.

— Zupa. Jemy.

— Nie zepsuta? — zapytała Thea, nie pozwalając się ponieść entuzjazmowi.

— Mam nadzieję. Zobaczymy.

— Jeżeli jest zepsuta, to umrzemy, więc to i tak bez znaczenia.

Opadła na krzesło. Całe ciało miała obolałe i czuła głęboki ból, którego nic nie mogło ukoić. Obróciła pozbawiony zainteresowania wzrok na Evana zajętego poszukiwaniem garnków i badaniem opasłego piecyka.

— Chcesz, żebym przyniosła trochę wody? — zapytała go, kiedy skończył.

— Ja przyniosę — odparł.

— Możesz upaść.

— Ty też.

Wzruszyła ramionami. Wziął największy garnek i wyszedł. Kiedy odszedł, pomyślała, że powinna odejść, po prostu wstać i pomaszerować w mrok, skończyć z tym wszystkim. Mocno ścisnęła łokcie w dłoniach, jakby chcąc dodać sobie sił do odejścia. Jednak nie powinna być sama w górach. Jeżeli znajdzie ją Cox lub jego ludzie, nie umrze łagodną śmiercią. Znowu ból, znowu... Pomyślała o kobiecie wiszącej na tablicy ogłoszeń w Chico i pobladła.

— Co się stało? — Evan wrócił nie zauważony, wypełniając sobą drzwi, stając się jeszcze większy, gdy przeszedł przez pokój. — Jesteś blada, Thea.

Potrząsnęła głową, z wysiłkiem podniosła się z krzesła i skoczyła w kąt. Był za duży, zbyt blisko. Podszedł do niej i położył jej rękę na

ramieniu.

— Powiedz mi. Co się stało?

Chociaż mówił łagodnie, jego ręka spoczywająca na jej ramieniu powiększała jej przerażenie. Gnana strachem pomknęła do drzwi, zataczając się lekko, bowiem nogi miała jak z waty.

— Thea! Thea! — krzyknął za nią. — Nie rób tego!

Nie myśląc, pobiegła do strumienia i upadła przy nim na kolana, trzęsąc się gwałtownie ogarnięta przerażeniem. Usłyszała, jak idzie za nią i nienawidziła się za to, że nie miała dość siły, by odejść. Stał, gdy był na tyle blisko, by usłyszała, co do niej mówi. Mówił wyraźnie i spokojnie.

— Nie zrobię ci krzywdy, Thea.

— Idź sobie.

— Nie wcześniej, nim dowiem się, co jest nie w porządku. Przykucnął niedaleko zdecydowany nie ruszyć się, chociaż z trudem utrzymywał równowagę.

— Nie jestem głupcem, Thea, i nie jestem nieczuły. Kiedy mnie zobaczyłaś, wpadłaś w panikę.

— Wiem.

— Dlaczego?

Nie spodziewał się, że z takim niepokojem będzie oczekiwał odpowiedzi. Uda bolały go i z ulgą skierował swoją uwagę gdzie indziej. Przez chwilę nie odpowiadała, w końcu szepnęła:

— Lastly...

— Wiem, co zrobił Lastly — podniósł głos sprawiając, że zadrżała. Zmusił się, by mówić spokojniej. — Wiem, co zrobił, ale ja to nie Lastly, Thea.

— Wiem.

— Więc posłuchaj mnie.

Jak bardzo chciał widzieć jej twarz. Mówienie do jej zgarbionych pleców było gorsze od wszystkich koszmarnych wspomnień z dzieciństwa związanych z bezcielesnym głosem spowiednika.

— Nie chcesz, żeby cię dotykać. Nie powinienem był tego robić. Kiedy cię dotknąłem, od razu pomyślałaś o Lastlym.

— Zgwałcił mnie — powiedziała i same te słowa brzmiały wstrętne. Evan milczał chwilę.

— Nie wiem, jak to jest i nigdy nie będę wiedział. Jednak czuję się winny, że to się w ogóle zdarzyło.

— To niczego nie zmieni — szepnęła ze złością.

Zacisnęła zęby, dysząc ciężko.

— To okropne stracić ramię, patrzeć, jak odcinają kawałek ciebie. Ale kiedy to już się stanie, nic się na to nie poradzi. I w pewien sposób — dodał, pogodzony z prawdą swego wyznania — w pewien sposób chciałem, by Cox to zrobił. Niosę ze sobą zbyt wiele zła i to było zadośćuczynienie. Tak więc nie mogę udawać, że wiem, co przeżyłaś.

— Tak — powiedziała ze złością.

— Powinienem był temu zapobiec. Tak myślisz, prawda?

Wiedział, że zaprzeczy, ponieważ to on sam tak uważał, nie ona.

— Nie. — Zagryzła wargi. — Nie można cofnąć tego, co się stało, Evan, obojętnie, jak bardzo się tego pragnie i co się mówi. Ja tego nie zmienię i ty tego nie zmienisz. Już za późno.

— Nie mów tak.

Przerwał na chwilę, odzyskując równowagę.

— Posłuchaj mnie, Thea. W pojedynkę żadne z nas nie ma szans, Cox krąży w pobliżu i Trędowaci. Są też inne gangi i Nietykalni. Lato się kończy, Thea. Wszyscy są zdesperowani.

Dźwięk jego słów mieszał się z pluskiem strumienia. Pozwoliła im płynąć razem, uspokajająco i przekonująco.

— Zima przyjdzie wcześniej. To jeszcze gorzej. Jednak razem możemy mieć szanse niezależnie od Coxa, Nietykalnych, Trędowatych i zimy. Do Złotego Jeziora jest daleka droga, ale możemy ją przebyć razem. Pójdiesz ze mną, Thea? Pójdiesz? Tylko o to cię proszę: chodźmy razem.

— Ale dlaczego?

Przestrach już ją prawie opuścił i czuła się teraz głupio. Nigdy w czasie długich lat samotności nie czuła się tak krańcowo przerażona. I nigdy nie czuła tak bardzo potrzeby towarzystwa jak w tej chwili. Nie mogła znieść, by ją dotykano, nie chciała też być sama.

Była tak pogrążona w myślach, że nie dostrzegła męki na twarzy Evana wywołanej ostatnim pytaniem.

— Myliłem się co do Piratów, co do przetrwania. Myliłem się co do tyłu rzeczy. Nie mogę za to przeproszać, nie mogę odpokutować. Ale mogę zrobić coś dobrego — przynajmniej raz. Nie każ mi odchodzić, Thea.

Nie przerywała mu. Struga błyszczała w świetle księżyca.

— Kiedyś były tu świerszcze i cykały — powiedziała wolno, ledwie uświadamiając sobie, że mówi to głośno.

— Świerszcze? — zapytał urażony, te go nie słuchała.

— W Camminsky Creek były świerszcze. Czasem wspominam je. To było dawno temu. Thompson i jego inżynieria genetyczna. Myślał, że to jest rozwiązanie, wszyscy oni tak myśleli. Ale to była tylko zabawa, to wszystko. Zabawa. Większość z nich przez to umarła.

— Camminsky Creek? — Evan był zaskoczony.

— To było w okręgu Mendocino. Blisko Cloverdale.

Evan pamiętał Cloverdale — pierwsze miasto kompletnie zniszczone przez Piratów na pięć lat przed tym, jak objął dowództwo. Kiedy po raz pierwszy przyłączył się do Piratów, ich sukces w Cloverdale posłużył mu jako wzór opracowania mniej krwawych i bardziej skutecznych rajdów.

— Rozumiem.

— Nie. Nie ty. Nie zabiłeś ich. To zrobili policjanci. Minęło już więcej niż dziesięć lat od tego czasu. Pokręciła głową, jakby otrząsając się ze wspomnień. Wstrzymując oddech odwróciła się do niego i stwierdziła, że jej strach minął.

— Pójdę z tobą, Evan. Aż do Złotego Jeziora.

Odważył się uśmiechnąć na te słowa.

— Dobrze. Jednak lepiej zostańmy tu przez parę dni. To długi marsz, a będziemy musieli iść naokoło, przez Quincy.

Zmarszczyła brwi i znów poczuła ukłucie nieufności.

— Quincy? Dlaczego tak bardzo na północ?

— Żeby ominąć Trędowatych. Musimy to zrobić. Zabiją nas, jeżeli podejmiemy za blisko.

— Bo nie jesteśmy Trędowaci? — zapytała znając odpowiedź. — A więc do Quincy. Zima zbliża się szybko. Będziemy musieli iść szybko, jeżeli chcemy dotrzeć do Złotego Jeziora przed pierwszymi śniegami.

Evan kiwnął głową, niezdolny wyrazić swej ulgi. Napięcie, w jakim trwał przez tak długi czas, opuściło go i wywrócił się, wykręcając boleśnie nogę w kostce. Thea szybko odskoczyła i w pośpiechu ześliznęła się do strumienia. Zimny prąd wody natychmiast ją wywrócił. Evan zdążył już odzyskać równowagę i dokuśtykać do brzegu. Wyciągnął rękę:

— Chodź. Wyciągnę cię.

Zawahała się, po czym sięgnęła i mocno chwyciła jego dłoń szczupłymi palcami. Evan zacisnął zęby, zaparł się w ziemię i wyciągnął ją ze strumienia. Gdy stanęła przy nim trzęsąc się, zapytał:

— Bardzo jesteś mokra?

Pomacała spodnie i bluzkę.

— Dosyć.

Wykręciła poły bluzki.

— A ty? Zrobiłeś sobie coś?

— Nie jestem mokry — odparł wymijająco. Czuł się dziwnie niezgrabny i odrętwiały. — Jeśli już o tym mowa, nie byłby to taki zły pomysł. Od dość dawna się nie kąpałem. Może jutro to zrobię.

— Zupa — przypomniała mu Thea i poszli do domku, razem, lecz nie dotykając się wzajemnie.

Następnego dnia Thea złapała w sidła królika i wprawnie obdarła go ze skóry nożem znalezionym w domku. Skórę zostawiła do wygarbowania w moczu.

— Nie będziemy głodować, jeśli są tu króliki — powiedziała, gdy Evan posypywał szalwią chudy gulasz z królika.

— Jasne — przytaknął, marząc o marchewce i cebulce, rosole z kurczaka, musztardzie i śmietanie. Czemu nie pójść na całość i nie

zażyczyć sobie Pinot Chardonnay do popicia i babki rumowej na deser.

— Pachnie dobrze — powiedziała Thea w chwilę później, kiedy gulasz zaczął się dusić. Evan powąchał krytycznie, mówiąc sobie w duchu, że pachnie okropnie.

— Dzięki za uznanie — powiedział, zastanawiając się, co też się stało z tym miejscem w Sztokholmie, gdzie lubił zachodzić na smorgasbord. Najprawdopodobniej diabli je wzięli. Nikt już nie jada smorgasbord.

— Nie wiedziałam, że rośliny dodają smaku.

— Nie wszystkie — odparł, usiłując sobie przypomnieć, czy na tej wysokości można znaleźć rozmaryn. — Tylko niektóre. Mówi się na nie rośliny przyprawowe albo przyprawy.

— Przyprawy — powiedziała poruszona. — Moja matka używała czasem przypraw. Majeranek. Czy to roślina przyprawowa?

— Tak — powiedział Evan, podchodząc do pieca, by skosztować gulaszu i usiłując się pozbyć dręczących wspomnień.

Thea obserwowała go przez chwilę wiedząc, że pogrążony głęboko w swoich myślach zapomniał o jej obecności. Chciała coś powiedzieć, zapewnić, że rozumie jego żal. Jednak nie potrafiła tego z siebie wydusić i słowa pozostały nie wypowiedziane.

— Możemy już jeść — oznajmił Evan.

— To dobrze. Jestem głodna — powiedziała szczerze. — W każdym razie na szlaku nie będziemy już tak dobrze jadalni.

Była zła i chciała, żeby jej zaprzeczył.

— Prawdopodobnie nie — rzekł spokojnie, nakładając gulasz na wyszczerbione talerze — więc ciesz się, jeżeli jest okazja.

Thea ledwie odczekała aż ostygnie i wzięła mięso w palce. Pochłaniała chciwie twardego królika i dziwiła się, że Evan nie podziela jej zachwyty.

Paski króliczej skóry przytrzymały wygodnie mały pakunek na plecach Evana. Thea sprawdziła węzły i nałożyła swój.

— Będzie trzymać — stwierdziła po dokonaniu ostatnich poprawek. W ciągu tygodnia, przez który wypoczywali, sporządziła nosiłki dla nich obojga i teraz z zadowoleniem patrzyła na wynik swej pracy. Evan

przesunął pakunek tak, by nie urzął jego okaleczonego ramienia. Marzył, by przestało go swędzić.

— Nie rób tego — powiedziała ostro Thea, widząc jak drapie pomarańczowe pasmo skóry. — Niech się zagoi. Niech rośnie.

III

Ramię Evana odrosło z nadejściem zimy. Zakiełkowało powoli, gdy opuszczali strefę skażenia, początkowo jako brązowy, szpatułkowy wyrostek przypominający wioselko poniżej brzydkiej szramy znaczącej ślad piły, później rozkwitło paluszkami tak, jak kiedyś kwiaty pod wpływem słońca.

Ponure pustkowie powyżej Feather River oferowało im niewiele schronienia i jeszcze mniej jedzenia, gnębiąc ich żarem, od którego pękały skały, i chmarami insektów w nocy — bo były tu owady — zmieniającymi sen w torturę. Czasem udało się im zabić grzechotnika — wtedy dzielili jego mięso z desperacką rozwagą. Nie spotkali więcej królików. Granitowe głązy szybko zniszczyły im buty i ślady, jakie zostawiali, były rdzawe od krwi. Wokół nich trwały samotne sosny, przywierając do stromych skał, grożąc niebu palcami gałęzi z igłami zbrązowiałymi w rozpaczliwej walce o życie. Do Złotego Jeziora było jeszcze daleko.

Evan początkowo bagatelizował niebezpieczeństwo, lecz gdy głód ściągnął mu rysy, a w oczach Thei zobaczył widmo głodu, przyznał, przynajmniej w duchu, że wybrali długą drogę, by umrzeć. Dla Thei głód był tylko widmem krocącym po ich śladach. O wiele bardziej realna i groźna wydawała się jej możliwość spotkania z Piratami lub Trędowatymi, które zakończyłoby się dla nich obojga śmiercią poprzedzoną długimi mękami. Niespokojnie obserwowała okoliczne skały i głębokie cienie pod drzewami. W miarę jak rzeka wznosiła się po dnie stromego kanionu, wspinali się wyżej na jego zbocze, uciekając przed grmiącym rykiem wody i niebezpieczeństwem zaskoczenia w wąskim wąwozie. Od czasu do czasu mogli dostrzec pudełka budynków przytulonych do ścian kanionu — niektóre były czujnie strzeżone. To właśnie widok tych zabudowań obiecujących żywność i schronienie sprawiał, że Evan w pełni czuł beznadziejność ich sytuacji i wkrótce stał się zuchwały. Wiedząc, że spróbuje sam, jeżeli Thea mu nie pomoże,

przedstawił jej swój plan, gdy przysiedli na grani, powyżej małej grupki domów i stodół skupionych wewnątrz drewnianej palisady.

— Będziemy musieli poczekać do nocy — powiedział w końcu — i przyjrzeć się, kiedy zmieniają strażę. Zdaje się, że mają dubeltówki, a nie możemy stawić czoła takiej broni.

Czy on naprawdę myśli, że to się powiedzie? — zastanawiała się Thea. Głośno powiedziała:

— Jeden dzień mniej czy więcej nie robi różnicy.

Jej głos był bezbarwny. Evan szybko ciągnął dalej:

— Najłatwiej będzie przed świtem. Zwierzęta będą spały, a strażnicy będą śpiący. Mamy szansę, Thea — dodał, zapewniając zarówno ją, jak i siebie.

— Czemu nie? — odparła, mnąc w dłoniach wystrzępiony drelich kurtki, dotykając kępek sierści pozostałych na rzemieniach z króliczej skóry przytrzymujących jej pakunek. — Jeżeli nam się nie uda, to najwyżej nas zabiją.

— Tam jest skrzyżowanie — pokazał, spoglądając w górę rzeki na most, gdzie spotykały się drogi. — To zwiększa ryzyko, jeżeli droga jest jeszcze używana. Możemy mieć kłopoty z wydostaniem się stamtąd.

Jego głos brzmiał rozważnie, tak by wiedziała, że rozumie, na co się porywają.

— Skoro droga nie jest zarośnięta, to znaczy, że czasem jest używana — powiedziała. — Może oni jej używają, a może kto inny. Piraci jeszcze tak daleko nie dotarli.

Mówiła to bez przekonania.

— Tak. Ale dotrą — zapewnił ją z chłodną pewnością. Już dawno temu planował rozszerzyć obszar działania Piratów, a Cox był bardziej bezwzględny niż on. — To ja ich uczyłem, pamiętaj. Wykonują moje rozkazy, nawet jeżeli to Cox je wydaje.

Thea nie odpowiedziała, patrząc na farmę. Odgłosy z obejścia, gdakanie kur dręczyły ją niewymownie. Żołądek kurczył jej się jak zwierzę w potrzasku. Z głównego budynku wznosiła się smuga dymu,

niosąc zapach baraniny i uzbrojeni ludzie pilnujący palisady odwrócili się w tym kierunku. Thea zamknęła oczy i oddychała głęboko.

— Wiem — rzekł Evan, stwierdzając po zapachu, że to jagnię w winie. Każde pasemko dymu przywoływało wspomnienia.

To było jagnię, wtedy w Barcelonie, nie miał jeszcze piętnastu lat, a na jego ojca spadły jakieś zaszczyty. Do jagnięcia podawano czerwone wino, a obok siedział ponury Egipcjanin woniejący drzewem sandałowym i czymś jeszcze...

— Evan! — powiedziała ostro Thea i znów znalazł się na skalnej półce górującej nad ufortyfikowaną farmą w kanionie. Uderzył dzwon i strażę zmieniły się. Thea spojrzała na Evana i wzruszyła ramionami. Zatem postanowione.

Przed świtem obudziła ich strzelanina i ryk silników. Podczołgawszy się do krawędzi grani zobaczyli walkę toczącą się w dole. Banda, licząca około dwudziestu ludzi na motocyklach, krążyła wokół wysokiej palisady otaczającej domy i budynki gospodarcze. Na oczach Thei i Evana obrońcy zwalili jednego motocyklistę na ziemię celnym strzałem z dubeltówki. Maszyna roztrzaskała się o palisadę ciągnąc za sobą zbrogzonego krwią kierowcę.

Zapasowe kanistry eksplodowały z hukiem, oblewając ogniem drewniane bale. Ranny, płonąc, tarzał się po ziemi.

— Piraci? — zapytała szeptem Thea. Evan potrząsnął głową.

— Nie znam ich. To chyba jedni z niezależnych. I niezdarni.

Ogień rozszerzał się, liżąc dach najbliższej stajni i wprawiając w przerażenie zamknięty wewnątrz inwentarz. Z głównego budynku wybiegły kobiety. Ich głosy przebijały się przez ryk bydła.

Jeden z motocyklistów wdarł się za płonąca palisadę, sypiąc skrami, z rykiem przemknął obok obrońców i wypalił z dubeltówki o obciążonych lufach, trafiając jednego z nich w pierś. Zanim go zabili, uderzeniami kolby położył jeszcze dwie kobiety.

— Mają mało amunicji — stwierdził krytycznie Evan.

Thea nie powiedziała nic, myśląc o wszystkich płonących miastach, jakie widziała, o rozkładających się ciałach, nie pogrzebanych, nie

opłakanych. Zamknęła oczy, lecz to nie pomogło, bo choć nie widziała koszmarnych scen w dole, pamięć podsuwała jej obrazy jeszcze straszniejsze.

Wkrótce ogień objął jedną stajnię i przenosił się po palisadzie na drugą. Dwóch następnych napastników wdarło się do środka i uganiało za farmerami, rycząc z radości. Łuna pożaru oblała czerwienią ich twarze, zmieniając je w diabelskie maski.

Jedna z kobiet zaczęła spokojnie na nadjeżdżającego motocyklistę, a kiedy była prawie pod kołami, cisnęła zapaloną lampą naftową w rezerwowe kanistry. Motocykl, jego kierowca i kobieta zniknęli w płomieniach.

— Chodź — powiedział Evan do Thei, chwytając ją za rękę. Odsunęła się, jak zawsze, ale trzymał ją mocno. — Zejdziemy na dół. To nasza jedyna szansa.

Thea kiwnęła głową, chwytając zaostrzony pilnik, który był jej jedyną bronią.

— Druga stajnia — powiedziała, ześlizgując się w ślad za Evanem po stromym zboczu kanionu. Chwytając się krzaków wytracali szybkość, z rosnącym niepokojem przyglądając się bitwie. Jeżeli zostaną odkryci, ucieczka będzie niemożliwa... Będą łatwym celem, tym łatwiejszym, że ze wschodu szybkimi krokami zbliżał się świt przydając upiornych cieni granitowym skałom.

Już palił się jeden z budynków mieszkalnych i ciężkie kłęby dymu snuły się po dnie kanionu w stronę skrzyżowania. Kilka koni uciekło ze stajni i miało się po dziedzińcu szalejąc ze strachu i powiększając zamieszanie wśród obrońców. Ich walka stawała się farsą.

Ponad połowa rabusiów na motocyklach przedostała się do środka, najeżdżając na farmerów, tłukąc kolbami uciekających, wiążąc innych. Dwóch napastników niedbale zsiadło z motocykli i pogoniło za kobietą, która wybiegła z płonącego domu. Jeden z nich rzucił się na nią, rozdierając jej ubranie. Z krzykiem odpychała go i tłukła po twarzy trzonkiem motyki.

Wysoko na grani Thea zbladła jak papier i tłumiąc okrzyk współczucia gryzła palce. Zatrzymała się, patrząc na nienawistny widok.

— Thea — zawołał niespokojnie Evan — chodź!

Thea tylko potrząsnęła głową, jej rysy stężały z lęku.

— Thea — Evan spojrział w dół i zobaczył to, co ona. Znów wyciągnął rękę i celowo popchnął ją, wytrącając z równowagi i odwracając jej uwagę od zabudowań. — Nie patrz.

— Oni ją...

— Wiem. Chodź ze mną. Mamy mało czasu.

Kobieta uderzyła celnie i napastnik upadł z odrzuconą pod dziwnym kątem głową, z twarzą zbryzganą krwią i mózgiem. W migoczącym blasku rozszerzającego się pożaru Thea i Evan naliczyli więcej niż tuzin trupów. Odgłosy bitwy tłumiły wrzaski dwóch farmerów uwięzionych w palącej się stajni. Następni motocykliści przedostawali się do środka, pewni już zwycięstwa i żądni łupu. Widząc to, kobiety rzuciły się do głównego budynku, lecz niewielu udało się tam dobiec. Trzech napastników rzuciło się na jedną z nich, dwaj przytrzymywali ją na ziemi, a trzeci zaczął ściągać jej spodnie. Dostrzegł to jeden z farmerów i zaatakował trzech rabusiów, skutecznie używając pustej strzelby jak maczugi, dopóki inni motocykliści nie zauważyli, co się dzieje i nie położyli go, tnąc szablami. Krwawiąc z głębokiego cięcia przez brzuch, farmer upadł na kobietę. Wrzasnęła przeraźliwie i urwała, jakby pękły jej struny głosowe. Później leżała cicho, podczas gdy mężczyzna leżący na niej wykrwawiał się na śmierć.

Trzy następne budynki zapaliły się, kiedy zawaliła się pierwsza stajnia, wypełniając powietrze kaskadami iskier i smrodem palonego ciała. Kilku pozostałych na zewnątrz motocyklistów ustawiło się między farmą a rzeką, wiedząc, że jeśli farmerzy zechcą ocalić budynki, będą musieli przyjść po wodę. Czekali, pewni zwycięstwa, aż padnie czterech ostatnich obrońców i będzie można podzielić się łupem i kobietami. Wschodzące słońce zaróżowiło wierzchołki gór, rzuciło długie cienie turni na dolinę, kładąc kres nocy Padli kolejni farmerzy, jeden trafiony w kark, drugi przygnieciony płonąca belką przy drugiej stajni. Pozostali

zamknęli się w głównym budynku, wołając do kobiet, by przyniosły im strzelby z innych domów. Kiedy tylko zamknęli się w środku, kilku motocyklistów przywlokło płonące bale z palisady i oparło o ściany. Ze śmiechem patrzyli, jak dom staje w ogniu.

Thea i Evan znajdowali się przy drugiej stajni, tak blisko ściany, jak tylko pozwoliły na to szalejące płomienie, starając się w miarę możliwości trzymać w cieniu. Jak długo trwało zamieszanie, mieli szansę na splądrowanie stajni i ucieczkę z mięsem zanim zostaną zauważeni i wykryci.

Rabusie skwitowali okrzykiem radości szcęk łańcucha, poprzedzony odgłosem pękającego drewna.

— Wyłamali drzwi — rzekł spokojnie Evan. — Musimy się pospieszyć. To już nie potrwa długo.

Thea sztywno skinęła głową, osłaniając twarz przed żarem.

— Wiem — powiedziała po chwili. Można było słyszeć krzyki mężczyzn zamkniętych w budynku i wyławianych teraz przez napastników. Litościwie ogień i stajnia zasłaniały ten widok.

Evan pociągnął ją za róg, z dala od żaru. Z tej strony stały wybiegi dla koni i kilka zagród dla świń. Wybiegi były puste, jeśli nie liczyć kilku oszalałych ze strachu kurczaków i kulawego psa. W największej zagrodzie rozwścieczona maciora pilnowała swego miotu.

— Prosiaki. Weźmiemy parę prosiaków — poddała myśl Thea, czujnie obserwując maciorę. — Chyba będziemy musieli ją zabić.

Obraz kończącej się masakry stał się jakby bardziej odległy i nierzeczywisty na myśl o jedzeniu.

— Na ścianie wiszą widły — rzekł Evan obrzuciwszy doświadczone okiem przybudówki. — Możemy przytrzymać ją widłami i zabrać parę prosiaków. I może kilka kurczaków — dodał, spoglądając przez ramię na gdaczące kury.

Thea już zdjęła widły z haka, na którym wisały i ostrożnie przechodziła przez ogrodzenie. Maciora runęła naprzód z głośnym chrząkaniem. Była to biała świnia rasy Dorchester o wadze prawie trzystu funtów. Thea wiedziała o świniach wystarczająco dużo, by mieć

respekt dla ich inteligencji, siły i zręczności. Trzymając widły gotowe do ciosu, zawołała:

— Musisz to zrobić szybko, Evan. Nie da się długo wodzić za nos.

Nie tracąc czasu na odpowiedź, Evan przesadził furtkę zagrody i ruszył ostrożnie ku stadku kwiczących prosiaków leżących koło pustego koryta. Wyprostował swoje na pół uformowane palce, stwierdzając, że wciąż jeszcze są słabe.

Za ich plecami ogień pożerał powoli drewnianą ścianę niczym stado niewidzialnej szarańczy, odwracając uwagę od ciszy, jaka zapadła nagle wśród zabudowań. Ostatni krzyk agonii wzbił się w poranne niebo, po czym słychać było już tylko złowrogi syk i trzask płomieni.

Evan schwycił dwa prosiaki za tylne nogi i wprawnie uderzył nimi o ścianę, by je ogłuszyć. Jednak ten dźwięk zwrócił uwagę maciory, która zawróciła w miejscu i pełna matczynej furii rzuciła się na niego z zadziwiającą prędkością. Thea krzyknęła ostrzegawczo i cisnęła widłami w świnie. Z satysfakcją ujrzała, jak zęby wbijają się głęboko w zad, lecz rana nie powstrzymała zwierzęcia, które z wściekłością szarżowało na Evana.

Evan błyskawicznie chwycił za krawędź koryta, wyteńczywszy wszystkie siły wyciągnął jeden jego koniec z błota, po czym opuścił je na szarżującą maciorę. Trafił ją prosto w łeb i świnia upadła, zatoczywszy się pod ciosem, z chrząknięciem przypominającym metaliczny szczęk.

Od strony płonącej palisady dobiegł krzyk i Thea spojrzawszy tam zobaczyła trzech motocyklistów wskazujących w ich kierunku.

— Evan! — krzyknęła przestraszona.

— Widzę — odkrzyknął, przywołując ją gestem. — Tędy, Thea — ponaglał, pokazując krzaki po obu stronach drogi prowadzącej do skrzyżowania. Owiązał prosiaki rzemieniem z króliczej skóry, przeskoczył płot i ruszył kłusem.

Pędząc w kierunku zarośli, Thea czuła go blisko przy sobie. Wciąż trzymał prosiaki, mocno ściskając rzemień i gnał jak wichra, poganiany przez strach. Bez słów wepchnął ją w krzaki i kuksańcem zmusił, by się pochyliła.

Żwir drogi ranił im stopy i nagle Thea potknęła się, wpadając na Evana.

— Spokojnie — dyszał. — Dasz radę, Thea, na pewno.

Szarpnięciem postawił ją na nogi.

Zaszlochała w odpowiedzi, lecz jego słowa dodały jej sił i zanurkowała razem z nim w zarośla, rozdzierając dżinsy o twarde gałęzie. Przedzierali się przez krzaki dopóki nie upewnili się, że nikt ich nie ściga, wtedy upadli na ziemię, spazmatycznie łapiąc ustami powietrze.

— I co teraz? — zapytała, kiedy odzyskała mowę.

— Zaczekamy. Może nie pójdą za nami, mając tyle dobra do łupienia. Ja nie pozwoliłbym Piratom tracić czasu na takie płotki jak my.

Thea zgodziła się z tym, przypominając sobie jak trzykrotnie Piraci zostawili ją w spokoju, zajęci plądrowaniem starych domów lub składów żywności. To był jeden z powodów, dla których dotychczas wędrowała samotnie.

— Zostawią nas w spokoju, o ile będziemy cicho siedzieć w ukryciu. Chyba, że zechcą nas ścigać pieszo. Jednak mają za mało amunicji, by strzelać na oślep.

— Chyba, że znajdą więcej amunicji w zabudowaniach. Wtedy mogą chcieć się trochę zabawić.

Przytaknął ruchem głowy, ale nie powiedział nic. Parę minut później przewrócił się na bok.

— Przynajmniej możemy coś z tym zrobić — mruknął, wyciągając zza pasa nóż i z trudem przecinając gardła świniakom. Kiedy tylko zaczęła płynąć krew, sprawnie wypatroszył je i związał razem za tylne nogi. Rzemienie z króliczej skóry stały się lepkie od krwi, ale trzymały dobrze.

— Uwędzimy je? — spytała Thea, gdy Evan skończył pracę.

— Prawdopodobnie to byłby najlepszy sposób — zgodził się. — Jak tylko się stąd wydostaniemy...

Przerwał mu ryk trzech motorów i Thea podskoczyła.

— Nadchodzą. Chyba znaleźli tę amunicję.

— Ale nie złapią nas — obiecał Evan. Zawiesił prosiaki przy pasie i wskazał na szczyt wzgórza. — Możemy tam przeciąć drogę i z powrotem wejść na grzbiet. Będziemy szli cicho i nie znajdą nas.

— Też myślisz, że mają teraz więcej amunicji, prawda? — zapytała, gdy zaczęli mozolnie gramolić się w górę. W odpowiedzi śrut przeczesał krzaki za nimi.

— Tak mi się wydaje — rzekł sucho Evan. — Będziemy musieli zygzakować, by utrudnić im celowanie. Posuwali się wolno, a wstający dzień jeszcze ich opóźniał.

Gałęzie i gęste listowie dawało dobrą osłonę, lecz w pełnym świetle dnia zbyt różniącą się kolorem od ich ubrań. Motocykliści z łatwością będą mogli ich zauważyć i złapać, gdy wynurzą się z gęstwiny. Następna wiązka śrutu przeleciała wśród gałęzi, ale nie tak blisko jak poprzednia. Thea spojrzała przez ramię.

— Pewnie znaleźli wnętrzości — szepnęła.

— Na zdrowie — zaśmiał się cicho Evan.

Szarpnął ją za rękaw, odciągając dalej od linii ostatniego strzału.

— Jest ich już więcej — powiedziała Thea, przystanawszy na tyle, by zerknąć za siebie. — Doszli nowi. Jest ich teraz pięciu lub sześciu.

— Cholera! — palce Evana zacisnęły się na jej ramieniu. Patrz tam!

Przed nimi, w miejscu gdzie polna droga krzyżowała się ze starą autostradą, wznosił się kurz. Odgłos toczących się wozów ciągniętych najprawdopodobniej przez muły lub inne powolne zwierzęta pociągowe, stawał się coraz wyraźniejszy, wydając się narastać wraz ze światłem dnia. Skonsternowana Thea spojrzała na Evana.

— I co teraz? — zapytała, przenosząc wzrok z kłębiącego się nad drogą kurzu na uzbrojonych motocyklistów za nimi.

Jednak Evan tylko nakazał jej gestem milczenie, wypatrując niecierpliwie.

— Ciekawe, kto się zbliża? — mruknął do siebie, drapiąc się po nieprzystrzyżonej brodzie.

Turkot stał się na tyle groźny, że dosłyszeli go motocykliści. Jeden z nich coś krzyknął i wszyscy zmienili kierunek jazdy. Silniki ich maszyn

zawyły, a grube opony cisnęły żwirem. Z okrzykami diabelskiej uciechy pomknęli na spotkanie przybyszom.

Jednak ich zadowolenie było krótkotrwałe, bowiem gdy tylko minęli zakręt, wydali chóralny wrzask przerażenia.

— Nietykalni! Potwory! Potwory!

Evan ostrożnie poczołgał się naprzód, gestem przykazawszy Thei, by została, gdzie jest i miała oko na motocyklistów. Kiwnięciem wyraziła zgodę i położyła się płasko na brzuchu spoglądając na płonące budynki i mocno ściskając pilnik w dłoni.

Rabusie pomknęli z powrotem do palącej się farmy, krzycząc do siebie. Ogarnięci paniką upuścili nawet jedną dubeltówkę, ale żaden z nich po nią nie wrócił.

Karawana, która tak ich wystraszyła, powoli wyłaniała się z tumanu kurzu, mała grupa mężczyzn i kobiet podróżujących w topornych wozach ciągniętych przez wynędzniałe zwierzęta. To, że posiadali zwierzęta pociągowe i zdążali nie niepokojeni przez zrozpaczonych i głodujących ludzi zamieszkujących wzgórza, świadczyło najwymowniej o grozie, jaką budzili.

Evan przywołał Theę do siebie. Cicho podczołgała się do niego przez poszycie.

— Biedni dranie — mruknął Evan, popatrzawszy na drogę.

Jego wzrok spoczął przez chwilę na wozie z dziećmi. Szybko spojrzął w inną stronę. Nawet w ciągu lat spędzonych wśród Piratów nie przyzwyczał się do straszliwych zniekształceń zdarzających się coraz częściej u rzadko rodzących się dzieci. Dzieci na wozach nie były wyjątkiem, tylko jedno wyglądało w miarę normalnie, cała pozostała siódemka miała defekty wahające się od kilku dodatkowych palców każdej ręki, przez odrażająco karłowate ciała i pozbawione kończyn kadłuby, po ołowianoszarą skórę z kolczastymi wyrostkami. Evan dostrzegł, że dwie kobiety były w ciąży i zdumiał się, jak wiele razy przedtem, co też nimi kierowało, kiedy się na to decydowały — mając takie dowody beznadziejności wysiłków. Thea zdawała się wyczuwać jego myśli.

— A jaki mają wybór? — zapytała. — Przynajmniej są płodne. To ma swoją wartość.

Czuła rozgoryczenie. Wartość kobiety mierzono liczbą dzieci. Sama widziała kobiety kupowane za spore sumy ze względu na to, że mogły rodzić dzieci. Nieważne, że mniej niż połowa dzieci przeżywała, a wiele kobiet umierało przy porożeniu.

Za nimi motocykliści ładowali łupy na swoje maszyny tak szybko, jak tylko mogli, porzucając płonące budynki i kobiety, o które walczyli tak zawzięcie. Popiół ze spalonych domów wolno unosił się za nimi, gdy odjeżdżali pospiesznie i samotny kogut zapał obwieszczając poranek.

— Głupcy! Przecież się nie zarażą — powiedziała cicho Thea. — Już dawno noszą to w sobie. Wszyscy to mamy.

Tuż przed skrzyżowaniem wozy zatrzymały się i trzech mężczyzn na czele żałosnej gromadki zaczęli się naradzać. Jeden z nich niecierpliwym ruchem ręki wskazywał unoszący się dym, a najstarszy niespokojnie rozglądał się dookoła, gestykulując nerwowo. Ostatecznie jednego z młodszych mężczyzn wysłano na skrzyżowanie jako zwiadowcę. Wrócił dość szybko i po krótkiej naradzie wozy znów ruszyły naprzód, skręcając na zwirową drogę w kierunku palącej się farmy.

Thea i Evan spoglądali na to w milczeniu, stojąc bez ruchu, gdy wozy z turkotem i skrzypieniem kół przetaczały się po żwirze.

Gdy na drodze znów było pusto, Thea zapytała:

— Czy sądzisz, że ogień może przerzucić się na krzaki?

Nie chciała mówić o Nietykalnych, którzy przejechali. Znała dobrze bezpodstawny przesąd, że mutacje obejmują tych, którzy uważają się za normalnych.

— Jeżeli kobiety jeszcze żyją i Nietykalni im pomogą, to nie — odparł Evan, ostrożnie unikając tego tematu. Chwilę nasłuchiwał, później pociągnął się do drogi. Nic, żywej duszy w zasięgu wzroku. Stanął na nogi i pobiegł do skrzyżowania. Wiszące u pasa prosiaki objęły mu się o nogi, brudząc spodnie krwią.

— Evan! — krzyknęła za nim Thea, przestraszona. Jednak jej lęk zmienił się w zdziwienie, gdy zobaczyła, jak przetrząsa zarośla przy

skrzyżowaniu i wynurza się z nich z dubeltówką, którą upuścił motocyklista. Prędko wydostała się z krzaków i stała czekając, kiedy wrócił niosąc ją w ręku.

— Naładowana?

— Obie lufy. To nam niewiele da, ale może gdzieś znajdziemy do niej naboje. Może w górze rzeki. Potrząsnęła głową.

— Nie licz na to. Ale możemy zrobić z niej kuszę, Evan — powiedziała z większym entuzjazmem, niż widział u niej przez kilka ostatnich tygodni. — A lufy nadadzą się na bełty.

— W ten sposób zrobiłaś poprzednią? — zapytał zaczynając długi powrotny marsz na grań. — Chodź. Musimy je uwędzić zanim mięso się zepsuje.

Potrząsnął rzemieniem z króliczej skóry i prosiaki zatańczyły jak kukiełki. Ruszyła za nim, łakomie wpatrując się w prosiaki i dubeltówkę. Za ich plecami dym rzedniał, mieszając się z parą, gdy Nietykalni i nieliczne kobiety, które przeżyły napad, zaczęły wspólnie nosić wodę. Echo motorów zginęło w kanionie, zostawiając tylko ciche głosy ludzi i ryk bydła.

W wyższych partiach kanionu po resztkach kolejowego mostu przekroczyli rzekę i w końcu osiągnęli krawędź spalonego płaskowyżu wiszącego nad nią, jak podwójny podbródek. Poczucie posiadania żywności dodało im sił, których inaczej by z siebie nie wykrzesali, a pod osłoniętym, skalnym nawisem, ku ich obopólnemu zaskoczeniu, Thea znalazła mały, zimny strumień ściekającej cienką nitką czystej wody. Zbudowali małą, prowizoryczną wędzarnię z głazów, by uwędzić prosię. Krzewinki mącznicy porastające stare pogorzelisko dostarczyły im dość suszu na ognisko, podczas gdy jedno prosię wędziło się w gryzącym dymie, drugie piekło się na węglach. Evan znalazł trochę dzikiego czosnku i natarł nim piekącego się prosiaka. Aromat unoszący się nad rumieniącym się mięsem zaostrzał im apetyt. Gdy oczekiwali, aż mięso się upiecze, Thea obracała w rękach dubeltówkę.

— Byłoby lepiej zrobić z tego kuszę — rzekła Evanowi po dłuższym milczeniu. — Nie możemy być pewni, że uda się nam znaleźć naboje,

bełty można zawsze zrobić z jakiegoś kawałka metalu. Zawsze się coś znajdzie, gwoździe, kawałki samochodu. Cokolwiek.

Spoglądając na nią ponad ogniskiem, przypomniał sobie, jak zobaczył ją po raz pierwszy w pustym silosie koło Chico. Miała wtedy kuszę przymocowaną do przegubu i bardzo niechętnie pozostawiła ją, gdy uciekali przed Coxem i Piratami.

— Wolisz kuszę, prawda?

— Oczywiście. To dobra broń. Nie robi wiele hałasu i ma dużą siłę. Możesz przebić prawie wszystko, jeżeli tylko dobrze się napina.

Uniosła głowę ukazując czyste rysy swej twarzy i błyszczące, czarne oczy o inteligentnym wyrazie. Nie znosiła, kiedy ją tak prowokowano. Jej policzki poczerwieniały.

— I mogłabyś z tego zrobić kuszę? Szybko?

Przez chwilę ważył dubeltówkę w ręce, jakby oceniając jej przydatność. W oczach Thei zapaliło się podniecenie.

— Mogłabym. Naprawdę, Evan. Mogłabym. — Skinęła lekko trzęsącą się ręką. — Zobaczysz.

Opuścił broń i rzekł:

— Jeżeli znajdziemy drugą, zrobisz kuszę dla mnie?

Kiwnęła głową, uszczęśliwiona. Evan podał jej dubeltówkę i patrzył, jak dotyka jej nieśmiało.

— Tylko zostaw mi naboje. Mogą się jeszcze przydać. Śrut to też dobra broń.

Roześmiał się z jej roztargnionej odpowiedzi i wyciągnął upieczone prosię z popiołu. Miła woń uniosła się wokół. Thea oderwała wzrok od wspaniałego połysku luf śmiercionośnej broni i rozgorączkowana spojrzała na prosiaka. Skórkę miał błyszczącą i chrupiącą, a przez pęknięcia wyciekał smakowity sok. Zjedli wolno po małym kawałku, zbyt wygłodzeni, by ich żołądki zmieściły więcej. Mięso miało słodki smak i było tak dobre, że to aż bolało. Pierwsze kęsy jedynie zaostrzyły ich głód przypominając im, ile czasu minęło, od kiedy jedli ostatnio porządny posiłek.

Liście mniszka, których Evan użył zamiast farszu, nadawały wieprzowinie odrobinę pożądaną goryczy. Ostatecznie Evan przerwał ucztę, owijając resztę prosięcia w kawałek swej koszuli, by zachować mięso na później.

— Nic nie szkodzi, Thea. Zjemy je potem, jutro rano. To, co tu mamy, może nam wystarczyć na tydzień — powiedział łagodnie, widząc przestrach i ciche sapnięcie, z jakim gwałtownie wyciągnęła rękę. — Jeżeli zjemy za dużo na raz, rozchorujemy się.

— Wiem. Wiem. Ja tylko... — urwała, patrząc jak chowa mięso. Z westchnieniem wyciągnęła się na skale, przy ognisku.

Robiło się coraz zimniej. Evan położył się blisko, czując żal, że Thea odsuwa się od niego. Wiedział, że Thea wciąż dotkliwie odczuwa to, co się zdarzyło, a widok napadu na farmę znów przywołał wspomnienia. Spała odwrócona do niego plecami, zwinięta w kłębek, obca. Patrząc na rozgwieżdżone niebo zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła powstrzymać swoje pragnienia. Otaczająca ich pustka zżerała mu duszę, odwracając jego myśli od rozważań nad beznadziejnością życia, jakie teraz wiódł. Thea miała odwagę żyć w ruinach tego świata, uzbroić się przeciw czekającym ich okropnościom. Może nad Złotym Jeziorem razem z innymi będą mogli przetrwać nadchodzące lata. Czerpał pewną pociechę z tej myśli, chociaż niezbyt w to wierzył. Gdyby wciąż miało być tak, jak teraz, gdyby mieli nie zaznać niczego lepszego... Bał się myśleć, co się z nimi stanie. Spojrzał na skuloną dziewczynę. Z jaką ulgą schroniłby się w jej ramionach! Jednak Thea go nie chciała. Wzdragała się, kiedy jej dotykał. Nie znalazłby w niej ucieczki, nawet chwilowego zaspokojenia. Znów by coś zniszczył, obarczył się jeszcze większą winą. Tak więc leżał milcząc i wdychał zapach wędzących się prosiaków. Późno w nocy Thea zamruczała:

— Evan?

— Jestem.

— To dobrze — powiedziała i zasnęła, a on nie był pewien, czy w ogóle się przebudziła.

Z nadejściem świtu zdecydowali się przeciąć pasmo gór, pozostawiając wijącą się w kanionie rzekę. Mieli przed sobą trudny szlak, lecz nie grożący napotkaniem motocyklistów czy też zabłąkanych Piratów. Pewne niebezpieczeństwo istniało, oczywiście, niezależnie od obranej drogi, ale idąc przez góry mogli dotrzeć do Quincy prawie trzy dni wcześniej.

Z dala od rzeki nędzne sosny wyciągały w niemym proteście gałęzie o ciemnoczerwonych igłach. Kiedyś były to limby, ale musiały się zmienić, teraz botanik nie znalazłby dla nich nazwy.

Podążając na wschód górską granią, Thea i Evan doszli do starej drogi wiodącej ku dawno opuszczonej kopalni. Zarośnięta zielskiem, pocięta koleinami, wytyczała jednak wyraźny szlak przebiegający obok jezior: Smitha i Wężowego. Drzewa rosły tu gęściej, niektóre nawet jeszcze zielone — naoczny dowód, że w górskich jeziorach woda została czysta. Jednak trucizny unoszące się w powietrzu i opadające z deszczem skazywały ich wysiłki na niepowodzenie. Niedługo drzewa będą musiały się poddać.

Kopalniana droga złączyła się z drogą dochodzącą do Jeziora Wężowego i chociaż właściwie żadna z nich nie zasługiwała, by ją nazwać czymś więcej niż ścieżką, jednak wyprowadziły Evana i Theę na ostatnie wzniesienie. Niżej, na wschodzie, leżało Quincy, otoczone górami, ukryte w zaciszu American Valley. Patrząc na niewielkie skupisko domów myśleli o tym, że została im już niecała ćwiartka prosiaka, a tam w dole są ludzie i żywność.

— Wygląda spokojnie — rzekł z powątpiewaniem Evan. — Nawet nie pilnują drogi.

— A więc coś musi być nie w porządku — powiedziała Thea. — Są blisko autostrady, musieli już mieć kłopoty. Evan zważył w rękę nóż, zauważając w duchu, że to parodia broni.

— Uważasz, że to pułapka? — zapytał głośno. — Schodząc tam ryzykujemy.

Ciągnięty przez konia powozik przejechał główną ulicą miasteczka, nie budząc gniewu czy zdziwienia.

— Nie głodują — to pewne. Wciąż mają konie — zauważyła Thea. Z grymasem ujęła mocniej kuszę. — To znaczy, że mają żywność dla siebie i zwierząt. No nie?

Evan spoglądał na miasto marszcząc brwi. Żywność i konie oznaczały, że mieszkańcom dobrze się powodzi. Tym bardziej bezsensowny wydawał się fakt, że pozostawali nie strzeżeni i nie zabezpieczeni przed atakiem. Żadnych czerwono-żółtych flag trędowatych na domach, żadnych oznak skażeń poza miastem o znacząco pomalowanych na czarno drzwiach. Kolor drzew nie zdradzał śladu skażenia.

Evan leniwie cisnął kamyk po zboczu, patrząc jak toczy się przez gąszcz krzaków. Wystraszony tym duży jelen z wielkim jak u bizona garbem wypadł z kryjówki, łamiąc porożem gałęzie. Na boku miał różowawą plamę regenerującej się tkanki.

— Może o to chodzi — powiedziała Thea. — Jeżeli to Mutanci, to lepiej od razu chodźmy do Złotego Jeziora. To daleko, ale poradzimy sobie. Możemy znaleźć jedzenie gdzie indziej. Wcale nie musimy tam schodzić.

— Mutanci? Mówisz tak z powodu jelenia?

— Może to są Nietykalni? To by wszystko wyjaśniało — Thea spojrzała pytająco na Evana. — Nad Złotym Jeziorem przyjmą nas, jestem tego pewna.

Podrapawszy się po odrastającym ramieniu, odparł ponuro:

— Tu też nas mogą przyjąć. Jeżeli to Mutanci, to nadajemy się.

— Trudno powiedzieć — naciągnęła wystrzępioną kurtkę, kuląc się z zimna. — Zima przyjdzie szybko — dodała, myśląc, że muszą się spieszyć, by dotrzeć do Złotego Jeziora przed pierwszymi śniegami. Nie będą mieli czasu, by zatrzymać się w Quincy. Nie mając żywności, nie chciała zostać sama w górach, gdy nadejdzie zima.

— Tak. Zima.

Spojrzała na niego badawczo, ale niczego się nie dowiedziała. Jego twarz pokryta jasnym, przetykanym siwizną zarostem, nie miała żadnego wyrazu.

Po południu zaczęli schodzić w dół. Trzymając się dawnej drogi, ostrożnie podchodzili do miasteczka. Zbliżali się wolno, wypatrując patroli lub wysuniętych posterunków ukrytych w zaroślach, gotowych zastrzelić ich z zasadzki. Jednak nie napotkali nikogo. Przed zmrokiem znaleźli się mniej niż dwie mile przed Quincy i rozbili obóz przy zakręcie strumienia.

— I co teraz? — spytał Evan, spoglądając w stronę odległych, białych światełek. — Idziemy tam, czy czekamy?

— Zaczekamy do rana. Nie wygląda na to, ale jednak możemy wpaść w pułapkę. I to paskudną.

— W porządku — zgodził się Evan zdejmując plecak. Nowe palce bolały go, lecz czuł, że z dnia na dzień stają się silniejsze.

Dwie godziny później obcy przyszedli do ich obozu. Thea chwyciła za kuszę, lecz wielki zadziwiająco ogolony mężczyzna nadepnął jej na rękę.

— Nie rób tego, panienko. Nie przyszliśmy tu szukać kłopotów. Wy też ich nie róbcie.

Evan wstał bardzo ostrożnie, trzymając ręce tak, by stojący w cieniu poza kręgiem ognia ludzie mogli je cały czas widzieć. Wyraźniej niż kiedykolwiek uświadamiał sobie kolor i niezręczne ruchy swojej nowej ręki.

— Nie mieliśmy złych zamiarów — rzekł wolno. — Zobaczyliśmy miasto i pomyśleliśmy, że może znajdziemy coś do jedzenia.

Wskazał na ostatnie kawałki wieprzowiny piekące się nad ogniskiem.

— To wszystko, co nam zostało.

Kiedy nie odpowiedzieli, ciągnął dalej:

— Jesteśmy zdrowi. I chętni do pracy.

A jeżeli obcy są łowcami niewolników — pomyślał — to rzeczywiście będziemy pracować.

Jeden z mężczyzn w ciemnościach zaśmiał się niewesołym śmiechem pozbawionym szyderstwa.

— Nie bądź tego taki pewny — powiedział do Evana.

— Widzisz — wyjaśnił mężczyzna stojący na ręce Thei — my sami jesteśmy Nietykalni. Od przeszło dwu lat nie urodziło się nam normalne

dziecko. Mamy tuzin takich dzieciaków. Jedne z deformacjami fizycznymi, inne z psychicznymi. No, nie mówię, że są do niczego, albo jak rośliny, czy co innego. Nie są — wbił wzrok w popiół ogniska. — Wyglądają trochę dziwnie i niektóre nie mówią zbyt dobrze, ale to nasze dzieci.

Wyzywająco spojrzął na Evana, jakby oczekując sprzeciwu.

— Jasne — rzekł Evan, wyciągając rękę do leżącej na ziemi Thei.

— Och — powiedział wielkolud i zabrał nogę. — Przepraszam. Zobaczyłem, że sięga po kuszę. Nie chciałem nic złego.

Cofnął się, czerwony ze zmieszania. Thea przysunęła się do nóg Evana, jej oczy miały nieprzytomny wyraz.

— W porządku, Thea — powiedział do niej miękko, opuszczając ku niej rękę.

— Thea — podchwycił mężczyzna, chcąc poprawić sytuację — to ładne imię. Zawsze je lubiłem. Jedna z moich ciotek miała tak na imię. Była dobrą kobietą. Mieszkała na Russian Hill. Mówiła, że stamtąd ma najlepszy widok na miasto.

— Mam na imię Althea — powiedziała zimno. Prawie przestała się bać i była teraz zła na siebie.

— To też ładnie — rzekł kulawy mężczyzna. — Ja jestem Hobart. Mówią na mnie Miodek, bo hoduję pszczoły.

Ostatnie słowa mówił, prawie skręcając się z zażenowania. Czekał, aż Evan również się przedstawi.

— Jestem Evan Montague — odparł odwzajemniając się Hobartowi nieustępliwym spojrzeniem. Jeden z mężczyzn w mroku zapytał ostro:

— Montague od Piratów? Ten Evan Montague?

Tego pytania Evan obawiał się najbardziej, ale odparł bez wahania:

— Tak. Byłem Piratem.

— Byłeś? — zapytał głos, nie starając się ukryć sarkazmu.

— Tego lata w Chico — powiedział z rezygnacją Evan, nie spodziewając się, by ci nasrożeni nagle ludzie mu uwierzyli — właśnie zdobyliśmy Orland i przeprawiliśmy się przez rzekę do Chico... To było piekło. W trakcie tego Cox przejął władzę. Zaskoczył mnie i moich ludzi.

Zamknął oczy.

— Najpierw zabili Pearsona i Rossiego. Piłą. To samo chcieli zrobić ze mną, ale zaczęli zbyt późno. Dostali tylko moją rękę.

Wyciągnął przed siebie ramię z dziwnym odrostem poniżej poszarpanej szramy. Z namiastką uśmiechu ciągnął dalej:

— Miałem szczęście. Nie udało im się mnie wykończyć. I zapomnieli, że jestem mańkutem. Kiedy Cox mnie zostawił, uciekłem.

— Ty jesteś Montague — rzucił oskarżycielsko inny niewidoczny człowiek. — Jesteś Piratem.

— Już nie. Wyznaczyli cenę za moją głowę. Jeżeli mnie złapią, Cox lub jego rzeźnik Mackley z radością dokończy dzieła. Teraz będzie gorzej, bo Cox chce zniszczyć Mutantów. Najwidoczniej ja też do nich należę.

Podał Thei rękę, ale nie ujęła jej.

— Thea też — dodał.

— Nie wierzcie mu — rzekł pierwszy głos. — To zwiadowca Piratów. Znaleźli nas i chcą naszej ziemi i bydła.

— Zamknij się, Simon — mruknął Hobart. — Czy ona jest twoją żoną?

— Nie — odparł Evan z większą goryczą, niż to sobie uświadamiał. — Wędrujemy razem, to wszystko. Spotkaliśmy się w Chico. Dzięki niej żyję.

— Chico — powtórzył Hobart. — Słyszałem o tym. Pamiętam, że mówili różne rzeczy o Coxie. Może mówisz prawdę.

Ogień zasyczał, gdy przepalona gałąź z prosiakiem wpadła w płomień.

— Nasze jedzenie się spali — powiedziała gniewnie Thea do Hobarta. — Więcej nie mamy. Nie może się zmarnować. Jestem głodna.

Uklękała, by ocalić zwęglone resztki kolacji, ignorując otaczających ich ludzi. Jakby udało się jej przełamać lody. Trzej mężczyźni wyszli z cienia. Jednemu dłonie wyrastały zaraz z ramion.

— Nie martwcie się o kolację — powiedział ten, którego Hobart nazwał Simonem. — Znajdzie się u nas coś do zjedzenia.

Człowiek bez rąk pochylił się ze zwinną gracją, by ocalić resztę mięsa.

— Pani ma rację: szkoda, by się zmarnowało.

Uśmiechnął się uprzejmie do Thei.

— Moja żona da to psom. Od czasu do czasu lubią skosztować wieprzowiny.

— Macie psy? — zapytała Thea, znów zadziwiona takim dobrobytem. Widziała ludzi walczących o ścierwo wychudłego psa czy kota. Posiadanie takich ulubieńców było luksusem.

— To nasi strażnicy — odparł przepraszająco. — Większość z nas ma psy, lecz jest też kilka kotów. Pomagają nam niszczyć szkodniki. Wciąż jeszcze miewamy kłopoty ze szczurami.

Wyciągnął rękę, by pomóc jej stanąć na nogi. Czując, że nie powinna jej odtrącać, lecz mimo to przerażona myślą o dotknięciu, Thea spojrzała na Evana, czerpiąc otuchę z jego twarzy. Zesztywniała na wspomnienie Lastly'ego i jego noża na swej piersi. Zaciskając zęby chwyciła podaną rękę i podniosła się szybko.

— Dziękuję — mruknęła, odwracając wzrok.

— Jestem Lockhart — powiedział bezręki. — To jest Simon. A ten ze szramami na twarzy to Zimmermann.

— Zimmermann — powtórzył Evan. — Czyli Carpenter? Zapytany odpowiedział ze śladami niemieckiego akcentu:

— Tak. Dla ciebie Carpenter, ale dla mnie Zimmermann.

Zimmermann i jego rodzina zaprosili ich na obiad. Podczas gdy Thea i Evan jedli podgrzany gulasz z kluskami, gospodarz raczył ich wspomnieniami z miasta, w którym mieszkał przed czterdziestu laty.

— Hamburg, wiecie — mówił z głośnym westchnieniem — to piękne, piękne miasto — niegdyś. Jako dziecko, a później jako chłopiec, zanim zaczęły się kłopoty, kochałem je... Elba była wtedy czysta. Wspaniała rzeka, rzeka, o której mógł pisać poeta i być z tego dumny... Stała się taka... brzydka... po tym wszystkim. Kto by pomyślał, że ta elektrownia koło Domitz nie jest dobrze zabezpieczona. Przeprowadzali kontrole i wszyscy twierdzili, że nie ma jednej szansy na dziesięć tysięcy, by coś mogło się zepsuć. Ale jedna szansa na dziesięć tysięcy nie zawsze oznacza dziesięć tysięcy lat. Czasem oznacza dwa, czasem dwanaście albo dziewięćset.

Mimo dzielących go od rodzinnego miasta mil i lat, jego oczy pojaśniały.

— Tak, takie cudowne miasto. Mój ojciec — ciągnął żywo, bojąc się zbyt wiele myśleć o utraconym domu — przemyślał wszystko starannie. Zdecydował się przenieść w góry. Nie wiedział tylko, że nosi już w sobie zarazę.

Thea obserwowała go niespokojnie znad parującego talerza. Napatrzyła się już na miasta i nie mogła pojąć, jak ktoś może je kochać. Były brudne, pełne szczurów i niebezpieczne.

— Byłam w Sacramento — powiedziała niepewnie. — Tam jest okropnie.

Znów ujrzała olbrzymie budynki o podziurawionych ścianach ziejących pustką powybijanych okien niczym dziurami po zębach. Nieliczni pozostali ludzie zamienili ulice w pole bitwy, a rzeka śmierdziała chemikaliami jak bagno.

Katherine, młoda żona Rudy'ego Zimmermanna, czule objęła go pulchnym ramieniem, besztając łagodnie:

— Oni wiedzą, co stało się z krajem, Rudy. Zawsze jest nam przykro, kiedy coś tracimy. Nie rozwódźmy się nad tym.

Jednak Evan przerwał jej:

— Byłem kiedyś w Hamburgu.

Zobaczył zainteresowanie w oczach Zimmermanna.

— Byłem wtedy bardzo młody. Mój ojciec dyrygował tam orkiestrą.

Rudy podskoczył z dramatycznym napięciem na rumianej twarzy.

— To to był Montague? — dopytywał się bliski rozpaczy. — Ten, który tak bardzo lubił Mozarta? Dyrygował „Requiem” Verdiego w katedrze? To był twój ojciec?

— Tak.

Twarz Evana również rozjaśnił niemal dziecinny uśmiech.

— Słyszałeś go? W katedrze?

— Tak. Słuchałem tego Verdiego. Czy twój ojciec nie występował również w operze? Wydaje mi się, że dyrygował. Grano „Wesele Figara”.

— Zimmermann był bliski łez. — Nie słyszałem Mozarta od tylu lat,

przynajmniej nie tak, jak się powinno słuchać: na instrumentach, ze światłami i tłumem ludzi dookoła.

Thea spojrzała niepewnie na Evana.

— Mozart? On pisał muzykę — kiedyś, prawda? Nie mogę sobie nic przypomnieć, ale Iris Thompson grywała kilka jego utworów na pianinie.

Thea nigdy jeszcze nie widziała Evana tak uszczęśliwionego. Sprawiało jej to radość, a jednocześnie zatrwożyło, bo nagle stał się bardzo daleki, a wiedziała, że w takich chwilach nie potrafi towarzyszyć mu myślą.

— Umarł w 1791. Ponad dwieście lat temu. Jego muzyka przetrwała długo.

— Dziękuję. Prawie zapomniałem o tym „Weselu Figara”. — Spojrzał ciepło na Zimmermanna, stwierdzając, że dzięki niemu wspomnienia lat dzieciństwa stają się wyraźniejsze.— W tym samym roku koncertował też z „Giovannim” w Londynie. Nie miałem chyba więcej jak osiem lat.

Stary Niemiec zaczął śpiewać wibrującym barytonem:

— *Dove sono i bei momenti, Di dolcezza e di piace?*— głos mu się załamał. — Nie mogę dalej — powiedział chrapliwie.

Evan roześmiał się i zawtórował Zimmermannowi głosem, który w innym czasie, w innym miejscu wydałby się piękny:

— *Se vuol ballare, signor contino, se vuol ballare, signor contino, Il chittarino le suoneró...*

— *Il chittarino le suonero, si, le suonero si, le suonero!* — dokończyli razem. Komiczne pogróżki Figara rozśmieszyły ich — prawie do łez.

— Co znaczyły te słowa? — zapytała Thea później, kiedy sycili się niemal już zapomnianym komfortem czystych koców i miękkich prycz. Ich pokój był niewielki, większy zaledwie od sporej szafy, a blask rzucany przez piec kuchenny dawał wystarczająco wiele światła, by dojrzeć swoje sylwetki pod przeciwnymi ścianami. — O czym śpiewaliście?

Evan zastanawiał się chwilę, wolno tłumacząc w myślach słowa.

— Pierwszy powiedział: Gdzie się podziały te słodkie chwile rozkoszy?

Evan potarł oczy i spojrzał na ukrytą w mroku Theę.

— A drugi? — nalegała.

— Jeżeli chcesz tańczyć, księżę, to ja ci zagram — powiedział szybko, myśląc o skomplikowanej intrydze, z jaką się wiązały te słowa.

— A co to znaczy?

Nie ośmieliła się zapytać, dlaczego piosenka ta sprawiła mu najpierw tyle radości, a teraz wprowadziła w przygnębienie.

— To, że wszyscy ponosimy konsekwencje — znów opadł na poduszki, nucąc cicho. Nagle urwał i wybuchnął gniewnie: — Powinno się było udać. Powinno, cholera! Dlaczego tak się stało? Ten Cox i jego strach przed Mutantami — ta paranoja.. To bez sensu. Co on sobie myśli — że kto to przeżyje? A inni mu uwierzyli. Chcą zabijać Mutantów.

— Może oni po prostu lubią zabijać — powiedziała zadziwiająco łagodnie Thea.

— Uważasz, że to coś zmienia? — podparł się na łokciu. — Thea, urodziłem się w 1967 roku. Wtedy nawet nie było Mutantów. Och, zdarzały się takie historie, jak afera z Thalidomidem. Jednak nie tak jak dziś. Kobiety były płodne — niemal wszystkie. Prawie nie rodziły Mutantów. Nie było Nietykalnych. I wystarczyło niecałe pięćdziesiąt lat, żeby doszło do tego. Chryste!

Raptownie odwrócił się twarzą do ściany.

— Evan?

Nie odpowiedział.

— Evan, Cox byłby taki bez względu na okoliczności. Są tacy ludzie.

Skrzywił się i powiedział:

— Niestety, co roku ich więcej. To pogarsza sprawę — zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Z Coxem będzie coraz gorzej. Nikt go nie zdoła powstrzymać. Będzie toczył wojnę z Mutantami, a oni są naszą jedyną szansą. O Boże, Boże, powinienem był wiedzieć! Powinienem go powstrzymać.

— Przecież nie wiedziałeś.

— Nie przywiązywałem do tego wagi. Myślałem, że to nie ma znaczenia. Uważałem, że kiedy przyjdzie czas, potrzeba przetrwania

złączy ludzi. Byłem aroganckim skurwysynem — parsknął szyderczym śmiechem i umilkł.

Thea czekała długo, aż po regularnym oddechu Evana poznała, że wreszcie zasnął. Cicho, sama do siebie, zaczęła nucić w kółko pierwsze takty piosenki, próbując zrozumieć, dowiedzieć się, co czuł Evan słysząc je, co sprawiło mu taki ból.

Kilka dni spędzonych w Quincy przeciągnęło się do kilku tygodni. Pochłodniało, i ostatnie plony zwożono pospiesznie, by zdążyć przed nadejściem zimy. Życie było przyjemne i pracowite, wśród miłych i przyjaznych mieszkańców, co czyniło spartańską prostotę łatwiejszą do zniesienia.

Nieliczne dzieci obnosiły swoje deformacje bez zażenowania, a rodzice byli z nich dumni i cieszyli się z ich osiągnięć. Evan znalazł w tym dziwną pociechę, bo to dowodziło, że miał rację.

— To właśnie powinienem był zrobić — mruknął do Rudy'ego Zimmermanna, gdy wracali kiedyś z budynku dawnego college'u, gdzie próbowali nastroić któryś ze starych fortepianów.

— Co masz na myśli? — powietrze było wciąż wilgotne od świeżo spadłego deszczu i z ich ust unosiły się kłęby pary, gdy maszerowali żwawo w kierunku domu Rudy'ego.

— Wydaje mi się, że macie tu to, co próbowałem zbudować z Piratami. Macie domy, rodziny, macie... nadzieję — spojrzał w dal. — Ten stary baldwin jest w bardzo złym stanie. Szkoda, że nie mamy do niego strun. Moglibyśmy wtedy naprawdę sobie pograć.

Rudy zaakceptował zmianę tematu.

— Jest jeszcze chickering. Nie próbowaliśmy go. Moglibyśmy teraz spróbować suity Mother Goose.

— Mam na to zbyt sztywne palce — Evan pochuchał w dłonie. — Robi się coraz zimniej.

— Niedługo spadnie śnieg.

Evan z roztargnieniem skinął głową, myśląc o czym innym. Nagle przystanął, gestem nakłaniając Rudy'ego, by zrobił to samo.

— Co się...?

— Cii! — nakazującym ruchem uniósł dłoń, nasłuchując w skupieniu. Przez szelest liści przedarł się inny, brzęczący dźwięk. Bruzdy na twarzy Evana pogłębiły się.

— Metanowe silniki — powiedział cicho.

— Nic nie słyszę...

— Słuchaj! — spojrzał na niego zimnymi, niebieskimi oczami. — Sześć, może siedem wozów. Musimy się spieszyć!

Trzepnął Rudy'ego po ramieniu i zaczął biec, nie czekając, aż Niemiec ruszy za nim.

— Ale co to jest?

— Piraci, Rudy! Znaleźli was!

Tylko czterech mieszkańców miasteczka zostało rannych i teraz zajęto się nimi fachowo w małym szpitaliku na północnej stronie.

— Mogło być gorzej — Honey Hobart czyścił swoją dubeltówkę na środku ratusza.

— Tak uważasz? — zapytał Evan. Siedział na jednym z szerokich stołów zarzuconych szkicami i mapami.

— Nie zabili nikogo z naszych, a my załatwiliśmy czterech.

Odłożył dubeltówkę i wziął się za karabin.

— Tak, a ośmiu uciekło. Jeden z nich to Joel Mackley, ulubiony morderca Coxa. Powie Coxowi, co tu znalazł, a wtedy wróca.

Wskazał palcem na mapę.

— Patrz, Honey, nawet jeżeli ta droga przez kanion jest w złym stanie, wciąż pozostaje jeszcze nasyp kolejowy, a sam powiedziałaś, że Nietykalni używają drogi cały czas. Jeżeli oni mogą, Piraci Coxa też. I zrobią to. Chcą waszego miasta i chcą złapać Theę i mnie.

Simon potrząsnął głową.

— Musimy tylko siedzieć cicho, a zostawią nas w spokoju. Przecież byli tu w dolinie przez tyle lat...

Evan uciał krótko:

— Ja znam tych ludzi, Simon. Dowodziłem nimi. Jeżeli masz coś, co im się przyda, zabiorą ci to. Musicie zacząć budować umocnienia, i to zaraz. Nie dziś, nie jutro — natychmiast. Zaczniecie dziś wieczór. Pozbierajcie

broń palną w całym mieście i doprowadźcie do porządku, wystawcie warty, zbudujcie wieże strażnicze. Nie macie wiele czasu.

Honey Hobart przerwał pracę i wyciągnął rękę z naoliwioną szmatą.

— Mówiłeś, że jeden z nich rozpoznał cię. Jesteś pewien, że nie chodzi ci tylko o ochronę własnej skóry? — przerwał. — Nie masz prawa wymagać od nas, byśmy zrujnowali nasze miasto dla ciebie.

— Wcale was o to nie proszę, Honey — Evan podniósł się na nogi z rozpaczą na twarzy. — Próbuję wam pomóc. Jeżeli się nie uzbroicie, nie zabezpieczycie, zostaniecie zniszczeni.

— Czy to groźba, Montague?

W pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho. Evan napotkał uporczywy wzrok Hobarta i powiedział gniewnie:

— Więc co mam zrobić, Honey? Poderżnąć sobie żyły? Poświęcić się? Powiedz?

Hobart odwrócił się.

— Będziemy musieli to przegłosować.

To Simon przekazał Evanowi decyzję Quincy.

— Naprawdę nie chcieliśmy tego, Evan, nawet Honey nie chciał. Ale sam rozumiesz — mówił prosząco, rozkładając ręce, by okazać swoją bezradność. — Będziecie musieli odejść. Thea też. Na pewno wiedzą, że jest z tobą. To ze względu na wasze własne dobro, nie tylko nasze. Musicie to zrozumieć. Tu jest dla was zbyt niebezpiecznie.

Evan popatrzył na Simona i zobaczył w jego oczach ból.

— Słyszę — powiedział, rozumiejąc sytuację. — Ale to nie tylko o nas im chodzi, cokolwiek o tym myśli Hobart. Ty to rozumiesz, prawda? Nie zostawią was w spokoju teraz, kiedy już wiedzą, że tu jesteście.

Macie to, czego potrzebują. Macie zwierzęta, macie domy, zapasy żywności — wszystko, czego szukają Piraci. Jednak nie przyciągają ich tu tylko wasze stada i żywność — Cox prowadzi świętą wojnę z Mutantami. I to Mackley prowadził zwiadowców. On też nienawidzi Mutantów. To fanatyk. Przyprowdzi tu Coxa ze względu na samych Mutantów.

Przygnębiony Simon pociągnął łyk ziołowej herbaty Katherine Zimmermann.

— Rozumiemy to, oczywiście. Właśnie dlatego odesłaliśmy dzieci. Tylko na jakiś czas. Znamy kilka miejsc, gdzie przyjmą je chętnie, niedaleko stąd. Wyjaśnimy mu wszystko. Może uda się nam dojść do porozumienia.

— Jeżeli raz zapłacicie okup, nigdy się ich już nie pozbędziecie — stwierdził Evan bez urazy.

— Ale możemy wyjaśnić sytuację. W przyszłym roku posiejemy więcej, a jeżeli nam pomogą, będziemy mogli się podzielić. Cox powinien to zrozumieć. Ty to rozumiesz.

— Ja to nie Cox — powiedział Evan. Wiedział, że Simon chce sam siebie przekonać, ale nie mógł się powstrzymać. — Sądysz, że Cox na pewno będzie rozsądny? Pojmie wasz punkt widzenia? On rozumie tylko to, co mu przynosi korzyść. Bogactwo i sławę.

Simon wybuchnął:

— Musimy spróbować Evan. Inaczej możemy równie dobrze położyć się i umrzeć! — zerwał się na nogi wywracając dzbanek i z nie szczęśliwą miną spojrzał na zieloną plamę rozlewającą się na lnianym obrusie. — Niech to szlag, Evan, nie jesteśmy okrutni. Nie wy rzucimy was nago. Damy wam żywność i odzież. I narzędzia. Zaopatrzymy w dwie pary mocnych butów. Nie jesteśmy potworami. Wiemy, czym jest zima. Zrobimy wszystko, żebyście ją przetrwali.

— Ale nie pozwolicie nam tu zostać.

— Ale nie pozwolimy wam tu zostać.

Rudy Zimmermann stanął w drzwiach i popatrzył na nich.

— Ty też tego chcesz, Rudy? — zapytał Evan, zastanawiając się, gdzie się podziewa Thea i co się z nimi stanie.

— Nie chcę tego. Zostaliśmy przyjaciółmi i razem wspominamy dobre rzeczy, jakie utraciliśmy. Jednak to mój dom. Muszę go bronić, ochraniać, cokolwiek by się nie stało. Nic więcej nie mogę zrobić. Gdybyście mieszkali z nami od roku albo dwóch, może byłoby inaczej.

Unikał oczu Evana i nie widział widniejącego w nich współczucia.

Evan podniósł się wolno, spoglądając w kierunku kuchni, gdzie Katherine przygotowywała kolację. Pomyślał leniwie, że chciałby zostać

z tymi ludźmi w tym cichym zakątku, gdzie jeszcze istniało coś przypominającego cywilizację i życie wciąż miało swój urok. Jednak wiedział, że nie było już szans na ratowanie Quincy teraz, gdy Piraci odkryli miasto. Quincy było skazane na zagładę.

— Porozmawiam o tym z Theą. Obiecuję, że odejdę. Nie mogę mówić za nią.

Wstał i opuścił jadalnię, przechodząc do pokoiku sąsiadującego z kuchnią, gdzie spali razem, a jednocześnie osobno w ciągu dziewięciu tygodni spędzonych w Quincy. Obrzucił wzrokiem małą kupkę rzeczy, jakie mieli i pomyślał pożądliwie, jak dobrze jest mieć własny dom i posiadać więcej, niż się zdoła unieść na plecach. Uklęknął i dotknął butów, które zrobił do niego Rudy Zimmermann. Te buty będą musiały wytrzymać długą, długą drogę — pomyślał.

— Evan? — Thea cicho weszła do pokoju.

— Proszę, żebyśmy odeszli. Mówią, że nasza obecność stanowi dla nich zbyt wielkie zagrożenie teraz, kiedy nadchodzą Piraci.

— Przecież są tu Mutanci...

Przeciął jej krótko:

— Wiem. I co z tego? Może oni też wiedzą.

Odwracając się do niej zobaczył, że jej ciemne oczy pod gęstymi brwiami stają się zamyślane.

— Co jest, Thea?

— Nic. Przypuszczałam, że tak może się zdarzyć. Teraz możemy iść do Złotego Jeziora.

— Zapomniałbym o tym na twoim miejscu — powiedział kwaśno. Nie chciał pokładać nadziei w czymś tak ulotnym.

Lecz Thea go nie słyszała.

— Masz. Jest twoja, tak jak ci obiecałam.

Z tymi słowami wcisnęła mu w rękę kuszę, odwróciła się gwałtownie i wyszła do kuchni.

Evan stał nieruchomo, obracając kuszę w rękach. Zrobiono ją z kolby karabinu i korbki od młynka do kawy złupionego gdzieś w opuszczonych domach na południowym krańcu miasteczka. Spust był lepszy niż w

kuszy Thei. Dotknął metalowego łoża pieczołowicie wykonanego z lufy dubeltówki. Otaczające je drewno wypolerowano i wyrzeźbiono w niezgrabne wzory liści i zwierząt.

Wszedł do kuchni i stanął, zastanawiając się, co jej powiedzieć.

Nie patrząc mu w twarz powiedziała:

— Idę z tobą.

IV

Hobart doradził im, by trzymali się z dala od dróg i poszukali szczęścia w górach.

— Wiem, że trudno się tam dostać przez śniegi, skały i w ogóle, ale woda jest dość czysta i nikt tam nie chodzi, chyba że na polowanie. Piraci za wami nie pójdą. Zostaną w pobliżu rzeki i autostrad. Na górze będzie wam dobrze.

— A ty? — spytał Evan, nakładając plecak, który dał mu Zimmermann. Na mocnej ramie, dobrze przylegającej do pleców, osadzona była komora mieszcząca kilka funtów żywności.

— Mam tu jeszcze sporo pracy.

— A potem, Honey? Co się stanie, jeśli przyjdą Piraci? Wiesz, że przyjdą.

— Prawdopodobnie masz rację — zgodził się Honey, pocierając czubek nosa.

— Możecie też pójść w góry. Przyłączyć się do nas nad Złotym Jeziorem.

— Może to zrobimy. Jeżeli nie będziemy mogli tu zostać. Zima jest tuż, tuż, a wygląda na to, że będzie długa. W miejscach, gdzie jeszcze rosną jagody, jest ich mnóstwo.

Cofnął się o krok.

— Uważajcie na siebie. Możecie wrócić na wiosnę, jeśli chcecie, kiedy sprawy się ułożą — dodał niemądrze. — No, do widzenia.

Odwrócił się i zaczął iść z powrotem do miasta. Evan zapiął kurtkę pod szyją, spoglądając na góry wznoszące się na południu i zachodzie.

— Niezła wspinaczka — zauważył.

— Jestem gotowa.

Po raz pierwszy zobaczył na jej twarzy coś przypominającego uśmiech.

Tak więc ruszyli z powrotem w góry Sierra Nevada, chroniąc się wśród skalistych grani i wyniosłych szczytów. Podążali starą drogą do Buck Lake, mijając dwa wypalone miasta. Szlak był stromy i w

niektórych miejscach całkiem zmyty przez deszcze. Wolno szli w górę, walcząc ze stromizną i wzrastającym zimnem. Niebawem skręcają na południe, mówili sobie, i odnajdą Złote Jezioro oraz mieszkających nad nim ludzi. Tam ich przyjmą, tam będą potrzebni. Społeczność Złotego Jeziora chętnie przyjmowała ludzi, którzy pragnęli odbudować świat, unikając starych błędów. Nad Złotym Jeziorem będzie im dobrze. Warto przebyć tę długą, męczącą drogę, by się tam znaleźć.

Na trzeci dzień zrozumieli, że nie dotrą do Złotego Jeziora przed nadejściem zimy, bo spadł już pierwszy śnieg, a pochmurne niebo zapowiadało następne opady.

Przy przełęczy była kiedyś kopalnia odkrywkowa. Wielkie kawały góry spłynęły w dół, zostawiając wyrwy wśród połaci wątych sosen. Powywracane drzewa ukazywały nagie korzenie, pozbawione życiodajnej gleby wymytej przez spływającą wodę.

Thea i Evan trzymali się drzew, chcąc uniknąć błotnistych rozkopów, lecz i tak szli po niepewnym gruncie. Ziemia osuwała im się pod nogami i zbyt często zbliżali się do osuwiska. Wiele drzew było martwych, chociaż wciąż stały pionowo, jakby siłą przyzwyczajenia. Gdy następne śniegi obciążą ich gałęzie, runą i one, poszerzając obszar zniszczenia na zboczu odwiecznej góry.

Kiedy osiągnęli grań, dojmujące zimno zaczęło szczypać w twarze, pozbawiać czucia końce palców. Thea mocniej zacisnęła kaptur, marząc o grubszych rękawicach. Evan wy dostał z plecaka plandekę i za pomocą kilku gałęzi stworzył coś w rodzaju parasola, chroniąc się przed śniegiem.

O zmroku dotarli wreszcie do Buck Lake. W ukośnych, zimnych promieniach gasnącego dnia dostrzegli upiornie zieloną taflę lodu. Na południowym brzegu jeziora stały resztki dawnego osiedla, a opodal zobaczyli budynek kruszalni. W słabnącym świetle ciemne kontury wydawały się kamieniami nagrobnymi, znaczącymi kres zrujnowanego świata.

— Gdzie? — zapytała Thea bez tchu. Wiatr ciął mrozem przenikającym do szpiku kości, spowalniał kroki.

— Kruszalnia. Jest w lepszym stanie. I założę się, że nietknięta. Evan rozcierał ręce. Palce jego nowej dłoni przybrały jaśniejszy kolor — nie potrafił powiedzieć, czy od mrozu, czy też upodabniały się do reszty ciała. Sprawdził je i stwierdził, że są sztywne.

— Jeszcze jedno — powiedział po chwili. — Jeżeli spadnie dużo śniegu, kruszalnia jest wyższa. Łatwiej się z niej wydostaniemy w razie potrzeby.

— Mogą tam być zwierzęta — ostrzegła Thea.

Wędrując samotnie nauczyła się lękać zwierząt i wiedziała, do czego są zdolne pod wpływem głodu.

— Mam kuszę — rzekł z uśmiechem. — To wspaniała kusza.

Thea spojrzała na niego ostro.

— Nie robię złych kusz. A nawet gdybym zrobiła, nie dałabym ci takiej.

Wyszarpnęła swoją z plecaka i wbiła wzrok w rozciągające się przed nimi jezioro.

— Może uda się nam nałowić ryb, ale nie będziemy jedynymi chętnymi. Zima będzie ciężka. Ziemia już stwardniała. Spadło za mało deszczu, a śniegu będzie aż za dużo. Zginie wiele roślin. I ludzi.

Gładząc się po brodzie, Evan zastanawiał się, co też takiego powiedział. Chłodny wyraz twarzy Thei zdradzał gniew.

— Thea, nie chciałem cię obrazić — zrobił krok i zmienił zamiar. — Nie wiem, co powiedziałem, ale...

— Nie znoszę, kiedy się mną opiekują — odparła i szybko zmieniła temat. — Musimy dojść do kruszalni.

Później, gdy zaczęli schodzić do jeziora, zatrzymała go i ze ściągniętą twarzą powiedziała poważnie:

— Nie, Evan. Nie to chciałam powiedzieć. Jestem zmarznięta i przestraszona. Zazwyczaj to mnie nie złości — nie tak bardzo. Tylko kiedy się boję, jestem nieprzyjemna.

— Boisz się? Czego? Mnie?

— Nie wiem — odparła niezbyt szczerze.

Przygryzła dolną, wargę i odwróciwszy się do jeziora, znów zaczęła schodzić. Skierowała całą uwagę na przytrzymywaniu się kruchych gałązek, używając ich jako pretekstu do zignorowania jego głosu.

— Thea! — mówił prosząco, lecz nie odwróciła się. Po chwili ruszył w dół jej śladem, marszcząc brwi.

Stary ośrodek splądrowano już dawno, prawdopodobnie, kiedy właściciele opuścili go przed laty. Od tego czasu odwiedzały go zwierzęta, w powietrzu wisiał charakterystyczny zapach skunksa i szop zostawił kupkę odchodów. W hallu zniszczona sofa rozsiewała kłęby bawełny i silną woń pleśni. Większość obrusów i pościeli w magazynku zgniła, ale dwa czy trzy akrylowe koce, chociaż sztywne, jeszcze nadawały się do użytku.

W kuchni znaleźli cztery duże garnki. Evan pochwycił je z radością, stwierdzając, że będzie miał łatwiejsze zadanie jako kucharz.

— Już prawie ciemno — zawołała do niego Thea z jadalni, gdzie znalazła talerze i sztućce. — Musimy dostać się do kruszalni, inaczej zastanie nas tu noc. Nie chcę tu nocować. To miejsce — dodała niespokojnie — jest zbyt odsłonięte.

Pochwyciwszy swoje skarby, ruszyli przez mrok do kruszalni i znaleźli schronienie pod jej mocno nachylnym dachem w chwili, gdy ostatnie promienie słońca gasły na niebie. Ostrożnie wchodzili po schodach, sprawdzając każdy stopień, zanim postawili na nim nogę. W pewnej chwili drewno załamało się i oboje krzyknęli, kiedy noga Thei wpadła w dziurę. Jednak w końcu dotarli do biura i szpitalika, znajdujących się wysoko nad stanowiskami młotów. Musieli rozbić zamek, żeby dostać się do środka, a kiedy już się tam znaleźli, musieli szukać krzesła, by podstawić je pod klamkę drzwi. Evan w ciemnościach przeszukiwał plecak.

— Nie mogę znaleźć świec — powiedział po chwili — powinienem je mieć...

Wymacując drogę, podeszła do niego.

— Stój spokojnie — nakazała i ściągnęła mu plecak z ramion. — To nie potrwa długo. Teraz będzie łatwiej. Mówiąc to odchyliła klapę i

pogrzebała w komorze.

— Zaczekaj chwilę.

Wreszcie usłyszał trzask zapalniczki i w mroku zamigotał płomyk świecy. Rozejrzeli się w milczeniu. Świeca przygasła, potem zaczęła się palić równo, oświetlając pokój. Po jednej stronie rozkraczył się opasły piecyk, zimny i zardzewiały. Obok niego stał stojak z zakurzonymi książkami i gazetami o wyblakłych stronach. Za nim zobaczyli trzy krzesła i drzwi, a pod odległą ścianą dwa następne krzesła i drzwi do izby chorych. Wywieszka na drzwiach była jeszcze czytelna. W niepewnym blasku świecy ściany pomieszczenia miały kolor błota.

— Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej — powiedział Evan, stojąc w małym kręgu światła. Woń opuszczonego pokoju była silna, ale miała zniknąć szybko. Już tłumiał ją zapach palącej się świecy. Thea podała mu drugą świecę i zapaliła od swojej.

— Rozejrzę się trochę — rzekła i zniknęła w następnym pokoju. Po kilku minutach zapiąta z zachwytu i wynurzyła się stamtąd rozpromieniona. — Evan, tam jest toaleta i zlew. I wszystko.

— Rury są całe? — zapytał sceptycznie. Kruszalnia nie była używana od wielu lat i rury już dawno mogły popękać w czasie mroźnych zim.

— Sprawdzę — powiedziała gorliwie, wracając do przyległego pokoju. Szczęk, później bulgot i odgłos lejącej się wody. Jeszcze kilka dziwnych dźwięków i Thea zawołała: — Wylewa się na zewnątrz, ale można go napełnić. Myślę, że na dachu jest zbiornik na wodę. Jeżeli zamarźnie, będziemy trzymać wodę w puszkach i to wystarczy.

— No — powiedział Evan do siebie. — Jedno zmartwienie mniej.

— Zlew też ma połączenie ze zbiornikiem. Nie ma gorącej wody, ale to nic. A kiedy spadnie śnieg, w ogóle nie będzie problemu z wodą.

Na twarzy Thei pojawił się rumieniec, a w jej głosie, gdy wróciła do pierwszego pokoju, brzmiało wyraźnie podniecenie:

— A co z izbą chorych? Byłeś już tam?

— Zostawiam to tobie — odparł.

Następny raport był równie pomyślny. Thea znalazła pięć łóżek, a oprócz spleśniałych materaców w zamkniętym pokoju, nie stwierdzili

innych zniszczeń. Kiedy rozpała w piecu, przysuną do niego materace i wysuszą je. Grzejnik elektryczny w izbie chorych był zupełnie bezużyteczny. Zdecydowali się rozebrać go, zabierając druty i inne przydatne części. W jednej z wysokich komód Thea znalazła więcej koców, które na szczęście były zupełnie dobre, jeśli nie liczyć tego, że potrzebowały wietrzenia.

— Och, Evan, mimo wszystko, nie będzie tak źle. Przynajmniej lepiej niż na zewnątrz, albo w Dolinie. Możemy tu zostać jakiś czas.

— Jeżeli będziemy ostrożni — zgodził się, klękając przy swoim plecaku i wyciągając koc. — Jednak dziś będzie nam zimno — nawet pod kocami. Posłuchaj, jak wieje.

Kruszalnia trzeszczała, smagana gwałtownymi porywami świszczącego wiatru. Thea nasłuchiwała przez chwilę, a później znów zajęła się przygotowywaniem posłania.

— Już nieraz zmarłam — powiedziała, wracając myślą do samotnie spędzonych lat, gdy była wdzięczna losowi, jeżeli pozwolił jej znaleźć suche miejsce pod mostem lub trochę siana w stodole.

— Nie ma powodu, byśmy marzli — rzekł. — Musimy to zaplanować. Sądzę, że lepiej zrobimy zajmując tylko jeden pokój. Inaczej stracimy dużo opału, próbując utrzymać wszędzie ciepło. Zużyjemy też za dużo świec — mówiąc to przestawił krzesła na środek pokoju, ustawiając je tak, że narzuciwszy na nie parę koców utworzył namiot zabezpieczający ich przed nocnym mrozem. — Jesteśmy na nawietrznej stronie grani. Wiatr potęguje mróz. Musimy jakoś uszczelnić ten pokój.

— To nie wystarczy — powiedziała i zostawiwszy go na chwilę, wróciła ciągnąc materac z izby chorych. Z łomotem rzuciła go koło krzesła. — Pachnie niezbyt ładnie, ale musimy wziąć dwa do spania, a kilka ułożyć dookoła. To powinno trochę pomóc.

Przy świetle dwóch świec przygotowali miejsce do spania i wpełzli, nie rozbierając się, do środka.

— Thea — powiedział bardzo łagodnie Evan. — Thea.

W ciemnościach poczuł, że odsuwa się od niego.

— Nie, Thea. Nie tknę cię, jeżeli nie będziesz tego chciała. Ale jest zimno, Thea. Możemy leżeć na boku, plecami do siebie. Dzięki temu będzie nam cieplej. Thea.

— Wiem — powiedziała cichutko. Ja... — w ciemnościach wypatrywała jego twarzy, chcąc zobaczyć jej wyraz. — To nie twoja wina, Evan, nie. To przeze mnie. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Wyciągnął do niej rękę i przy tych słowach ścisnęła jego dłoń, przez chwilę trzymając ją w swojej. Potem znów się odsunęła od niego.

— Śpijmy lepiej. Jeżeli zrobi się zimno, i tak przysuniemy się do siebie.

Rankiem spadło więcej śniegu. Sypał wolno z szarych, pędzonych przez wiatr chmur, pobielał szczyty i pokrywając ziemię tak, że zarówno krzaki, jak i skały i droga skryły się pod białym całunem. Drzewom wyrosły długie brody i choć zrzuciły je, gdy wiatr się wzmógł, tylko na krótko odsunęły nieuniknione. Thea wyszła wcześniej, by nazbierać drewna, wiedząc, że z upływem czasu będzie to coraz trudniejsze. Miała teraz w swoim plecaku siekierę, lecz nie nadającą się do ścinania wysokich drzew. W najlepszym razie mogła się nią posłużyć do ścinania gałęzi i rąbania ich na szczapy. Tak więc musiała szukać uważnie i wróciła dopiero po trzech godzinach, przynosząc spory ładunek gałęzi oraz wiadomość, że widziała ślady niedźwiedzia na północnym brzegu jeziora.

— Wkrótce zapadną w zimowy sen, ale na razie trzeba na nie uważać. Są głodne i rozdrażnione.

Zrzuciła drewno na podłogę i poszła jeszcze raz, zabierając parę zapasowych bełtów do kuszy. Evan wzmocnił drzwi potężnym rygłem z tarcicy znalezionym w kruszalni. W izbie chorych odkrył trzy duże pudełka ze świecami i pięć lamp naftowych — wszystkie suche. Poczuli ulgę znalazłszy świece, chociaż lampy byłyby lepsze.

Niebawem rozpalili ogień, napełniając pokój duszącym smrodem, dopóki piec się nie przepalił. Materace przeciągnęli pod piec i suszyli razem z rozwieszonymi kocami. Później Evan znalazł inny, jeszcze większy piec w baraku, gdzie kiedyś wmywano rudę i z wielkim trudem,

używając prowizorycznego wysięgnika oraz wielokrążka, przetransportował go do ich pomieszczenia. Postawił na miejscu biurka i z pomocą Thei połączył komin drugiego pieca z rurą pierwszego. Po raz pierwszy poczuł odrobinę nadziei i rzekł do Thei:

— Zaczęliśmy nieźle. Może nam się uda.

— Może — potwierdziła. — Będziemy głodować w cieple, to już coś.

Ani pierwszego, ani drugiego dnia Thea nie złapała żadnej ryby. Była cierpliwa i wytrwała, lecz ostrzegła Evana, że muszą szybko znaleźć żywność. Konserwy otrzymane na drogę od Zimmermannów nie wystarczą na długo, nawet gdyby zaczęli racjonować je jeszcze oszczędniej.

— Jest tu dużo tych dziwnych jeleni — powiedziała po kilku dniach. Śnieg sięgał już po kostki i miejscami tworzył zdradliwe zaspy. Evan sporządzał z pasków łyka prymitywne rakiety śnieżne.

— Jakich jeleni? — spytał, kończąc pracę i owijając obcas drutem. Rakiety były prymitywne, ale spełniały swoją rolę, a tylko o to mu chodziło.

— No, wiesz, takich, jak ten koło Quincy.

W pomieszczeniu panował umiarkowany, ułatwiający życie nieporządek. Przeciągnięty między dwoma wieszakami na ubrania sznurek pełnił rolę suszarni, w tej chwili parowały na nim dwie koszule.

— Co w nich dziwnego? — Ten garb, pamiętasz? Jak u cielaka, tylko większy. No, tu jest ich więcej. Widziałam parę sztuk na północnym brzegu jeziora. Szukały młodych drzewek. Może uda mi się złapać któregoś w sidła. Nie dadzą się podejść na odległość strzału. To byłoby dużo mięsa, Evan.

Pokiwał głową.

— Możemy poszukać potrzasków w ośrodku. W kruszalni już sprawdziłem. Nic tu nie ma. Jednak w ośrodku mogli jakieś mieć, żeby trzymać zwierzęta z dala od kuchni i zarobić na boku trochę pieniędzy za futra.

Pokazał Thei gotowe karpie.

— Masz. Myślę, że teraz będą się trzymać. Podeszła bliżej, pochylając się nad jego dziełem.

— Wyglądają na dostatecznie mocne. Sądzę, że wystarczą. Dobrze by było. Ściemniało się, zmrok nadchodził wcześniej, bo chmury niosące śnieg zasłaniały niebo.

— Może jutro poszukamy potrzasków? Śnieg staje się coraz głębszy i trzeba je zastawić jak najszybciej.

— Jeśli chcesz. Nic nie złapałaś? — pozbierał swoje rzeczy, szykując się do schowania ich w izbie chorych.

— Dziś nic. Widziałam ślady kota na lodzie. Mamy konkurencję, jeśli chodzi o ryby.

— Kota? Jakiego? Może pumy?

— Nie — potrząsnęła głową, zastanawiając się nad odciskami łap w miękkim śniegu — za małe na pumę. Raczej wyglądały na rysia. Chyba ich tu trochę zostało.

— Ryś ograbi sidła — przypomniał jej, zadowolony z własnej przezorności.

— Nie zdąży.

Znaleźli potrzaski, jakich potrzebowali: stare, zardzewiałe paści o potężnych szczękach. Solidnie wyczyszczone, znowu działały. Zastawili je na brzegu jeziora i wokół ośrodka. Każdego ranka obchodzili linię sideł, uzbrojeni w kusze. Jednak zima była już w pełni i ich zdobycz nie spełniała oczekiwań: przez pierwszy tydzień zaledwie mały szop i okulawiony lis. Nie znaleźli już śladu jelenia.

Połowy w jeziorze nie były wiele lepsze. Z pewnością w Buck Lake były ryby, lecz nazbyt ostrożne i sprytne. Unikały przerebli, trzymając się głębokiej wody.

Któregoś zaśnieżonego popołudnia Thea zobaczyła rysia, bliskiego głodowej śmierci, próbującego łowić ryby w pobliskiej przerebli. Na jej oczach ryś stracił równowagę i wpadł z głośnym pluskiem do lodowatej wody. Wrzasnął dziko, a jego skrzek zabrzmiał odrażająco w zalegającej wokół ciszy. Wiedząc, że nic nie może zrobić, Thea patrzyła, jak ryś traci siły, słabnąc w daremnych zmaganiach, i znika pod lodem, piszcząc przez

cały czas. Czuła dziwny żal z powodu jego śmierci. Zamyśliła się głęboko, wracając myślami w przeszłość.

Od jedenastu lat błąkała się po świecie, umykając przed Piratami, kiedy mogła, lub chyłkiem przecinając ślady zniszczeń, jakie za sobą zostawiali. I wszystko doprowadziło do tego. Długo siedziała na brzegu i wpatrywała się w przerębel.

Wspominała małą, bezpieczną społeczność pod Cloverdale, wtuloną w zagłębienia wzgórz, klimat był tam ciepły i łagodny i powodziło im się dość dobrze. Ludzie kierujący grupą wiedzieli z czasów, gdy nauczali w Davis, że aby przeżyć to, co się stało ze światem, potrzeba czegoś więcej niż determinacji. Zdecydowali się adaptować. Przystosowywali dzieci. Nazywali to mutacją wirusową — kiedy się udawało. Kiedy się nie udawało, mówili, że to czynniki środowiskowe. Zasłoniła oczy błonami mrużnymi — jej najlepszą i najbardziej widoczną cechą pomutacyjną. Przez całe długie, szczęśliwe lata w Camminsky Creek czekali w przeświadczeniu, że dni grozy przeminą i następna generacja wynurzy się z chaosu jako wiodąca siła nowego świata.

A potem zjawili się gliniarze i chociaż nie byli Piratami i nie dowodził nimi Montague, nadszedł kres małej, spokojnej społeczności, a dla Thei początek wędrówki. Od tej pory była wciąż w drodze. Gdy następnym razem przyszła nad jezioro, wydawało jej się, że znów widzi ginącego w przerębli rysia. Usiadła na łodzi i zapłakała.

Kiedy w końcu upolowali jelenia, nastąpiło to dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Już od dwóch dni nie mieli co jeść. Miotający się w śniegu jeleni ugrzązł w zaspie na zawietrznej stronie grani. Był o wiele większy i silniejszy, niż się spodziewali. Evan sporządził łąso z rzemieni i zarzucił je na szyję zwierzęcia. W końcu zdołali je udusić i wyciągnąć z zasy. Wnętrznosci zostawili na żer szopom i za pomocą prowizorycznie sporządzonej uprzęży zaciągnęli zdobycz do kruszalni.

Zawiesili tuszę w płuczkami, wykorzystując drewniane występy wielkich dźwigarów, które niegdyś podtrzymywały kołyski. Używając zaimprovizowanej przeciwwagi podciągnęli mięso do sufitu, gdzie wisało w mroźnym powietrzu zabezpieczone przed wygłodzonymi

zwierzętami przemierzającymi góry. Zima zbyt nękała głodem, by można zrobić inaczej.

Evan wyciął żebra i używając żyłki sporządził z nich zawijane zrazy, zauważając z ironią, że dawniej zrazy z dziczyzny były luksusem osiągalnym jedynie dla bardzo bogatych i uprzywilejowanych. Teraz tylko to pozostało, bo większość bydła zarżnięto.

W rozwalonej kuchni ośrodka znalazł zapakowane hermetycznie przyprawy i dzięki nim żyłaste mięso stało się smaczniejsze.

— Gdybyśmy mieli trochę warzyw, jakichkolwiek — narzekał, szpikując mięso ostatnimi owocami jałowca. Śnieg pokrył już wszystko grubą warstwą i szukając ich, zranił się w rękę.

— Mamy do wyboru: to albo ryby — powiedziała Thea, odczuwając brak jarzyn równie boleśnie jak on. — Jeżeli chcesz, jutro poszukam czegoś pod śniegiem.

Rozważył propozycję.

Gdybyś miała czas, nie zaszkodziłoby spróbować. Z pewnością rośnie tu mniszek.

— Jasne — zgodziła się szybko, zatrzymując swoją opinię dla siebie.

Gdzieś pod koniec grudnia z północy nadeszła najgorsza zamieć tamtej zimy, wściekła kotłowanina śniegu i lodu, w której pogrążył się świat, z szaleńczą furią wyła wśród szczytów. Przez trzy dni wstrząsała górami, kalecząc je i natychmiast zakrywając rany.

— Mamy strasznie mało drewna — Thea patrzyła ze ściągniętą twarzą na niewielki stosik w kącie koło drzwi. — Jeżeli zamieć potrwa dłużej, to zamarzniemy.

— Możemy połamać krzesła — rzekł krótko Evan, obrabiając pilnikiem nowe bełty. Zregenerowana ręka dokuczała mu bardzo, a mięśnie napinały się boleśnie.

— A potem? — powiedziała, oczekując odpowiedzi. — Jak już spalimy krzesła...?

Evan nie odpowiedział i Thea z trzaskiem odłożyła osełkę, na której ostrzyła swój myśliwski nóż.

— A potem?!

Spojrzał na nią niespokojnie.

— Potem zamarzniemy.

Chciała odpowiedzieć ostro, ale powstrzymała się, skupiając całą uwagę na swojej pracy, Evan także nic więcej nie powiedział, siedzieli w milczeniu, tylko stłumione wycie wichru wtórowało trzaskom ognia płonącego w większym z dwu pieców. Od czasu do czasu zgrzyt pilnika przerywał odgłosy burzy. Gdy zapadł wczesny mrok, Thea przysunęła się do Evana, który zapalił świecę — pryskającą, kapiącą woskiem, prawie zużytą — i troskliwie pilnował jej płomyka.

— Może moglibyśmy zbierać wosk? — zapytała, widząc kałużę stearyny u podstawy dopalającej się świecy.

— Chcesz, żebym zapalił następną? — spytał Evan, gdy płomyk zgasł.

— Ile nam zostało?

— Osiem lub dziewięć — odparł, dotknąwszy pudełka. W blasku palącego się w piecu ognia przeliczył pozostałe świece i niechętnie zapalił następną. — Wystarczą nam na tę noc i część następnej. Jeżeli będziemy oszczędzać, mogą nam wystarczyć na cały tydzień.

Usiłował mówić z przekonaniem, lecz jego głos zabrzmiał tylko nieco głośniej.

— Może spróbujemy robić pochodnie. W pobliżu rośnie sporo starych sosen. Moglibyśmy je ponacinać i zebrać żywicę — powiedziała Thea, wpatrując się w stos drewna, szybko topniejący od chwili, gdy nadciągnęła zamieć. — I tak musimy nazbierać więcej drewna. Moglibyśmy też zrobić pochodnie.

— Pewnie — zgodził się, wcale w to nie wierząc. Na samą myśl o pochodni w drewnianym budynku przypomniał sobie płonące miasta — nieuchronne następstwo wizyty Piratów. Płonące miasta miały charakterystyczną woń, zapach, który znienawidził. — Jednak używanie tu pochodni to nie jest dobry pomysł. Zbyt łatwo możemy wzniecić pożar i co wtedy?

Celowo mówił głosem pozbawionym wyrazu i emocji.

Zgodziła się z tym niechętnie i tylko pobielełe knykcie zdradzały jej napięcie. Wrócili do swej pracy. Zamknięci w skorupie milczenia walczyli

ze swoim strachem. Ciemna noc wyciągała nad górami śmiertelnie zimne ramiona i do małego biura kruszalni zakradał się ziąb — pełzający chłód nie poddający się płomieniom buzującego w opasłym piecu ognia.

Skończywszy ostrzenie, Thea odłożyła nożyce. Ręce jej zeszywniały i kiedy się odezwała, stwierdziła, że boli ją twarz.'

— Ręka ci dokucza? — zapytała Evana, chcąc po prostu coś powiedzieć.

— Trochę.

— To niedobrze.

Wolno podeszła do materaca leżącego przy piecu i opadła na kolana, trzęsąc się z zimna. Zamyślona, mimowolnie mięła w palcach koc. Nagle powiedziała:

— Och, Evan, chodźmy stąd. Umrzemy, jeśli tego nie zrobimy. Wiem, że tak będzie.

— W środku zimy? — padła natychmiast odpowiedź.

— To lepsze niż czekanie z założonymi rękami. Wstrząśnięty gwałtownością, z jaką to powiedziała, Evan popatrzył na nią zapomniawszy o irytacji.

— Możemy wyruszyć do Złotego Jeziora, jak tylko skończy się zamieć. Leży na południowym wschodzie, a kompas mamy. Hobart opisał nam drogę. Jeżeli się postaramy, odnajdziemy ją. Proszę, Evan, proszę! Nie chcę umierać tutaj jak zwierzę w pułapce. Nie potrafię.

— Thea — zaczął z wymuszonym spokojem. — Jeśli wyruszymy przed odwilżą, będzie jeszcze gorzej, niż jest.

Wierz mi. Przemyśl to.

— Nie może być gorzej! — krzyknęła z wściekłością, szarpiąc stare koce. — Wszystko będzie lepsze od tego. Dłonie mi spuchły. Bolą mnie zęby. Cała jestem w siniakach. A kiedy przyjdzie odwilż, będzie jeszcze gorzej. Już prawie wyłowiliśmy wszystkie ryby w jeziorze. Zjedliśmy wszystko, co mogliśmy, a co było choć na pół jadalne. Jak myślisz, co zrobimy, gdy niedźwiedzie obudzą się ze snu? Nie znajdziemy tu królików. Nie znajdziemy tu nawet myszy! Porwałbyś się na

niedźwiedzia, Evan? Teraz? A później będzie jeszcze gorzej. W ogóle nie będziemy mieli siły. Możesz walczyć z głodną pumą? Albo kojotem?

— One nie atakują ludzi — przypomniał Evan.

— Chcesz się założyć? Te zwierzęta przeżyły wiele chudych lat. Nie sądzę, żeby zbyt wybrzydzały nad mięsem, byleby tylko nie miało za wiele robaków.

Kłęcząc, otulona kocami, zaczęła się kołysać monotonie.

— Pумы, niedźwiedzie, lisy, wszystkie niebezpieczne i głodne. Gdy nadejdzie odwilż, będzie ich mnóstwo. Będą głodne, głodne.

— Przestań, Thea — powiedział, odsuwając robotę.

— Kości, kości i tylko kości — mrucała, nie zwracając na niego uwagi. — Najpierw krew jako nawóz, a później kości. Rekordowe zbiory. Kości i nic, tylko kości. Kości rosną na zatrutej ziemi, gdzie nic innego nie rośnie. A zatrutej ziemi nie brakuje...

Evan przerwał jej zawodzenie, jednym szarpnięciem stawiając ją na nogi. Przestrach uczynił go brutalnym.

— Przestań! — jej niewidzące oczy wciąż płonęły szaleństwem — Thea! PRZESTAŃ!!

Twarz dziewczyny odzyskała dawny wyraz.

— Evan? ... Evan... Ja nie... nie chciałam... — zaczęła się trząść. Nagle opuściły ją wszystkie siły. Zawstydzona, przykucnęła na materacu, blada jak ściana. W końcu dreszcze ustały i mogła powiedzieć spokojnie:

— Nigdy nie musiałam tak beczynnie czekać. Zawsze było coś, co mogłam zrobić. To mnie zabija — to wyczekiwanie. Kiedy śpię, śni mi się, że uciekam. Budzę się i nie ma wyjścia. Nie mogę uciec. Muszę coś zrobić, Evan. Nie mogę już dłużej czekać. Inaczej oszaleję.

Stojąc przy niej, Evan daremnie szukał słów pocieszenia. Delikatnie położył rękę na jej ramieniu i po raz pierwszy nie odsunęła się.

— Nie musisz ze mną iść — powiedziała rozsądnie. — Nie widzę powodu. Jednak ja muszę stąd odejść, jak tylko skończy się zamieć. Naprawdę. Muszę.

Mięła koc, nie potrafiąc spojrzeć Evanowi w oczy.

— Zawsze uważałam, że wariują tylko ludzie nie mogący się pogodzić z tym, że świat jest, jaki jest. To nie tak, prawda?

— Wszyscy mamy swoje wrażliwe miejsca, Thea — przez chwilę wspomnienia ożyły w jego pamięci. Jak to się stało, że godził się na barbarzyństwa Piratów? Jak mógł sądzić, że cywilizację można ocalić przemocą? — Są różne rodzaje szaleństwa, Thea. Wiem o tym. Wiem.

Następnego dnia zamieć zaczęła słabnąć, lecz śnieg wciąż padał i wiatr tarosił ściany kruszalni niczym dzikie zwierzę szukające łupu. Góry i doły porobione w głębokim śniegu przez wiatr teraz niknęły pod białą, grubą warstwą puchu.

W kruszalni Thea i Evan najpierw żartowali lekko z ostatniej świecy, jednak kiedy się dopaliła i zgasła, przestali rozmawiać ze sobą. Wkrótce potem skończyło im się drewno na opał i zmuszeni byli podtrzymywać ogień wydzielanymi ostrożnie kawałkami połamanego biurka. W końcu zabrakło nawet tego i w piecu wygasło. Leżeli w ciemnościach, kuląc się pod kocami.

Przez nieruchome niebo przedarł się promień słońca, dotknął śniegu i zapalił na nim tysiące iskier. Blask przesączył się do wnętrza kruszalni i rozświetlił pokoje dziwną poświatą — jakby znajdowały się pod wodą. I chociaż mróz wcale nie zelżał, ranek uczynił go znośniejszym.

— W izbie chorych jest łopata — oznajmiła Thea zdrętwiałymi, popękanyimi wargami. — Myślę, że przekopiami się, jeśli spróbujemy.

Evan niepewnie stanął na nogi.

— Drzwi są zasypane — rzekł, myśląc o drzwiach na dole, przykrytych przez sześć stóp śniegu.

— Ganek przed izbą chorych. Możemy wyjść tamtędy — mówiąc te słowa, słowa oznaczające wyzwolenie z zimnego więzienia, Thea poczuła gwałtowny przypływ energii. Humor jej się poprawił. Zaczęła zbierać swoje rzeczy i wkładać je do plecaka. — Za chwilę będę gotowa — powiedziała.

— Chcesz iść teraz, czy później? — zapytał Evan, zły na siebie. — Odkopanie drzwi zajmie sporo czasu. Możemy to zrobić dziś, potem

nazbierać drewna, a wieczorem spakować się i wyruszyć ze wschodem słońca.

— Dopiero? Myślałam... — urwała Thea, uświadamiając sobie, że właśnie nie pomyślała. Rozważyła jego sugestie. — Może masz rację. Może zdobędziemy coś do jedzenia i nie będziemy musieli iść na głodnego. Przytaknęła własnym myślom. Teraz, gdy wiedziała, że pobyt w kruszalni dobiega końca, nie lękała się.

Odkopimy drzwi i zapolujemy. Nazbieramy drewna. Masz rację: nie możemy wyruszać dzisiaj. Dopiero jutro rano. Wcześniej.

Mimo jej entuzjazmu przekopanie wyjścia na świat przez zwały śniegu zajęło im ponad trzy godziny. Po mrocznej ciasnocie kruszalni odbite od śniegu słońce wprost oślepiało, a ogrom wolnej przestrzeni oszałamiał i dezorientował. Czuli się tak, jakby znaleźli się w zupełnie innym świecie niż ten, który pozostawili — tak zmieniły się góry w ciągu zaledwie czterech dni.

Oślaniając dłonią oczy, Evan rozglądał się wokół. Perspektywa wędrówki przez tę oślepiającą jasność nie cieszyła go. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rozpościerał się nieskazitelnie biały, zdradliwy śnieg.

— Kiedy byłem dzieciakiem — powiedział, sprawdzwszy konsystencję powierzchni — jeździliśmy na nartach. Wszyscy narciarze mówili o puchu, śniegu zsiadłym i mokrym.

Zaczekał, aż biały pył w jego dłoni zamieni się w wodę i przecieknie między palcami, zostawiając po sobie tylko zimno.

Zastanowił się, co też ci dawni narciarze poczęliby na tym pustkowiu. Wtedy śnieg był wypoczynkiem, ucieczką od zorganizowanej nudy miasta. Śnieg narciarzy był czymś innym od śniegu paraliżującego komunikację i zamieniającego ulice w śliskie tory przeszkód. Ten w górach miał jeszcze inny wymiar — był rozległy i niebezpieczny jak morze, piękny jak morze i jak ono oczekiwał cierpliwie na jeden, jedyny błąd, by na zawsze pochwycić ich w śmiertelny, mroźny uścisk.

— Jest przeraźliwie jasno — powiedziała Thea, myśląc o długich dniach wędrówki przez góry. Ten odblask raniłby im oczy jak okruchy

szkła. Wiedziała dostatecznie dużo o śnieżnej ślepcie, by się jej obawiać. Evan wyczuwał jej obawy i podzielał je.

— Tak. Nie będzie łatwo.

— Nie widzę żadnych tropów, a ty? — w jej głosie dosłyszał niepewną nutę.

— Też nie. Lepiej załóżmy karpie.

Kilka godzin później znaleźli parę zamarzniętych królików. Po wypatroszeniu, obdarciu ze skóry i odrzuceniu niejadalnych części bardzo niewiele z nich pozostało. Podczas gdy Evan przygotowywał niezbyt obiecujący posiłek, Thea nazbierała gałęzi, biorąc te, które połamały się pod ciężarem śniegu. Zabrało jej to więcej czasu, niż się spodziewała i kiedy wróciła do kruszalni, zapadał już zmierzch.

— Niepokoilem się — przywitał ją Evan, gdy przeciągała dwa wielkie konary przez izbę chorych.

— Ja też — rzuciła gałęzie pod piec. — Mam jeszcze trzy takie. Powinno wystarczyć na dzisiejszą noc. Spojrzał na gałęzie.

— Porąbię je. Pomóc ci przynieść resztę? Zatarła rękę.

— Nie, ale dobrze by było, gdybyś rozpałił w piecu. Mamy jeszcze parę pudełek zapalek?

Zdjął siekierę ze ściany i przyklękawszy zaczął rąbać gałęzie na krótkie kawałki.

— Ostatnia noc — powiedział, gdy wróciła z resztą drewna. — Jutro nad Żłote Jezioro. W tym czasie Thea zabezpieczyła drzwi i wracając do pokoju, powiedziała:

— Tam będzie lepiej, Evan. Zobaczysz. Nie tak, jak tu.

Nie bez wątpliwości zapytał:

— A jak?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym odpowiedziała:

— Będzie inaczej.

Pakowanie zabrało im sporo czasu, bowiem musieli pozostawić niektóre rzeczy: sztucce i żywność, jeden czy dwa garnki, pudełka zapalek, kilka nożyków, część szybko kurczącego się zestawu pierwszej

pomocy — wszystko zostało starannie posortowane i rozdzielone, a następnie przemyślnie upakowane w plecakach.

— Szkoda, że nie możemy zabrać piecyka — usiłowała zażartować Thea. — Tak by się przydał. Będzie nam go brakować.

— Nad Złotym Jeziorem mają inne — zapewnił ją Evan, chcąc odegnać zarówno swój, jak i jej niepokój. — Na pewno jeszcze lepsze.

Kończąc pakowanie, Thea spojrzała na niego z zarumienioną twarzą.

— Wszystko tam będzie lepsze — oznajmiła. — Zobaczysz.

Z nadejściem dnia ruszyli na wschód, ku słońcu, trzymając się doliny, która — mieli nadzieję — była Doliną Haskinsa. Kiedyś, a może i teraz, biegł tamtędy szlak, ale śnieg nie pozwalał tego stwierdzić.

V

Szli wolno, zostawiając za sobą wydeptaną ścieżkę. Olbrzymie ślady śnieżnych rakiet wyglądały, jakby pozostawił je jakiś skamieniały przed tysiącami potwór, znów przemierzający góry. Pod koniec pierwszego dnia byli zupełnie wykończeni. Obolałe nogi ciążyły im jak z ołowiu, a oczy nabiegły krwią od przeraźliwego blasku odbitego od śniegu słońca. Na noc rozbili obóz opodal ruin starej kopalni — w najbardziej osłoniętym miejscu, jakie znaleźli przez cały dzień. Rozstawili na śniegu prowizoryczny namiot — chwiejne i niepewne schronienie.

— Wystarczy — stwierdziła Thea z wymuszonym przekonaniem w głosie. Zabarykadowała jeden koniec namiotu swoim plecakiem i przywiązała kuszę do ręki.

— Nie wiem, czy uda nam się rozpalić ognisko — powiedział po chwili Evan. U jego stóp na śniegu leżały kawałki chrustu — jak opuszczone ptasie gniazdo nie dające obietnicy ciepła.

— Więc zjemy zimne mięso. Jest przecież gotowane — Thea nie traciła otuchy.

Tak więc jedli zimne mięso, kuląc się w namiocie, gdy słońce zachodziło powoli za poszarpany szczytami horyzont. Zapadła noc i wiatr się wzmógł. Obciążone czapami śniegu drzewa mruzczały śpiwnie do siebie w dziwnej harmonii. Kiedy skończyli skąpy posiłek, Evan zakopał kości w śniegu, czując się głupio z powodu tego nadmiaru przezorności. W namiocie leżeli blisko siebie, otuleni kokonami grubych koców, próbując zapomnieć o bólu zeszywniałych mięśni przyciągających zimno jak magnes. Mieli przed sobą długą drogę, a następny dzień nie będzie cieplejszy.

— Evan? — nawet wewnątrz małego namiotu głos Thei zdawał się dobiegać z daleka.

— Tak?

— Pamiętasz, jak rozmawiałeś z Rudym Zimmermannem o muzyce i twoim ojcu? Czy to o to chodziło? — I drżącym głosem zaśpiewała kilka taktów o miłości i zdradzie: „*Sola, perduta e abbandonata, in landa*

desolata". Urwała. — Nie wiem, czy dobrze zapamiętałam słowa, ale to o tym rozmawialiście, prawda?

Evan był głęboko zdziwiony.

— To z „Manon Lescaut” Pucciniego. Gdzie to słyszałaś?

— Nie pamiętam za dobrze. Zdaje się, że mój ojciec lubił tego słuchać, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Davis i mieliśmy adapter. W Camminsky Creek czasem śpiewała to moja mama. Ludzie zawsze się denerwowali, gdy to słyszeli. Przez cały dzień tłucze mi się to po głowie.

Chrząknęła przepraszająco.

— Tak tylko pytałam, chciałam wiedzieć, co to znaczy.

Niechętnie odpowiedział:

— To znaczy: „Samotna, zagubiona i opuszczona w pustej ziemi”.

— Och! Chyba dlatego ludzie nie lubili tego słuchać. Chciałam tylko wiedzieć. Po chwili powiedziała:

— Była jeszcze jedna, o ojcu proszącym syna, by wrócił do domu. Ładna piosenka. Jack Thompson często ją śpiewał.

— Pamiętasz ją?

— Nie.

Naciągnęła koce niemal po czubek głowy. Wkrótce zasnęła, lecz leżący obok niej Evan długo nie mógł zmrużyć oka, nękany wspomnieniami.

Następny dzień zastał ich na szlaku. Wiedzieli, że muszą odnaleźć starą drogę Toma Sawmilla, jeśli chcą szybko przejść przez góry. Hobart powiedział im, jak ją znaleźć, ale teraz wszystkie punkty orientacyjne skrywała gruba warstwa śniegu. Z trudem przedzierali się przez oślepiającą biel pustkowia i z ulgą powitali wieczór przesuwany bezlitosne słońce na nieboskłonie za ich objuczone plecakami grzbiety. Raz czy dwa dostrzegli cienie poruszających się wśród drzew zwierząt: bezkształtne i nieokreślone, anonimowe jak widma.

— Sądysz, że tropią nas? — zapytała Thea, widząc dwa takie cienie wtapiające się w mrok zalegający pod drzewami. Wiatr zawodził żałośnie, zasnuwając las pasmami nisko płynących obłoków, na które spoglądała z niepokojem. — Gromadzą się na wschodzie. W nocy chyba

znów będzie padać — powiedziała, gdy chmury jeszcze bardziej zgęstniały.

— Przykryję namiot gałęziami. Osłonią nas trochę — mówiąc to Evan rzucił okiem na kompas. — Jeszcze parę mil i powinniśmy znaleźć opuszczone miasto. Oddle Bar, czy jakoś tak się nazywa.

Z głębi lasu dobiegło mrozące krew w żyłach wycie.

— Czy zdołamy tam dotrzeć dzisiaj? Dobrze byłoby znowu spać pod dachem — powiedziała Thea, czując gęsią skórkę na ramionach i zimny dreszcz przebiegający po krzyżu.

— Wygląda na to, że to psy, wilki wybito dawno temu, a kojoty chyba nie żyją na takiej wysokości — rzekł spokojnie Evan, gdy wycie rozległo się ponownie.

Upiorne zawrodozenie obijało się wciąż wśród drzew, kiedy zatrzymali się na nocleg. Oddle Bar znajdowało się jeszcze zbyt daleko, ukryte za wzniesieniem, zagubione w mroku nadchodzącej nocy. Niebezpiecznie długo zwlekali z rozbiciem obozu i teraz Evan pracował w nerwowym pośpiechu, pokrywając namiot sosnowymi gałęziami o rdzawoczerwonych szpilkach. W zasłuchanym milczeniu jeszcze raz zjedli zimny posiłek, po czym zagrzebali resztki w głębokim śniegu i owinęli się kocami.

Dobrze po północy obudziły ich odgłosy rozpaczliwej walki toczącej się między sosnowymi pniami opodal ich brezentowego namiotu. Najpierw usłyszeli powarkiwanie, później wyzywające szczekanie, a wreszcie gwałtowną kotłowaną przerywaną skowytami bólu i wściekłości.

— Psy? — zapytała szeptem Thea. Evan chwycił ją za rękę, nakazując milczenie.

Walczące zwierzęta wpadły na namiot, zrzucając okrywające go gałęzie. Nagle w powietrzu rozszedł się okropny smród.

— Rozdarty brzuch — szepnęła Thea czując mdłości. O kilka cali od jej twarzy, na brezentowej ścianie namiotu pojawił się cuchnący zaciek.

Zwierzęta ponownie wtoczyły się na namiot i brezent osiadł, napinając się pod ciężarem skłębionych ciał. Thea krzyknęła

mimowolnie. Przez moment niewidoczni przeciwnicy wstrzymali bezlitosną walkę, jednak zaraz wznowili ją — z jeszcze większą gwałtownością. Thea odsunęła się od ściany namiotu, gdy brezent pękł, ukazując tylną nogę psa i zakrwawiony łeb szopa spazmatycznie kłapiącego paszczką. Zęby zacisnęły się na psiej łapie i kość pękła z ohydny trzaskiem. Pies zawył, usiłując strząsnąć nieugiętego szopa. Udało mu się wyrwać akurat w chwili, gdy pasiasta morda szopa znalazła się blisko otworu.

— Thea! O Boże, Thea! — z ust Evana wyrwał się krzyk, kiedy w bladym świetle gwiazd ujrzał długie, ociekające krwią kły zamykające się na biodrze towarzyszki, wbijające się w ciało przez podwójną warstwę koców. Thea zwinęła się z okrzykiem bólu i uderzyła z całej siły. Szop warknął, zbity z tropu i odskoczył w tył, odciągnięty przez nacierającego psa. Stawił mu czoła, szczerząc kły i bijąc uzbrojonymi w pazury łapami. Po chwili usłyszeli zduszone kaszlnięcie i odgłosy walki ucichły. Zwycięzca zaczął się posilać.

— Thea? — zapytał z niepokojem Evan.

Odsunęła się od niego, szorstkimi słowami pokrywając słabość spowodowaną raną.

— W porządku. Nic mi nie jest. Koce mnie uchroniły — bezskutecznie próbowała ściągnąć rozdarty brezent, mówiąc: — Parę zadrapań, to wszystko.

Evan wyciągnął rękę.

— Pozwól mi zobaczyć.

Thea odsunęła się.

— Jest zbyt ciemno, Evan. Obejrzysz rano, jeśli będzie mi doskwierać. Niedobrze, że namiot uszkodzony. Mamy igłę i nici?

— Naprawię to — zapewnił, zdziwiony jej zachowaniem. Wiedział, że jest ranna, widział wyraz jej twarzy. Pomyślał, że pewnie nie może znieść jego dotknięcia.

— Lepiej zróbmy to rano.

Otuliła się szczelnie kocami, kryjąc swoją ranę i cierpiała w milczeniu.

Ranek był mglisty, nie kończące się stada chmur drwiły ze słońca, rzucając miękkie, rozmazane cienie na śniegu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła Thea wypełznawszy z namiotu, było poszarpane ścierwo psa. Szop rozdarł mu żołądek i pożywił się solidnie tym, co tam znalazł. Nieopodal widniała dziura w śniegu, wykopana przez któreś ze zwierząt szukające resztek wieczornego posiłku Thei i Evana.

— Więc to je zwabiło — rzekł wolno Evan, wynurzając się z namiotu.
— Zastanawiałem się nad tym w nocy.

Odwrócił się do Thei i zatroskany chciał obejrzyć jej biodro.

— Jak się czujesz? Nie boli cię?

— Jestem w porządku — odpowiedziała wymijająco.

— Daj mi obejrzyć ranę — nalegał Evan.

— Mówię, że jestem w porządku — ucięła i nagle zmieniła zdanie. — Och, rób co chcesz i sprawdź, jeżeli uważasz, że to takie ważne. To tylko zadrapanie. Naprawdę.

Nadaśana, rozpięła spodnie i zsunęła gruby materiał, ukazując rozcięte biodro. Skrzywiła się, bo rana otworzyła się przy tym na nowo.

— Mamy trochę antybiotyku w apteczce? Powinien pomóc — z uporem nalegał Evan obejrząwszy cztery głębokie bruzdy pozostawione przez kły szopa. Pięć lat wcześniej obawiałby się wścieklizny, ale od tej pory większość roznoszących ją zwierząt wyginęła i choroba wygasła.

— Uważasz, że to potrzebne? — spytała obojętnie Thea. Jej zachowanie zaczęło go denerwować.

— To zależy, jak daleko chcesz dziś dojść. Jeżeli mamy zrobić kawałek drogi, to powiedziałbym, że raczej potrzebne.

Opatrując i bandażując ranę, zapytał:

— Myślisz, że dasz radę nieść plecak?

— Oczywiście — warknęła.

— Wezmę trochę twoich rzeczy, jeśli chcesz.

Nałożył na ranę tampon z gazy i przykleił go ostatnim kawałkiem przylepca. W odpowiedzi usłyszał:

— Pamiętam, że kiedy byłam mała, było takie coś, że jak popryskano się na zadrapania, to przestawały boleć i szybko się goiły. Klej

komórkowy, tak to nazywali. Weterynarze używali tego na długo przedtem, nim ludzie zaczęli to stosować. Naprawdę szkoda, że tego nie mamy. Działo się wspaniale, lepiej niż to.

Evan zakończył pracę.

— Możesz już zapiąć koszulę. Pomogę ci nałożyć plecak.

Tym razem nie mówił już tak kategorycznie.

— Jak chcesz, Eran, ale poradziłabym sobie sama. Jak do tej pory dawałam sobie radę.

— Więc załóż go sama — odparł urażony.

Thea zarzuciła plecak na ramiona i krzywiąc się założyła szelki. Ze sprzączkami poszło nieco trudniej, ale pozapinała je szybko i stanęła gotowa do drogi. Evan przyglądał się temu uważnie.

— Od tej pory — powiedział — pomogę ci tylko wtedy, jeżeli o to poprosisz. Miałaś rację — dasz sobie radę.

Thea popatrzyła na niego poprzez długie pasma spadających na oczy włosów.

— Ty też.

Około południa dotarli do opuszczonego miasta Oddle Bar. Znaleźli je w miejscu, gdzie szlak skręcał na południe, u stóp skalistej ściany rzeczno-kanionu, zagubione w śnieżnych zaspach. Usadowione w zagłębieniu górskiego łańcucha, straszły rumami starych budynków walących się pod olbrzymimi czapami śniegu.

— Dziś chyba nie będziemy spali na dworze — powiedziała Thea, ledwie rzuciwszy na nie okiem. W jej głosie brzmiała nie skrywana ulga.

— Nie wyglądają zbyt dobrze, ale to i tak lepsze niż namiot.

— W każdym razie dach nad głową — przytaknął Evan, usiłując powstrzymać radość. — Te dwa w górze, na stoku, wyglądają najlepiej. Trzymaj kuszę w pogotowiu.

Evan miał jakieś niejasne przecucie. Miasto nie budziło w nim zaufania, nie dawało poczucia bezpieczeństwa. Aby usprawiedliwić swoją niechęć, przypomniał Thei:

— Nie jesteśmy jedynymi zwierzętami szukającymi schronienia.

Thea skinęła głową, czując jak ból z pogryzionego biodra zaczyna rozchodzić się po całej nodze. Nie widziała niebezpieczeństwa. Stare domy i wszystko, co reprezentowały, przyciągały ją nieodparcie. Napięła kuszę i sięgnęła po bełt. Starczy głos, zgrzytliwy od długiego milczenia, oznajmił:

— Ej, wy tam, łazęgi! Podejdźcie jeszcze o krok, a pozabijam was! — słowa przypieczętował charakterystyczny dźwięk odbezpieczanej strzelby.

Evan stanął, usiłując osłonić Theę. Ukradkiem spojrzeli na siebie i czekali z lękiem.

— Jak się tu dostaliście? — pytał starczy głos.

— Przyszliśmy znad Buck Lake — odpowiedział Evan podnosząc rękę, by pokazać, że nie ma broni.

— Nad Buck Lake nie ma nikogo.

— Przyszliśmy tam zanim spadły śniegi, ze wschodu. To rzeczywiście opuszczone miejsce. Teraz idziemy na południe. Do Truckee.

Evan kłamał, oczywiście, ale nie chciał ryzykować, mówiąc zbyt wiele. Ostrożnie rozejrzał się wokół, zastanawiając się, czy w tych starych domach ukrywa się ktoś jeszcze.

— Ty, z tą rzeczą na ramieniu. Odłóż to i podejdź bliżej. Oboje podejdźcie.

— Nie zostawię mojej kuszy — syknęła wściekle Thea.

— Szybko! — przynaglał niecierpliwie głos.

— Słuchaj! — zawołał Evan w kierunku domu. — Nie możemy tu zostawić broni. Ona zdejmie bełt z łoża — skinął ręką i Thea niechętnie wykonała polecenie. — Już. Jest rozładowana.

Ostrożnie zrobił krok naprzód, trzymając bełt w dłoni.

— Włóż to do kieszeni.

Evan zrobił, jak mu kazano, ukradkiem mając Theę na oku.

— Zrobione — krzyknął, schowawszy bełt.

— Dobrze. Czy ta panienka ma ich więcej?

— Tak, w plecaku! — wykrzyknęła Thea ze złością.

— Teraz możecie podejść, ale naprawdę powoli. Bez rozmów. Idźcie grzecznie, żeby można się wam dokładnie przyjrzeć. Nie potrzeba tu żadnych przeklętych rabusiów czy Piratów.

Thea rzuciła szybkie spojrzenie Evanowi, który wzruszył ramionami i poszedł ku największemu domowi na stoku. Obie ręce trzymał tak, aby były widoczne. Thea potrząsnęła głową, lecz ruszyła za nim. Falujące, przyklejone do stóp cienie towarzyszyły im podczas krótkiego podejścia. Kiedy znaleźli się nie dalej jak dwadzieścia stóp od drzwi, głos odezwał się znowu, skrzypiący niczym zardzewiały zawias.

— Wchodźcie pojedynczo — muszę was sprawdzić.

— Nie — natychmiast odparł Evan. — Oboje lub żadne.

— Może pani uważa inaczej — rzekł chytrze głos.

— Uważa tak samo — powiedziała niezwłocznie Thea. Usłyszeli jakieś szmery i głos przemówił gdzieś z głębi budynku:

— Dobrze, łazęgi, możecie wejść! Tylko powoli. Żadnych gwałtownych ruchów. Bez gadania. I nie przewracajcie się ani nic takiego. Znam te wszystkie sztuczki. Jeżeli spróbujecie jakichś numerów — zastrzelę.

Thea i Evan wymienili spojrzenia i weszli do starego domu. Pokój, w którym się znaleźli, najwidoczniej był kiedyś sypialnią. Kwiciasta tapeta obłaziła ze ścian jak kora i po obu stronach drzwi stały szafy na ubrania. Na resztę umeblowania składały się: krzesło, stół oraz mały piecyk promieniujący ciepłem i rozjaśniający swym miękkim, czerwonym blaskiem światło płonących świec.

— Możecie zdjąć swoje plecaki — odezwał się głos zza następnych drzwi — ale musicie to zrobić ostrożnie.

— Słuchaj, stary — rzekł Evan z wymuszonym spokojem. — To ty kazałeś nam tu przyjść. Ty masz broń. Myślisz sobie...

— Nie jestem „stary”! — wrzasnął głos.

Dał się słyszeć głośny szczęk padającej na podłogę strzelby i za moment do pokoju wpadła zasuszona starucha o twarzy brązowej i pomarszczonej jak włoski orzech. Miała na sobie jaskrawopomarańczowy skafander narciarski i jadownicie błękitne,

ocieplane spodnie, niechlujnie wepchnięte do pięknych zamszowych butów. Rzadkie, starannie uczesane włosy spływały jej na ramiona tłustymi kędziorami. Wzrostem niemal dorównywała Evanowi, który musiał stawić jej czoła.

— Co masz na myśli, nazywając mnie „stary”? Nie jestem, nie jestem mężczyzną!

— Tak, widzę — odparł uprzejmie Evan, zastanawiając się skąd, na Boga, wytrzasnęła taki strój. W otaczającym ją zapachu można by zawiesić siekierę. Wydawało się, że odpowiedź Evana sprawiła jej przyjemność, bo zachichotała dziewczęco i upozowała się w drzwiach.

— Podoba ci się? Mocna rzecz. Nikt mnie w tym jeszcze nie widział. Okręciła się na palcach.

— Założę się, że czegoś takiego jeszcze nie widziałeś.

— Nie, nie widziałem — przyznał Evan. — Skąd pani to wzięła? — miał nadzieję, że dowie się czegoś.

— Te stare szmaty? Mam je od lat.

Wciąż stała w drzwiach, kokieteryjnie poprawiając włosy.

— Zostawili je. Kiedy elektrownia Oroville wyleciała w powietrze, zanim jeszcze zaczęła się gadanina o przeciekach promieniowania na składowiskach, wszyscy goście wyjechali... I wcale nie zabrali swoich rzeczy, w ogóle nic. Wzięłam, co mi przypadło do gustu. To było cudowne — tyle tych pięknych rzeczy. Perfumy. Kosztowności... — rozmarzyła się.

— Goście? — zapytał z niedowierzaniem. Nawet z największym trudem nie mógł wyobrazić sobie, by w Oddle Bar pojawił się jakiś turysta w ciągu ostatnich stu lat. — Tu?

— Oczywiście, że nie tutaj, głupcze. Pracowałam w Squaw Valley, tam, gdzie kiedyś rozgrywali Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Co za miejsce! Przeżywało też gorsze czasy, ale zawsze przyjeżdżało tam najlepsze towarzystwo w fikuśnych samochodach i futrach. Niektórzy mieli tam szykowne domy, inni zatrzymywali się w hotelach. To było coś, mister. Później, po wybuchu elektrowni, żołnierze kazali nam się wynieść. To mi zabrało trochę czasu.

Znów dotknęła włosów delikatnym gestem strojnisi, równie absurdalnym, co przerażającym.

— Zabrało trochę czasu? Żołnierze nie kazali się pani wynieść? — wiedział, że spodziewała się właśnie tego pytania i że odpowie na nie z dumą.

— Nie kazali mi — nie mogli mnie znaleźć. Pozwólcie sobie powiedzieć, że wszystko się wtedy pomieszało, ci bogacze w swych drogich samochodach wystraszyli się bomb umieszczonych w górach. Tak powiedzieli żołnierze, że w górach są bomby i wylecą w powietrze. Zrobili, co im kazano. Szkoda, że nie widzieliście, jak uciekali. Zostawiali tony wspaniałych rzeczy. Wzięłam sobie trochę. Mam ponad trzysta strojów, niektórych nie założyłam jeszcze ani razu. Wystarczą mi do końca życia. Roześmiała się nagle, pokazując czarne pieńki połamanych zębów.

— Trzysta? — Thea stała przy drzwiach, z rosnącym napięciem patrząc na staruchę. Czuła, jak włosy stają jej dęba. Starucha wydeła wargi i wrzasnęła:

— I wszystko moje! Najpiękniejsze stroje na świecie!

— Musi się pani dobrze bawić — rzekł Evan, zmuszając się do uśmiechu.

Jednak starucha gwałtownie zmieniła temat. Jej wyblakłe oczy przybrały chytry wyraz.

— Mówicie, że przyszedliście znad Buck Lake? A przedtem gdzie byliście?

— W Portola — powiedziała Thea, zanim Evan zdążył coś odpowiedzieć. — To w Idaho. Wyzywająco spojrzała na Evana, oczekując, że temu zaprzeczy.

— Przebyliście daleką drogę — powiedziała podejrzliwie stara, mierząc ich spojrzeniem zwężonych oczu. — Już nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam kogoś z Idaho. Przejście takiej drogi musiało wam zabrać wiele czasu.

— Dwa lata — rzekł Evan, wyplątując się z plecaka. — Próbujemy dojść do wybrzeża, jeżeli dotrzemy do Truckee, będziemy się trzymać

autostrady.

— A czemu nie zostaliście w Idaho? — strzeliła pytaniem starucha. Evan miał odpowiedź w pogotowiu, ale wahał się, jakby trudno mu było o tym mówić.

— Słyszała pani o tym gazie trującym? Co to wojsko zakopało go w górach?

Z głębokim zadowoleniem stwierdził, że stara skwitowała to ostrożnym skinieniem głowy.

— No — powiedział, przerywając rozmyślnie dla zwiększenia efektu — zbiorniki popękały.

— Chi, chi — kobieta zarechotała zgrzytliwym śmiechem. — Słyszałam o tym.

Evan nie wymyślił tego. Kilku Piratów przybyło właśnie z tej części kraju i opowiadało o padłym bydle i zabitych przez gaz farmerach, których spalone, pokryte bąblami trupy rozkładały się na polach.

— Od tej pory minęło już sporo czasu — przypomniała sobie kobieta, znów sięgając po strzelbę.

— Niezupełnie. To znaczy, duże przecieki miały miejsce dawno temu. Jednak gaz rozchodzi się jak mgła. Po pewnym czasie dotarł i do nas. I niektóre mniejsze zbiorniki pękły dopiero później. Myśleliśmy, że przetrwamy w górach za Twin Falls, lecz nagle wyzdychały wszystkie owce i w promieniu paru mil ludzie zaczęli chorować. Więc odeszliśmy. Nic nie mogliśmy zrobić.

Theę zawsze zadziwiała łatwość, z jaką przychodziło jej kłamstwo. Jakby na krótką chwilę stawała obok i pozwalała kłamać jakiejś obcej kobiecie. Prawie sama uwierzyła, że mieszkała w Idaho i hodowała owce.

— Fatalnie — powiedziała niedbale starucha — ale nie macie po co iść na wybrzeże. Nic tam nie ma. Już od lat. A na wszystkich drogach są Piraci.

— Piraci? — zapytał Evan, jakby pierwszy raz słyszał to słowo.

— Taak. Bandyci, wiecie. Przychodzą, zaczynają się rządzić, grabić i w ogóle. Później, kiedy już spustoszą wszystko, podpalają resztę i jadą dalej.

Przełknęła ślinę.

— Mnie nigdy nie znajdą. Nie wiedzą jak. Nie potrafią się tu dostać, nawet gdyby wiedzieli jak. Jak już o tym mówimy, w zeszłym miesiącu pojawili się w Graeagle — tam, gdzie przyjeżdżano grać w golfa. Jednak tu się nie pokazali.

Gwałtownie usiadła na podłodze i wskazała Evanowi miejsce obok.

— Siadaj. Siadaj. Odpręż się. Nic wam nie zrobię. Jesteście w porządku — to widać.

Evan posłusznie usadowił się na podłodze i oparł o swój plecak. Wyglądał na rozluźnionego, ale czujnie obserwował starą.

— Powiedz mi coś więcej o tych Piratach. Nie słyszałem o nich. Mówiąc to uśmiechał się, lecz czuł ogarniający go chłód, gdy przypomniał sobie, że Piraci musieli przejść przez Quincy, by dotrzeć do Graeagle.

— To paskudna banda, ci Piraci. Nikczemnicy — mówię wam — tak podli, że obdzierają ludzi ze skóry. Tak. I robią z nich rzemienie.

Stara zaczęła wyliczać wszystkie okropności popełnione przez Piratów, ubarwiając opowieść tam, gdzie fakty okazywały się zbyt nudne. Mówiła śpiewnym głosem, charakterystycznym dla ludzi, którzy przyzwyczaili się mówić do siebie. Wielokrotnie powtarzane słowa straciły już swe znaczenie. Raz zacząwszy nie potrafiła przestać — jakby pękła w niej jakaś tama.

Thea w napięciu słuchała tej paplaniny. Stara była niebezpieczna — czuła to. Mimo zmęczenia, nie mogła się pozbyć wrażenia, że gadatliwa starucha knuje coś złego.

— ... potem zdarzyło się to nieszczęście z Sacramento, kiedy przypadkowo wrzucili insektycydy do rzeki i zapaskudzili ją całą aż po Zatokę San Francisco. Zabili ryby, zabili owady, a potem wszystkie ptaki. Chyba to zauważyliście. Wcale nie ma tu ptaków — najwyżej raz na jakiś czas pokaże się jeden. Już od lat nie słyszałam śpiewu ptaków... Tak bardzo mi tego nie brakuje — mam co innego do roboty. Jednak głupio to zrobili. Tak sobie myślę. Nikt nie potrafił niczego zaplanować... Ale, ale — przerwała wreszcie. — Pewnie jesteście głodni, prawda? Podawanie do stołu — tym się zajmowałam w Squaw Valley. Zaraz się za to zabiorę —

zerwała się na nogi. W mrocznym wnętrzu jej krzykliwy strój był niczym światło morskiej latarni.

— Czasem lubię zapomnieć o dobrym wychowaniu. Mam co jeść, a wy jesteście głodni. Chętnie podzielę się z wami. Mam więcej, niż mi potrzeba. Zejdźcie na dół i oporządźcie się. Ja tu coś przygotuję. Mam mnóstwo puszek. Wzięłam masę skrzynek z konserwami, nie tylko moje śliczności. Wiecie, już wtedy wiedziałam, że hotel zamykają na dobre.

— Bardzo dziękujemy — powiedział oględnie Evan, stanąwszy na nogi. — Będziemy szczęśliwi mogąc zjeść coś w towarzystwie... — zawiesił głos. Starucha zachichotała.

— Chcesz powiedzieć, że jeszcze się wam nie przedstawiłam? Boziu, co wy sobie o mnie pomyślicie? Jestem Margaret Cornelia Lewis. Czyż nie ładnie? A jak wy się nazywacie?

— Ja nazywam się David Rossi — rzekł Evan, podając nazwisko, którego użył przy pierwszym spotkaniu z Theą — a to jest Thea.

— A więc pan i pani Rossi, hmm? To brzmi po włosku. Jesteś Włochem? — dociekała, zerkając podejrzliwie na jego jasne włosy i bladoniebieskie oczy.

— Częściowo — odparł szczerze. Obrzucił Theę szybkim spojrzeniem, mając nadzieję, że nie sprostuje jego milczącego kłamstwa o małżeństwie. — Jesteśmy naprawdę wdzięczni za gościnę — ciągnął pospiesznie, przenosząc rozmowę na bezpieczniejszy grunt.

— Tak. No dobrze, panie i pani Rossi. Jesteście moimi pierwszymi gośćmi od wieków — powiedziała uszczęśliwiona Margaret Cornelia i zaaferowana wyszła z pokoju, wołając do nich ze schodów: — Zaczekajcie parę minut, a przygotuję coś na kolację!

— Evan, chodźmy stąd — szepnęła Thea. — Coś tu jest nie w porządku, czuję to. Spojrzała w kierunku schodów, gdzie zniknęła stara. — To wariatka, Evan. Mówię ci.

— Tak — odparł — ale mamy tu dach nad głową i gorący posiłek.

— Nieważne. Nie dbam o to, nawet jeśli ma jedzenia na cały rok. Musimy się stąd wydostać. Obiecuj mi, że nie zostaniemy. Obiecuj. Ona jest straszna. Nie jesteśmy tu bezpieczni.

— Zobaczymy — odrzekł wymijająco. Był głodny i wiedział, że Thei dokucza rana w boku. Widział, jak pobladła pod koniec całodzienniej wędrówki, chociaż twierdziła, że ją nie boli. — Jeżeli coś będzie nie tak, odejdziemy.

— Obiecuj! — nalegała, słysząc na schodach kroki Margaret Corneli.

— Panie Rossi, pani Rossi. To ja!

Evan kiwnął głową do Thei.

— W porządku. Obiecuję — powiedział i odwrócił się do nadchodzącej gospodyni.

— Tylko na wielkie okazje. Co o tym myślicie? — spytała. Zmieniła strój narciarski na długą, błyszczącą suknię wyszywaną cekinami. Toaleta była o kilka numerów za duża i luźne fałdy materiału żałośnie wisały na wyschniętym biuście. Buty na bardzo wysokich obcasach miały rażąco czerwony kolor zupełnie nie pasujący do sukni.

— Pomyślałam sobie, że powinnam się przebrać na taki niezwykle wieczór — okręciła się prowokująco przed Evanem. — No? — zapytała zalotnie. — Co pan o tym myśli? Czyż nie szykowna?

— Niesamowita — odparł Evan z głębokim przekonaniem. Kątem oka widział, jak Thea odsuwa się od Margaret Corneli, patrząc na nią pustym wzrokiem.

— Założę się, że nigdy pani nie widziała czegoś takiego, pani Rossi. Ta suknia... takich sukni nie nosi się już od przeszło dwudziestu lat! — zwróciła się do Thei, mylnie uznając jej zachowanie za objaw podziwu.

— Nie, nigdy. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam.

Stara uśmiechnęła się.

— Jak to przyjemnie móc przebrać się do kolacji. Zawsze to mówię. To jedna z tych rzeczy, jakich się już nie robi.

— Wielu rzeczy już się nie robi — powiedziała Thea.

— Taak. To prawda — uwodzicielskim ruchem odwróciła głowę do Evana, oczekując, że poda jej ramię. — Panie Rossi, będzie pan moją eskortą? Zawsze to przyjemniej udawać się na kolację w towarzystwie dżentelmena.

Thea ruszyła za nimi, pytając:

— Jest tu jakaś szopa? Albo łazienka?

— Pewnie. W dół do hallu i na lewo. Zazwyczaj działa. Tylko proszę nie spuszczać bez potrzeby. Wiecie, co mróz wyprawia z instalacją, a coraz trudniej zdobyć części. Delikatnie.

— Będę uważała na instalację — powiedziała ponuro Thea, udając się we wskazanym kierunku, podczas gdy Margaret Cornelia oparła się ciężko na ramieniu Evana.

Tak jak się Thea spodziewała, w łazience było brudno. Wieloletnia skorupa ekskrementów przywarła do muszli klozetowej i smród, chociaż przytłumiony przez mróz, uderzył ją w nozdrza jak obuchem po otwarciu drzwi. Czując mdłości, Thea ulżyła sobie do zlewu, nieco czystszej. Już miała wybiec z okropnego przybytku, gdy po przeciwnej stronie dostrzegła kolejne drzwi. Usiłując zapomnieć o smaku żółci w ustach, zdecydowała się zbadać sprawę.

Za drzwiami znalazła pomieszczenie, które kiedyś było słoneczną werandą, a teraz służyło jako schowek na mięso. Wielkie półce zwieszały się z sufitu. Na hakach zobaczyła resztki niedźwiedzia, jelenia i pół tuzina ludzkich kadłubów. Wypatroszone, wisały spokojnie w mroźnym powietrzu, czekając aż Margaret Cornelia zapragnie urozmaicić swoje posiłki. Thea wolno wkroczyła do pokoiku, trzęsąc się z przerażenia. W końcu wyciągnęła rękę i dotknęła jeden z kadłubów, niemal tracąc zmysły, kiedy namacała zimne, zeszywniałe ciało. Odwróciła się gwałtownie od tego widoku, mając nadzieję, że czysta, biała przestrzeń za oknem pomoże jej odzyskać równowagę. Skupiła wzrok na czerwonym cieniu zalegającym na zboczu i wtedy dostrzegła ślady stóp. Pozostawione przez ośmiu lub dziesięciu ludzi, wszystkie zupełnie świeże, wiodły do sąsiedniego budynku. Serce załomotało jej w piersi, pod wpływem strachu straciła rozsądek i przycisnąwszy ręce do ust, chciała wybiec z pomieszczenia. Wpadła na jeden z wiszących kadłubów i musiała pokonać lęk i odrazę nim zdołała z powrotem zawiesić go na haku.

Przekonana, że wyblakłe, świdrujące oczy gospodyni zauważą najmniejszą zmianę, Thea wycofała się ostrożnie, przepełniona

obrzydzeniem. Przeszła obok zapuszczonej muszli i zardzewiałej wanny, po czym prześliznęła się przez drzwi, nie dotykając niczego. Znalazszy się na zewnątrz, ciężko oparła się o drzwi, jakby chciała zamknąć za nimi na zawsze wspomnienia rzeczy, które tam zobaczyła. Wiedziała, że musi powiedzieć o tym Evanowi, że muszą uciekać, i to szybko, inaczej skończą na hakach tak, jak tamci. Wchodząc na schody, miała gorącą nadzieję, że na stół podano dziczyznę.

— O, jest pani! — krzyknęła Margaret Cornelia przez kuchenne drzwi. Spoglądała figlarnie na Evana. — Przepraszam za mały nieporządek w łazience, ale wiecie, jak to jest. Byłam taka zajęta, że nie miałam czasu posprzątać. Trudno prowadzić taki dom, kiedy wszędzie tyle śniegu i w ogóle...

Thea niewyraźnym pomrukiem przyznała jej rację i popatrzyła na Evana, próbując dać mu znać, że ma mu coś do powiedzenia.

— Och nie, nie powinna pani być zazdrosna, pani Rossi — powiedziała stara, grożąc jej kościstym palcem. — Nie może pani winić dziewczyny, że chce poflirtować z przystojnym mężczyzną, prawda? Zwłaszcza z takim przystojnym, jak pan Rossi. Napraw dę uważam, że mężczyzna z brodą wygląda szczególnie atrakcyjnie, a pani?

Jedzenie było nędzne, kilka suchych, spalonych prawie na węgiel ziemniaków i mięso — najprawdopodobniej dziczyzna — ginące w gęstym, gumowatym sosie. Przez cały czas z ust Margaret Cornelii płynął nieprzerwany potok słów. Jej monolog nie miał żadnego związku z sytuacją. Wydawało się, że zupełnie zapomniała o obecności Evana i Thei. Opowiedziała, jak przybyła do Oddle Bar ze Squaw Valley i jak przechytrzyła wszystkich, którzy próbowali ją złapać, oszukać lub obrabować w ciągu minionych lat.

— Wiem, kiedy nic mi nie grozi — rzekła, wycierając ciekącą po brodzie strużkę sosu swoją poplamioną, adamaszkową serwetką. — Wyczuwam ludzi, wiecie? Jak tylko was zobaczyłam, wiedziałam, że jesteście porządni. Po prostu wiedziałam. Och, pani Rossi jest trochę zazdrosna. To dlatego, że mam te wszystkie śliczne rzeczy, których ona

nie ma. Chciałaby je mieć, prawda? Proszę się nie kłopotać, to tylko świadczy o tym, że ma pani dobry gust.

— Jeżeli tutaj jest tak niebezpiecznie, jak pani mówi — spytała Thea, nie zwracając uwagi na słowa starej — to dlaczego się pani stąd nie wyniesie? Albo nie przyłączy do innych? Wtedy nie musiałyby się pani ukrywać. Mogłaby pani stawić czoła Piratom i innym bandytom.

Mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że straszliwa spizarnia znajduje się prawie bezpośrednio nad ich głowami.

— Nie mogę tego zrobić, pani Rossi. O rany, to nie byłoby mądre. Wiecie jak to jest, kiedy kupa ludzi zbiera się, żeby czegoś upilnować? Stają się celem, naprawdę łatwym celem. Nie mam ochoty być celem dla nikogo, o nie! Piraci przez cały czas szukają miejsc, gdzie żyją ludzie, i niszczą je. Zabijają wszystkich. A ja samiotka, i nikt nie wie, że tu jestem. Robię to specjalnie. Sama sobie radzę, a inni niech służą za cel.

Z uciechą popatrzyła na Evana.

— Chociaż jedna osoba więcej nie zawadzałaby. To by się dało zrobić. Nie jestem skąpa.

— Margaret Cornelio — rzekł stanowczo Evan. — Jest nas dwoje. Jesteśmy małżeństwem.

— Ach, to dziś niewiele znaczy. Jesteście małżeństwem na tyle, na ile chcecie nim być. Wyzywająco zwróciła się do Thei:

— Nie potrafi go pani zatrzymać, pani Rossi. Mam wiele więcej do zaoferowania. Mam dom, żywność i ładne stroje...

Evan zdołał się wtrącić:

— My, Włosi, jesteśmy katolikami, Margaret Cornelio. Małżeństwo to święty sakrament.

Prawidłowo uchwycił ton i sani się zdziwił, jak dobrze mu się udało naśladować ojca Bowena. Nie widział ojca Bowena już od ponad trzydziestu lat.

Stara wydeła nozdrza, lecz uśmiechnęła się kwaśno i zmieniła temat. Znów zaczęła opowiadać o sobie, o wspaniałych dniach w Squaw Valley. Kiedy w końcu poszła do kuchni przygotować kawę o smaku i

konsystencji kleju, Thea niecierpliwie pociągnęła Evana za rękaw. Przez cały czas starannie ukrywała przed gospodynią swój strach.

— Co jest, Thea? — zapytał głośno Evan, tak by dosłyszała go udająca się do kuchni starucha. — Ach, tak. Czekaj, zrobię z tym porządek.

Udając, że poprawia coś przy jej bucie, nachylił się bliżej.

— Co się stało? — spytał szeptem.

— Nie tu. Później. Jest źle.

Evan kiwnął głową.

— Pozwól mi sprawdzić drugi but — powiedział głośno.

— Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Około dziesięciu ludzi w sąsiednim budynku.

— Dobrze — wyprostował się — teraz powinno być dobrze.

— Dziękuję — powiedziała Thea, groteskowo krzywiąc wargi w uśmiechu do powracającej z kawą Margaret Cornelli.

— Będzie wam smakowała — obiecała stara, stawiając powyginaną tacę na stole. — Po takiej długiej wędrówce nie ma nic lepszego jak kawa. Zrobiłam mocną i słodką. Zobaczycie.

Gdy tylko zostali sami w zagraconej sypialni, Thea opowiedziała Evanowi o swoim odkryciu. Rozmawiali przerywanym szeptem, udając, że się rozbierają.

— Cholera! — zaklął cicho Evan — myślałem, że będziemy mogli tu zostać, w razie potrzeby dać jej w łeb i przejąć wszystko. Jednak nie jest sama. Wbrew temu, co opowiadała.

— Cii! Ona podsłuchuje, Evan. Wiem — Thea rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi. — Musiała im już dać znać. Nie możemy tu zostać.

— Masz rację — namyślał się, zapinając plecak.

— Evan, możemy skończyć jako mięso na hakach.

Pokiwał głową.

— Przygotuj swój plecak, tylko ostrożnie. Udawaj, że się rozbierasz — powiedział bardzo cicho, przysuwając do siebie swój bagaż. Przewiesił rakiety przez ramię, bojąc się je zakładać w budynku. Thea milcząco wyraziła zgodę i skończywszy pakowanie, zarzuciła plecak na

ramiona z lekką niechęcią, zdradzającą Evanowi, że rana na biodrze wciąż ją boli.

— Drzwi są zamknięte, usłyszysz nas, jeśli spróbujemy je otworzyć — rzekł, kiedy byli już gotowi. — Na zewnątrz jest ciemno. Musimy zaryzykować.

— Bardziej ryzykowałibyśmy zostając tutaj. Nie boję się ciemności, byleby tylko stąd uciec. Wolę już walczyć z niedźwiedziem — Thea precyzyjnie się obok niego, podeszła do drzwi i chwyciła ciężką sztabę. Jednym potężnym szarpnięciem podniosła ją z uchwytów. Rozległ się dźwięk przypominający odgłos rozbijającego się na rafach statku.

— Naprzód! — ponaglił Evan, wypychając ją na zewnątrz.

Dwa słoneczne dni sprawiły, że głęboki śnieg pokrył się twardą skorupą, dzięki której utrzymywali się na powierzchni. Za nimi z trzaskiem otworzyło się okno i pogonił ich skrzeczący głos:

— Wy łajzy! Łajzyyyy!

W chwilę potem kaszlnęła strzelba, ale strzał chybił. Zbocze stało się bardziej strome. Evan popchnął Theę, krzyząc: „Tocz się!” i sam rzucił się w śnieg. Usłyszeli dwa następne strzały, jeden z nich przeszedł dość blisko. Bezwładnie toczyli się po stoku, żłobiąc głębokie ślady w śniegu, wymachując rękami. W słabym świetle księżyca Evan dostrzegł przed sobą sterczące deski, niczym niebezpieczne podwodne skały grożące rozbiciem zsuwającym się po zboczu uciekinierom. Rozpaczliwie wystawił nogi, modląc się w duchu, by udało mu się wytracić pęd, zanim rozbije się na ogrodzeniu. Mocno uderzył stopami w ukryty płot, aż kolana znalazły mu się pod brodą. Natychmiast wyciągnął rękę do Thei i ku swojemu zdziwieniu nie tylko zdołał ją chwycić, ale też przytrzymał, nie pozwalając potoczyć się dalej w zaśnieżony parów.

Przez kilka minut leżeli obok siebie na oblanym blaskiem księżyca śniegu, dysząc ciężko, podczas gdy w dali cichły wrzaski Margaret Cornelii. Kiedy wreszcie zapadła cisza i znów zaczęli normalnie oddychać, Evan spojrzął na Theę i wypuścił jej ramię z uścisku.

— Załóż rakiety — powiedział czule. — Mamy przed sobą długą drogę.

Tej nocy nie zaszli daleko. Zdołali jedynie wejść na grań nad Oddle Bar i wyczerpani zasnęli na kupie ściętych gałęzi. Przejście okrytymi śniegiem stokami do Onion Valley zajęło im cały następny dzień. Szli wciąż na wschód i kolejną noc spędzili na północnej grani MacRae, bez żadnej ochrony przed wiatrem, niosącym złudną obietnicę odległej jeszcze wiosny. Evan naciął gałęzi i pod ich nędzną osłoną Thea rozpałała ognisko. Skulili się przy nim, otoczeni zimnem i bezmiarem pustych gór, podczas gdy poszturchiwane przez wiatr drzewa skręcały się w męce, sypiąc śniegiem. Od czasu do czasu następna sosna padała z hukiem przypominającym wystrzał — kolejna ofiara choroby zagarniającej wolno coraz większy obszar.

Wiatr nadal wiał następnego dnia, kiedy okrążali górski łańcuch w pobliżu Johnsville.

— Co to? — spytała Thea, widząc wysoko w górze ruiny przyciśniętych do zbocza domów.

— Tu jest napisane „Johnsville” — Evan wskazał na zatarty przez deszcz napis. — Johnsville, Johnsville... — mruczał pod nosem, szukając czegoś w pamięci.

— I co? — pytała Thea. Była zadowolona z krótkiej przerwy w marszu. Biodro wciąż ją bolało i przez ostatnie trzy mile utykała.

— Wydaje mi się, że to było angielskie miasteczko górnicze, zamieszkane przez Kornwalijszczyków. Ku wiecznej chwale Jej Brytyjskiej Mości, Aleksandry Wiktorii — przeczytał i chrząknął. — Prawie już zapomniałem. Druga Gorączka Żłota, w 1981 roku, ożywiła miasteczko. Przedtem stał tu tylko hotel i chyba restauracja. Przypominam sobie, że czytałem o tym kiedyś — dawno temu. Coś o tym, że nigdy nie zostało prawidłowo przejęte przez rząd i nie jest prawnie członkiem Związku. Takie tam rzeczy, którymi kiedyś się przejmowaliśmy...

— Czy ktoś tu mieszka? — zapytała Thea, gdy znaleźli się w dolince otoczonej resztkami kamiennych budynków.

— Teraz już chyba nie — powiedział Evan, mając nadzieję, że ma rację. Oddle Bar też uznali za wymarłe miasto, a nie wolno im popełnić

drugi raz tego samego błędu. Ruszył w stronę budynków, nasłuchując i wypatrując czujnie.

Odwrócił się do Thei.

— Trzymaj kuszę w pogotowiu. I czekaj tu.

— Evan, przecież... — protestowała, zakładając bełt.

— Musisz mnie osłaniać.

Znów odwrócił się ku budynkom ukrytym w głębokim śniegu jak dziwne, czarne grzyby. Jedyne wiatr poruszał się wśród nich, układając śnieg w fantastyczne wzory. Padające drzewa zniszczyły dwa domy, a wieża kościoła pochyliła się mocno, grożąc wywróceniem całego budynku. Długie, popołudniowe cienie rozkładały na śniegu purpurowe i błękitne kształty. Evan z ulgą przywitał cienie i odprężenie, jakie przynosiły. Oczy go bolały, łupało go w głowie, a głód i wyczerpanie zobojętniły go na niebezpieczeństwo. Stanął na środku cichego miasteczka i wolno opuścił kuszę. Po chwili gestem przywołał Theę i czekał, aż stanie u jego boku.

— Chyba jest smutne — powiedziała, podchodząc. Evan spojrzał na nią uważnie.

— Smutne? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że ono czuje, że tu powinni mieszkać ludzie i tęskni z nimi.

Wiatr znów się zerwał, piszcząc jak kot. Oszalały jęk przeleciał nad pustkowiem. Evan zaczekał, aż ustąpi niesamowite wrażenie, jakiego doznał, po czym rzekł:— No, dzisiejszą noc spędzimy pod dachem. Może nawet znajdziemy łóżko lub dwa, jeśli dobrze poszukamy.

Teraz, gdy długi marsz prawie się skończył, Evan czuł, że bolą go wszystkie kości. Przelotnie pomyślał, że się starzeje i z pewnym zdziwieniem przypomniał sobie, że skończył czterdzieści siedem lat.

— Nie wiem jak ty, Thea — powiedział łagodnie — ale ja z zadowoleniem się położę.

Zwróciła ku niemu wymizerowaną twarz.

— Przeszliśmy długą drogę — powiedziała, odwiązując kuszę. — Myślę, że wkrótce dojdziemy do Złotego Jeziora i wszystko się skończy.

Później dodała tak żarliwie, że Evan poczuł ukłucie żalu:

— To już blisko. Niedaleko. Sprawdzimy mapę, którą dał nam Hobart, jak tylko znajdziemy nocleg.

Znaleźli go w opuszczonej restauracji, obszernej i ciepłej. Fotele na sali były tak duże i wygodne, że z powodzeniem mogły zastąpić łóżka. W powietrzu unosił się słaby zapach pleśni, a starą, pasiastą tapetę pokrywała gruba warstwa kurzu. Kilka lamp naftowych w kinkietach przechyliło się ryzykownie, ukazując bezbarwny, zmętniały olej wypełniający szklane zbiorniki. Inne lampy stały jeszcze na stołach, pozbawione połysku przez kurz i pajęczyny.

— Wiesz, Thea, gdyby to nie było tak blisko od Graeagle, warto byłoby tu zostać — napomknął Evan, rozpalając w piecu. W kuchni znalazł kilka stosów drewna, jak również parę pudełek świec. Zaświecił trzy czy cztery lichtarze i główna sala zajaśniała ciepłym blaskiem, a płonący w piecu ogień szybko wypierał chłód.

— Nie chciałabym zostawać tak blisko Piratów, nawet tu. Mogliby tutaj dotrzeć w pół godziny, gdyby chcieli.

— Nie teraz — przypomniał jej Evan — i nie wozami. Nie przedrą się przez śniegi.

— Jesteśmy zbyt blisko nich — upierała się, lecz dodała: — Tu jest naprawdę miło. Rozumiem, czemu chciałbyś tu zostać.

Wyciągnęła zapasowe ubranie z plecaka i poszła do kuchni zrobić pranie. Evan cisnął jej dwie grube, wełniane koszule.

— Przy okazji. Rozejrzę się, może znajdę tu coś, co moglibyśmy zabrać oprócz bandaży, zapalek i świec.

— Noże — przypomniała rozsądnie, otwierając szuflady w poszukiwaniu mydła.

— To jest myśl!

Odkrył drzwi do piwnicy i zabrawszy jeden kandelabr, zniknął w głębi. Kilka minut później wystraszona Thea usłyszała głośny okrzyk. Upuszczając pranie, sięgnęła po kuszę i lękliwie podeszła do schodów, wołając Evana. Zaczekała chwilę i zawołała jeszcze raz.

— Evan? Nic ci się nie stało? — napięła kuszę.

— Wszystko w porządku — odkrzyknął radośnie. — Tu są tony konserw i innej żywności, Thea, a nawet piwnica z winem.

Wkrótce potem pojawił się ściskając puszki i zakurzone butelki, miał pajęczyny we włosach.

— Spójrz na to — wyciągnął do niej rękę z butelką, bezskutecznie próbując wytrzeć etykietę. Mondavi Cabernet 1986.

Ku jego zdziwieniu odparła:

— Rocznik 1978 jest lepszy.

Widząc zdumienie na jego twarzy, dodała:

— Mój ojciec był wirusologiem, specjalizował się w winach. Wyhodował odmiany, którymi obsadzono całą dolinę Napa. Prawie o tym zapomniałam. W Camminsky Creek nie mieliśmy winorośli. Od lat nie widziałam wina — sięgnęła ręką i dotknęła butelki. — I pomyśleć, że winogrona na to zebrano w roku, w którym się urodziłam.

— Nigdy nie wspominałaś, że twój ojciec... — urwał, nie chcąc myśleć o innych rzeczach, o jakich nie wspominała.

— Teraz już o tym nie myślę — powiedziała przepaszająco. — To było dawno temu, Evan. Od tej pory wiele się zmieniło.

Dobrze o tym wiedział. Zmienił temat.

— Coś ci powiem: gotowanie zostaw mnie, a sama się umyj. Zrobimy uroczystą kolację. Jutro dojdziemy do Złotego Jeziora i najgorsze będzie za nami. Jeżeli tamtejsza społeczność istnieje...

— Jeżeli? — zapytała, gotowa do obrony. Evan samokrytycznie potrząsnął głową.

— Nie zwracaj na mnie uwagi, Thea. Zbyt często widziałem, jak nie udawały się wspaniałe plany i nie potrafię już w coś uwierzyć tak mocno, jak ty. Zawsze szukam dziury w całym.

— Chyba nie myślisz... — nie ośmieliła się dokończyć, jakby ubranie wątpliwości w słowa mogło zmienić podejrzenia w rzeczywistość.

— Nie. Nie myślę. Teraz idź się wyszorować. Gorąca kąpiel to luksus, a skoro w kuchni jest dwudziestogalonowy kocioł na zupe, możemy go napełnić śniegiem, postawić na piecu i nagrzać wody. Kiwnęła głową, uradowana.

— Zostało też trochę mydła.

— Świetnie. Jeśli przyniesiesz śnieg, ja zajmę się posiłkiem.

To mówiąc wypchnął ją z kuchni, śmiejąc się do czekających garnków i puszek. Żałował, że nie może wziąć ze sobą niektórych utensyliów kuchennych, bo z pewnością przydałyby się ludziom nad Złotym Jeziorem. Od dawna już nie widział tak dobrych naczyń — porządne francuskie garnki. Dostrzegł nawet szeroką, miedzianą patelnię. Podświadomie zadawał sobie pytanie dlaczego, jeżeli Złote Jezioro było tak blisko, ludzie nie zabrali tego wszystkiego z Johnsville.

— Nie chcą zwracać na siebie uwagi — powiedział głośno do kredensu, przetrząsając półkę z przyprawami. — Wiedzą, że muszą uważać.

Nie miało to sensu, lecz sam przed sobą udawał, że jest inaczej i całą uwagę skupił na przygotowywaniu jedzenia.

Kolację zjedli przy świecach. Evan wspomniał dawno minione dni, gdy świece były raczej romantycznym, czarującym dodatkiem w eleganckich lokalach, niż rzeczywistą koniecznością. Przyrządził coś w rodzaju lasagne, używając wyschniętego na wiór sera znalezionego w piwnicy razem z winem, świeże mięso zastępując konserwowym i dodając nieco posiekanych parówek, by wzbogacić smak. Sos pomidorowy był zbyt gęsty, a pieczarki ze słoika prawie nie dawały zapachu. W sosie błyszczały krążki cebuli — tak ostrej, że niemal niejadalnej.

Wino pili z kruchych, kryształowych pucharów. Czerwony płyn w zbyt dużych kielichach jarzył się ciepłym blaskiem, odbijającym się na twarzach wędrowców. To był wspaniały wieczór, wypełniony uroczymi wspomnieniami nie istniejącego już świata, prawie zapomnianego przez Evana i nieznanego Thei. Rozmawiali o przyjemnych rzeczach, rozgrzani zarówno ciepłem palącego się pieca, jak i wypitym winem. Pod koniec Evan przystrzygł sobie brodę znalezionymi w kuchni nożycami do krajania drobiu i stwierdził, że niepotrzebnie się golił przez te wszystkie lata. Na twarzy przyglądającej się temu Thei rozbawienie walczyło z sennością wywołaną zmęczeniem.

— I co? — spytał, kiedy skończył.

— Dobrze ci.

— Naprawdę? — odwrócił się i zerknął w duże lustro wiszące nad barem. — Zawsze goliłem się codziennie. Pilnowałem tego. Nigdy nie przypuszczałem, że może mi być dobrze z brodą. Uważałem, że mam końską szczękę — no wiesz, zbyt dużą.

— Dobrze ci — powtórzyła, skubiąc resztki pasty.

Jeszcze raz sprawdził swoje odbicie i zdecydował, że zarost odmładza go. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Później spojrzął na dwudziestogalonowy kocioł.

— Wiesz, chciałbym kiedyś znów wykapać się w wannie. Od miesięcy...

Zachmurzyła się.

— Jest wiele rzeczy, których bym chciała, Evan, ale nic z tego. Nie ma ich.

W drogę ruszyli późnym rankiem, z podkrążonymi oczami, ospale wspinając się wzdłuż strumienia bulgoczącego wesoło w miejscach wolnych od lodu. Szlak wiódł stromo w górę i szli powoli, czując w żołądkach ciężar dwóch solidnych posiłków.

Znów wyszli na zawietrzną stronę grani — śnieg był tu głębszy, a zasy bardziej zdradliwe. Ze względu na to dotarli do jezior — ściśniętych w dolinie, u stóp wyniosłych wierzchów — dopiero po południu. Słońce wisało nisko nad horyzontem, a szum drzew w dole zapowiadał kolejną wietrzną noc.

Złote Jezioro leżało dalej, jako ostatnie z jezior Basin — największe i najbardziej osłonięte. Gdy się do niego zbliżyli, Thea powiedziała:

— Chyba już dawno powinniśmy natknąć się na strażników. Myślisz, że używają jakichś monitorów?

Evan stanowczo odsunął od siebie wątpliwości.

— Skoro Piraci są tak blisko, w Graeagle, pewnie pilnują drogi po przeciwnej stronie — rzekł, chcąc ją podnieść na duchu.

— Z pewnością — zgodziła się bez przekonania i wyteńczyła wzrok, szukając śladów życia. Wreszcie minęli zakręt i zobaczyli przed sobą

skute lodem Złote Jezioro.

Nie było śladu ogrodzeń, domów, stodół, szklarni, czy jakichkolwiek innych budowli świadczących, że żyją tu ludzie. Później, na drugim brzegu, spostrzegli skupisko poczerniałych domostw: opuszczonych, wypalonych szkieletów. Prawie ginęły pod śniegiem łamiąc się, przewracając, rozsypując na zwęglone kawałki.

— Och, Evan! — krzyknęła Thea, dając upust ogarniającej ją rozpacz. — Tu nic nie ma, Evan — nic!

VI

Evan przystanął, nagle ogarnięty falą obezwładniającego znużenia. Opuścił ręce wzdłuż boków. To nie było zmęczenie wywołane marszem, chociaż i ono miało pewien wpływ. To coś więcej: wyczerpanie spowodowane ciągłą walką o byt i rozczarowanie po przejściu tak długiej drogi.

— Pierdolę to — zaklął beznamiętnie.

Thea osunęła się na kolana w zaspę, patrząc nieobecnym, niewidzącym spojrzeniem w kierunku ruin po drugiej stronie jeziora. Nie znajdowała słów i nie wiedziała, co robić.

Evan wziął garnek, który taszczył od Johnsville i odrzucił precz, nagle zły na siebie z powodu odczuwanego rozczarowania.

— Zawsze chciałam tu być, odkąd dr Ho opowiedział mi o tym miejscu — rzuciła słowa w powietrze. — Obiecał, że tu się znajdzie dla mnie miejsce...

— Och, Chryste! — Evan zacisnął pięści, czerpiąc pewne zadowolenie z bólu, jaki poczuł.

— Ja... tak chciałam tu być. Tak bardzo... Szłam tu od lat, od lat. A przez cały ten czas niczego tu nie było.

Jedynie jej palce, nerwowo ściskające kuszę, jakby niezależnie od reszty ciała, zdradzały, że jej spokój jest udawany. Wiatr targał jej włosy, zwiewając puszyste pasma na twarz, ukrywając oczy. Nie poprawiła niesfornych kosmyków, chowając się za ich osłoną.

Evan szarpnięciem postawił ją na nogi.

— Chodź.

— Po co? — znów osunęła się w śnieg, szukając ucieczki w zimnej, miękkiej zaspie.

— Ponieważ nadchodzi noc i musimy gdzieś spać — chwycił ją za ramię i potrząsnął wściekle, chcąc zobaczyć na jej bladej twarzy zrozumienie, zgodę, strach — jakiegokolwiek uczucie.

— Nie mogę — odrzekła, opierając się.

— Możesz i pójdziesz — szorstki ton jego głosu zaskoczył Theę, przez moment zobaczyła w nim człowieka, którego nazwisko jako dowódcy Piratów stało się symbolem zniszczenia. Twarz Evana ściągnęła się i zacisnęła ukryte pod gęstą brodą szczęki.

— Pójdziemy tam, poszukamy miejsca na nocleg, a gdy nadejdzie ranek, przeszukamy ruiny od góry do dołu. Weźmiemy wszystko, co może się przydać i odejdziemy.

— Odejdziemy? — spytała bezradnie. — Dokąd? Gdzie mamy iść?

— Gdzieś.

— Ale jak, Evan? Jak?

— Tak samo, jak przedtem — odparł nieco łagodniej. — Dzień po dniu, aż znajdziemy miejsce dla siebie. Przez jakiś czas będziemy szli na południe. Do Tahoc, a może do Yosemite. Musimy się stąd wydostać. Jeżeli Piraci znaleźli Graeagle, dotrą i tu, a kiedy to nastąpi, lepiej żeby nas tu nie było. Johnsville też znajdą — dodał z żalem. Jak przyjemnie byłoby wrócić do przytulnej kuchni i dobrze zaopatrzonej piwnicy z winem.

— Ale dlaczego nie możemy tu zostać przez jakiś czas? — powiedziała z lekkim ożywieniem. — Moglibyśmy tu założyć osadę. Odbudować domy, uprawiać ziemię, może... może inni by nam pomogli...

— Uprawiać ziemię? Tutaj?

Zaczęła potrząsać głową, lecz chwycił ją za ramiona, nie zwracając uwagi na protesty.

— Evan!

— Słuchaj, Thea. Jeśli tu zostaniemy, umrzemy na pewno — może z zimna, może z głodu, a może zabiją nas Piraci. To nieważne. Będziemy martwi. Nie możemy orać śniegu. Sama wiesz, że w górach nie ma tyle zwierzyny, by dało się wyżyć z polowania. A gdy przyjdzie odwilż, Piraci będą o pół dnia drogi. Nie przeszedłem ponad stu mil przez te góry, żeby tu sobie umierać. Możesz tu zostać, jeżeli naprawdę chcesz — po głosie poznała, że i tak by jej nie zostawił — ale ja idę dalej. Wszystko inne oznaczałoby poddanie się. Przeszedłem zbyt wiele, by teraz rezygnować.

Ty też nigdy jeszcze nie załamiałaś się, Thea. Nie rób tego i teraz. Umierając, opuszczamy towarzysza w potrzebie, Thea.

Z westchnieniem oparła się o niego, kładąc głowę na szorstkim drelichu kurtki.

— Po prostu chciałam tego tak bardzo — powiedziała w końcu, spoglądając na smutne resztki nad zamarzniętym jeziorem. — Naprawdę w to wierzyłam.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

— Ty nie wierzyłeś, prawda, Evan? Nie wierzyłeś.

— Powiedzmy, że miałem nadzieję — odpowiedział łagodnie. — Chodź, musimy obejść jezioro, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

Świt ukazał pełny obraz zniszczeń, wypatroszone domy i resztki zwęglonych kości walające się po rumowisku jak kawałki jakiejś straszliwej układanki.

— To zdarzyło się dawno — orzekł Evan, podnosząc zardzewiały zawias. — Chyba pięć czy sześć lat temu.

— Nie mogę się z tym pogodzić — powiedziała Thea. Oglądali już siódme z kolei zgliszcza i Thea odgarniała śnieg, by zobaczyć, co jest pod spodem. — Nie sądziłam, że to się może zdarzyć. Myślałam, że gdzieś musi być bezpiecznie.

Evan odrzucił zawias i przez moment chuchał w zziębnięte dłonie.

— Oleana nie istniała.

— Oleana?

— Kiedyś śpiewano taką piosenkę, o Oleanie. To miało być wspaniałe miejsce, bez pracy i kłopotów. Okazało się, że to zwykłe oszustwo. Jednak śpiewano jeszcze wiele lat po tym, jak ujawniono szwindel.

Przypomniał sobie ładniutką, wesołą melodyjkę.

— Tak samo jak nie istniała Big Rockcandy Mountain — góra, o której inna piosenka mówiła, że wszystko tam jest wspaniałe.

— Tu nie miało być wspaniale. To była po prostu szansa, tylko szansa.

Chciał jej powiedzieć, że szansa to wszystko, czego mogą oczekiwać, ale powstrzymał się. Nawet jeśli to prawda, nie chciał tego mówić głośno.

— Wiem — odparł bardzo cicho.

— Jednak teraz nie ma już żadnych szans, prawda?

Thea czekała na odpowiedź, a nie otrzymawszy jej, wróciła do pracy, oddzielając rzeczy potrzebne od niepotrzebnych. Sprawnie krzątała się po rumowisku, nie zdradzając głębokiego żalu, jaki ją przejmował. Wydawało się, że znajduje się w jakimś innym, obcym dla niej miejscu, pozbawionym emocjonalnego znaczenia — jedynie zaspokajającym jej ciekawość. Evan wiedział, że pogrążając się w pracy, Thea broni się przed szokiem, tak jak to robiła wiele razy przedtem. Zdołała nawet zagwizdać, gdy znalazła kilka długich widelczyków koktajlowych o haczykowatych zębach.

— Patrz, Evan — powiedziała, przynosząc mu je. — Zrobimy z nich wspaniałe bełty. Pozbierałam wszystkie, które były całe.

Przyglądała się widelczykom, obracając je w palcach.

— Co ich napadło, żeby je zabierać ze sobą? Cieszę się, że je wzięli, ale po co?

— Może nie potrafili się z nimi rozstać. Może z nimi żyło im się łatwiej? Skąd mam wiedzieć? Jednak przydadzą się nam, więc może dobrze, że je wzięli.

— Widziałam parę innych widelców, ale zbyt ciężkich. Nie doniosą tak daleko jak te.

— Zostawimy je. Te nam wystarczą. I kolce do lodu, które znalazłaś, też są dobre.

Pokręcił głową, nie mogąc pojąć, dlaczego ktoś taszczył ze sobą tak nieprzydatne w górach przedmioty. Spojrzał na zdeptany śnieg i kilka kawałków metalu, które ocalały z pożaru.

— Wydaje mi się, że trudno zostawić coś ładnego. Pamiętam, że mama miała parę rzeczy z chińskiej porcelany, które uparła się zabrać do Camminsky Creek. Prawie nigdy ich nie używała, ale nie pozbyła się ich.

— Taak — odparł, przypominając sobie niektóre trofea, jakie przywozili z wypraw Piraci.

Thea zobaczyła przygnębienie na jego twarzy i jej rozczarowanie z powodu utraty Złotego Jeziora zmniejszyło się. Przelotnie dotknęła

ramienia Evana.

— To nieważne — powiedziała, nie wiedząc dokładnie, co ma na myśli.

Zostali nad Złotym Jeziorem jeszcze noc, po czym podążyli drogą dalej, do miejsca zwanego niegdyś Bassetts. Spalono je na długo wcześniej niż poprzednią osadę. Droga ze Złotego Jeziora łączyła się tu z inną, szerszą, wiodącą najpierw na południe, a potem na wschód przez małą dolinkę obok źródła północnego odgałęzienia Yuba River. Był początek lutego, a przynajmniej tak wydawało się Evanowi, i zimowe burze szalały w najlepsze. Trzy dni obfitych opadów uwięziły ich w Bassetts i minął tydzień, zanim opuścili stary szałas, w którym się schronili.

— Moglibyśmy wrócić do Johnsville — poddała myśl Thea, patrząc na sypiący z ołowianego nieba śnieg. Potrójnie złożony brezent, zastępujący drzwi, wydymał się jak żagiel.

— Moglibyśmy. Piraci też mogą przyjść w góry. Albo może nam się skończyć żywność — nawet tam. Nie wolno nam wracać, Thea. Nie bylibyśmy bezpieczni.

— Nie — odparła niejasno.

— Widzisz, Thea, jeszcze jedna porządna burza i zima prawie się skończy. Będzie łatwiej wędrować. Znajdziemy zamieszkane miejsce, bezpieczne, gdzie nie trzeba będzie się obawiać Piratów.

Mówił z wymuszonym entuzjazmem, marząc skrycie, by nie przypominała mu o ciężkiej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

— Jednak odwilż na razie jeszcze nie nadejdzie, Evan.

— Kto wie? Trudno powiedzieć — i patrząc na szybko zapadający mrok, dodał w duchu: „Słaba nadzieja”.

— W porządku. Niech będzie, że trudno powiedzieć.

Odwróciła się.

Przy przełęczu Yuba znaleźli schron ratunkowy, a w nim kilka skrzynek żywności oraz inne cenne przedmioty.

— Jak długo tu zostaniemy? — spytała Thea, patrząc na jasny pokój i cudowną stertę tekturowych skrzynek. Tylko trzy z nich uległy

zniszczeniu — ktoś przed laty porzucił zawartość. Reszta przetrwała pozamykana w szafkach wojskowego typu, w których je znaleźli. Nalepki na pudełkach nosiły datę 1982, ponad trzydzieści lat wcześniej.

— Tydzień, może dwa — odrzekł Evan, zastanawiając się, w jaki sposób stwierdzić, czy produkty w puszkach nadają się do spożycia. — Za tydzień pogoda się poprawi. Myślę, że nadchodzi następna zima. Potem powinno się przetrzeć.

W niejasny sposób Thea czuła w kościach zbliżającą się zmianę pogody.

— Wiosna będzie deszczowa.

— Trudno, nic na to nie poradzimy — powiedział Evan, zabierając się do szykowania posiłku ze znalezionych konserw. — Za dziesięć dni się okaże. Przez ten czas odpoczniemy, odpasimy się i nabierzemy wigoru. Naprawdę muszę znaleźć gdzieś wannę. Chociaż i tak mycie gąbką jest o wiele lepsze niż żadne.

— Po co ci wanna?

— Nie lubisz być czysta?

— Pewnie. Tylko nie wiem, czemu potrzebna ci wanna — ciężko siadła na skraju oliwkowoszarego, metalowego stołu. — Nie wystarczy gorąca woda?

— Zawsze lubiłem się namoczyć — urwał. — Boże, czy to nie śmieszne, za czym człowiek tęskni? Brakuje mu gorącej kąpieli w wannie, dobrego jedzenia i muzyki. Przecież straciliśmy tyle ważniejszych rzeczy. Przyzwyczailiśmy się do zmęczenia, głodu i strachu. Równie dobrze możemy tęsknić za przyjemnościami, jak za czymś innym.

Odsunęła się.

— Zrób kolację, Evan. I opowiedz, jak kiedyś się jadało.

— Na północ — Quincy, na południe — Truckee — powiedział Evan, stojąc przed zardzewiałą tablicą informacyjną na poboczu starej autostrady. Tu, w Sierra Valley, śnieg zmienił się w wodnistą maź, a drzewa uzbroiły się w długie, kapiące sopele przeciw nadciągającej

wiośnie, przynoszącej górą ciepło. Rzeki i strumienie szumiały głośnie pod okrywającą je skorupą śniegu.

— Quincy — powiedziała Thea, czując dziwny pociąg do tego miłego miasteczka, o którym starała się zapomnieć. — Jak myślisz....? Miałam nadzieję, że wrócimy tam kiedyś...

— Thea, Piraci są w Graeagle — rzekł szorstko, lecz na twarzy miał smutek. Zaciśnął ręce na szelkach plecaka i zmusił się do uśmiechu. — Chodź. Lepiej pójdziemy na południe.

— Wiem, ale tam mogło być nam dobrze.

Rzuciła jeszcze jedno szybkie spojrzenie przez ramię i skierowała się na południe.

Trzymając się dawnej wiejskiej drogi, biegnącej u stóp gór otaczających rozległą równinę Sierra Valley, Evan i Thea unikali odsłoniętych miejsc, gdzie mogły ich wypatrzeć nieprzyjazne oczy. W oddali dostrzegli domy: białe budynki wydawały się dobrze utrzymane i choć skromne, nasuwały myśl o zamożności i spokoju. Mogło to oznaczać gościnę i bezpieczeństwo, lecz najprawdopodobniej oznaczało wrogość i groźbę. Zdecydowali się nie sprawdzać stanu rzeczy.

Kiedy zbliżali się do miasta, Thea wskazała palcem krzyże umocowane na dachach wielu domów.

— Po co to?

— Nie wiem — odpowiedział Evan, sięgając pamięcią wstecz i próbując sobie przypomnieć, czy przedtem był tu taki duży zespół klasztorny.

— Co? Mnóstwo ich tutaj. Nawet na tej stodole. Przystanął, spoglądając przez ośnieżone gałęzie na miasto.

— Nie podoba mi się to — rzekł powoli.

— Mnie też — przytaknęła z wyraźną ulgą. — Trzymajmy się z daleka. Możemy je ominąć, Evan. Mamy dość jedzenia na kilka dni. Nie ma powodu iść do miasta.

Evan skinieniem wyraził zgodę i próbował pozbyć się niepokojących myśli.

— Tu jest jakoś dziwnie — orzekła Thea, ubierając w słowa jego obawy.— To nie miejsce dla nas.

Między cmentarzem a wzniesieniem Randolph Hill znaleźli wygodną kotlinkę i ułożyli się do snu. Kilka mil dalej życie w Sierraville toczyło się swoim trybem, oznajmiając nadejście nocy żałobnymi śpiewami i biciem dzwonu.

Zakutana w koce Thea spytała Evana, jak nazywa się melodia, która około północy doleciała ich uszu.

— To „Veni, veni Emmanuel” — stara gregoriańska pieśń, licząca mniej więcej siedemset lat.

Evan zastanawiał się, dlaczego śpiewają tę właśnie pieśń, dopóki nie przypomniał sobie, że zbliżał się Wielki Post i wkrótce miało nastąpić Zmartwychwstanie, powrót Chrystusa, słońca i zieleni.

— Brzmi smutnie — powiedziała po namyśle Thea. — O czym to jest?

— Wzywają Emmanuela, Zbawcę, by do nich przybył.

— *Gaude, gaude, Emmanuel, captivum solve Israel!* — niosło się wśród nocy i ginęło w dali.

Evan wyciągnął rękę i sprawdził zamknięcie namiotu, usłyszał jakieś szmery między drzewami i rozważał, czy grozi im niespodziewana wizyta szopów, psów lub innych zwierząt. Miał nadzieję, że na razie zdołają uniknąć tych niebezpieczeństw, dopóki nie znajdą lepszego schronienia niż namiot.

— Mają zamiar tak śpiewać całą noc? — spytała Thea, zirytowana monotonnym zawodzeniem.

— Możliwe — potwierdził Evan, przypominając sobie nie kończące się msze, w których uczestniczył w Rzymie mając dwanaście lat. Był wtedy bardzo pobożny, a słuchanie religijnych pieśni dawało mu natchnienie. Dopiero trzy czy cztery lata później stwierdził, że to muzyka, a nie religia była motorem jego uniesień. — Czasami, kiedy są święta, msze trwają godzinami — powiedział do Thei.

— Cudownie — odparła, naciągając koc na głowę.

Evan leżał na plecach, słuchając śpiewu i myślał o mieszkańcach Sierraville. W końcu przypomniał sobie, że w tych górach przed laty

założono klasztor. Chyba trapistów, o bardzo surowej regule. Nie pamiętał, czy mieścił się w niej również ślub milczenia. Religijne pieśni oznaczały klasztor i mnichów, ale Evan wątpił, by udzielono im azylu. Nikt już nie mógł sobie pozwolić na dobroczynność, nawet mnisi.

Kiedy wreszcie śpiewy się skończyły, Evan zasnął. Śnił o Świętach Wielkanocnych, które bezpowrotnie odeszły w przeszłość — tak jak cały jego świat.

Kończyli śniadanie, nasłuchując uroczystego bicia dzwonów w dolinie, gdy nadeszli mnisi: pięciu ponurych, brudnych mężczyzn ze źle utrzymanymi brodami. Ich szaty z ciemnego, workowego płótna były tak zatłuszczone, że nie sposób było stwierdzić, jaką barwę miały poprzednio. Teraz, ciemnobrązowe i sztywne od tłuszczu, przypominały skórzane stroje Piratów.

— W imię Ojca, i Syna Jego Cierpiącego, i Pokutującego Ducha, życzymy wam dzień dobry — powiedział najwyższy i najbardziej wychudzony z nich.

Evan już chciał się przeżegnać słysząc słowa powitania, lecz zobaczył, że Thea skrycie sięga po kuszę. Powstrzymał ją szybkim gestem, widząc surowe twarze mnichów i ich ciężkie kostury. Domyślał się, że cios zadany taką laską może połamać kości. Nie chciał wywoływać gniewu czy strachu mnichów.

— Dzień dobry wam, bracia — powiedział.

Jeden z przybyłych zmarszczył się groźnie. Wskazał kosturem na Theę.

— Czy ta kobieta jest twoją żoną, czy też żyjecie w grzechu? Evan pojął, że to niezbyt obiecujący początek.

— Nie jest ani moją żoną, ani kochanką. Wędrujemy razem, agapacie, tak jak pierwsi biskupi kościoła.

Gorączkowo zastanawiał się, czy rozmyślna ignorancja nie jest częścią ich ślubów i czy wiedzą coś o zwyczaju agapy. Przywódca kiwnął głową, jakby wyrażając aprobatę, lecz jego twarz nadal miała surowy wyraz.

— Panujecie nad pokusami ciała, co jest miłe Bogu i wiedzie do wybaczenia. My, Pokutujący Synowie Gniewnego Boga, odganiamy od siebie pożądanie chłostą, modlitwą i postem.

Próbując zwrócić uwagę Evana, Thea czuła jakieś dziwne mrowienie na karku, jakby wpatrywały się w nią niewidzialne oczy, naznaczając ją na śmierć. Cofnęła się przed zakapturzonymi ludźmi.

— Twoja kobieta nic nie mówi — rzekł jeden z mnichów z zadowoleniem w głosie. — Dobrze, gdy kobieta milczy. Święty Paweł słał milczące kobiety. Święty Antoni chciał odrąbać języki wszystkim kobietom, by nie mogły oddawać się bezmyślnej i bezbożnej gadaninie.

Thea gorąco pragnęła coś na to odpowiedzieć, ale wyczytała w twarzy Evana ostrzeżenie. Ci ludzie byli pobożni, a wiara czyniła ich niebezpiecznymi.

— Widzę, że przerwaliście wasz posiłek — powiedział przywódca mnichów, patrząc na wojskowe, blaszane talerze z resztkami jedzenia. — Jeżeli chcecie nam towarzyszyć, spędzicie cały dzień na modlitwie i będziecie dzielić z nami wieczerzę, dla dobra waszych dusz i z obowiązku, jaki winniście Bogu.

— Nie chcielibyśmy zakłócać spokoju waszej samotni — odparł Evan, myśląc, że w zachowaniu mnichów kryje się nieokreślona groźba. Widział, że zakapturzone postacie otoczyły ich ze wszystkich stron i że nie mają wyboru. Wolno odwrócił się do Thei, poruszając się tak ostrożnie, jakby miał wokół siebie stado głodnych zwierząt. — Przeszliśmy długą drogę, Thea — powiedział, mając nadzieję, że nie zacznie protestować teraz, gdy nie mieli szans obrony czy ucieczki.

— Thea! — zagrzmiał najmniejszy mnich. — To imię to bluźnierstwo! — i już zaczął unosić kostur, gdy przywódca powstrzymał go.

— Wystarczy, bracie Roccus. Imię nie świadczy o herezji, jedynie o ignorancji. Jej imię jest grzechem jej rodziców, grzechem dumy, za który z pewnością smażą się w piekle.

Widząc okrucieństwo w oczach mnicha, Thea z trudem zdołała powściągnąć chęć ucieczki. Zakryła twarz rękami.

— Wybaczcie zapalczywość bratu Roccusowi. Jego żarliwość jest godna pochwały, lecz prowadzi go do błędu. Skłonność do błędzenia jest w nim zbyt silna i nie zdołał jej powściągnąć.

Czy Thei się wydawało, czy też brat Roccus pobladł, słysząc te słowa?

— Wie, że będzie musiał poprosić o wybaczenie was, Naszą Panią i Jej Syna Umęczonego na Krzyżu za niego.

Evan rzekł pospiesznie:

— Wiemy, że cała ludzkość nurza się w grzechu.

Mnich posępnie skinął głową.

— Dobrze, że to rozumiecie, bowiem wasz grzech jest wielki.

— Przecież... — Evan był gotów wyjaśnić swoją czystość, ale przerwano mu.

— Zgrzeszyłeś dumą, bo wystawiasz się na pokusy ciała i myślisz, że nie upadniesz. To wielka wina — odwrócił się. — Wracamy do klasztoru. Pójdziecie z nami.

— Możemy zabrać nasze plecaki? I namiot? — zapytał Evan, przekonany, że nie odmówią tak oczywistej rzeczy.

— To dowody pychy — odparł przywódca rozważywszy sprawę. — Zostaliście wybrani, by przyjść na ten świat, lecz nie zawierzyliście, że Bóg was nakarmi i osłoni. Wasze plecaki i namiot są tego widowym dowodem, świadczą o pysze. Nie możemy zabrać ich ze sobą do klasztoru, inaczej mogłyby prowadzić nas do podobnego grzechu.

— W plecakach mamy żywność i odzież, to wszystko, bracia — powiedział Evan w nadziei, że ich definicja pychy nie obejmuje jedzenia.

— Czyż żywność nie została ci zesłana?

— Znaleźliśmy ją... — Evan zrozumiał, że nie może powiedzieć „przypadkiem”. Dokończył pospiesznie: — ... dzięki łasce Boga. Zgubiliśmy drogę i On poprowadził nas do miejsca, gdzie była.

Przywódca ponownie obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

— I nie rozumiałeś, co Mu jesteś winien. Powinieneś podziękować Bogu za opiekę i rozdać to innym — przez chwilę przyglądał się plecakom.

— Weźmie je brat Odo.

Wskazał palcem muskularnego mnicha o chytrych oczkach osadzonych w księżycowatej twarzy. Evan niechętnie podał mu plecaki, wiedząc, że nigdy ich już nie zobaczy. Thea zdecydowała się zaryzykować. Zrozumiała już tych mężczyzn i ich surowość wywodzącą się z nienawiści i strachu, mężczyzn, którzy uciekli przed światem w przekonaniu, że jeśli zostaną, będą potępieni. Wiedziała też, że oczekują od kobiet posłuszeństwa i uległości. Spuściła oczy i przemówiła najłagodniej jak potrafiła:

— Jak się nazywasz, ojczy? — mając nadzieję, że pochlebi mu tytułem. Ryzyko opłaciło się.

— Jestem ojciec Leonidas, następca ojca Gerwazego, założyciela naszego zakonu.

— Pilnowanie tak wielu dusz musi być ciężką pracą — mruknęła. — Nie zasługujemy na taki zaszczyt, byś otwierał dla nas bramy swego klasztoru. Obawiam się, że wniesiemy tam zbyt wiele powiewu zewnętrznego świata.

Zobaczyła konwulsyjne skrzywienie warg, które miało oznaczać uśmiech i pojęła, że jej zamiary spaliły na panewce.

— Diabeł przez ciebie przemawia, kobieto. Nie wolno ci odwracać się od Światłości i Męki Pańskiej dla nędznych potrzeb ciała.

Thea zaklęła w duchu, a ojciec Leonidas usunął się w bok, gestem pokazując im drogę.

Bracia zostawili ich w kaplicy, nakazując, by oczyścili swe umysły i przygotowali się na pytania, jakie zostaną im zadane dla dobra ich dusz. Popchnięte przez brata Odo drzwi zamknęły się z głuchym, złowróżbnym łomotem.

Kamienna kaplica była mała, zimna i ponura. Na nierównej podłodze stało kilka topornych ławek dla mnichów. Oświetlony jedną świecą ołtarz ukazywał swą posępną prostotę, na którą spoglądał powykręcany krucyfiks przypominający o Męce. Dwie małe świece płonęły przed nieudolnie wyrzeźbionymi posągami stojącymi po obu stronach ołtarza. Jeden przedstawiał świętego trzymającego w rękach swoją zdartą skórę. Drugi młodą kobietę w koronie cierniowej, rozciągniętą na kole tortur.

— Nie podoba mi się to miejsce — szepnęła Thea do Evana, idąc obok niego w kierunku ołtarza.

— Zdaje się, że interesują ich najbardziej krwawe aspekty wiary katolickiej — przytaknął Evan, udając bez troskę. Jego słowa zabrzmiały jednak chrapliwie, zdradzając obawę. Przełknął ślinę i odezwał się ponownie: — Masz rację. Mnie też się tu nie podoba.

— Co mamy robić? — zapytała, gdy podeszli do ołtarza.

— Chyba oczekują, że klękniemy i zaczniemy się modlić. Pokażę ci — opadł na kolana i złączył dłonie pod brodą, pozostając w tej pozycji przez jakiś czas. — Też tak zrób.

Szkoda, że nie pamiętam, jak się odprawia mszę — pomyślał. Tak często słuchał mszy Berlioza, Faure'a, Verdiego, Mozarta i Bacha. Jednak już dawno zapomniał szczegóły rytuału.

— Jak długo jeszcze? — spytała Thea po kwadransie. Zimno z kamiennej posadzki wchodziło im w kości, a nierówności wpijały się w kolana, powodując ból w udach i w krzyżu.

— Ich zapytaj — odparł z goryczą. — Nie wiem, ile im to zajmie.

Zajął trzy godziny. Właśnie gdy Thea szepnęła: „Chyba zaraz pęcherz mi pęknie”, ojciec Leonidas wszedł do kaplicy. Kraj szaty ocierał mu się o brudne sandały, a twarz zastygła w surowym grymasie.

Evan przeżegnał się, mając nadzieję, że robi to prawidłowo, i stanął przed mnichem. Zdrętwiałe mięśnie nóg odmawiały mu posłuszeństwa.

— Dobry ojczy — powiedział najspokojniej jak potrafił — to miło z twojej strony, że dałeś nam czas na modlitwę i skruchę.

— Tak czynimy z wszystkimi, którzy przychodzą tu, do Źródła Łaski — podjął mnich, zegnając się nabożnie i klękając przed ołtarzem. Zamruczał coś po łacinie, znowu zrobił znak krzyża i wstał, mówiąc: — Czy jesteście już gotowi do ceremonii?

— Jakiej ceremonii? — zapytał Evan, usiłując okazać szacunek.

— Waszych zaślubin — odparł ojciec Leonidas. Wydawał się dziwić, że Evan tego nie wie. — Nie możemy was przesłuchać, dopóki nie jesteście mężem i żoną, mąż i żona to jedno ciało, tak więc skrucha i pokuta muszą być jednakowe dla was obojga, bowiem wędrowaliście i

grzeszyliście, cudzołożąc, kłamiąc lub błędząc, jak jedno. Nie, nie zaprzeczaj. Nawet jeśli nie splamiłeś swego ciała jej ciałem, jak twierdzisz, to i tak jesteś mężczyzną, a wszyscy mężczyźni padają ofiarą zmysłów i żądzy. Grzeszyłeś myślą. Na tym świecie nie ma ucieczki przed tą słodką trucizną, przed pokusą nędznego ciała. Czymże jest to, czego szukasz, jeśli nie padliną, wrotami piekła i wieczystym potępieniem!

Skinął na innych mnichów, którzy weszli do kaplicy.

— Wszyscy wysłuchamy waszej spowiedzi i będziemy świadka mi waszej skruchy. Później, gdy będziecie już jednością w oczach Boga, odpowiecie na nasze pytania i każde z was podzieli karę drugiego. Zerkając na Theę, Evan zobaczył nagi strach na jej twarzy. Musieli godzić się na żądania mnichów, ale powinni starać się wygrać na czasie. Zwrócił się do ojca Leonidasa:

— Zanim oddamy nasze dusze w wasze ręce i przystąpimy do sakramentów, pozwólcie nam zająć się potrzebami ciała.

Zarzykował i dodał:

— Wy macie w sobie święta siłę Zakonu, ale my nie. Potrzeby ciała odsuwałyby nasze myśli od sakramentów.

Ojciec Leonidas skinął głową i wskazał boczne drzwi.

— Tam znajdziecie wszystko, czego wam trzeba. Brat Odo będzie pilnował, żebyście nie sprofanowali świętego miejsca.

Nie wierzą nam, pomyślała Thea, wychodząc za Evanem na mały dziedziniec, gdzie stały wygodki. Czuła gwałtowną chęć ucieczki z tego miejsca i rozumiała ostrożność mnichów.

Weszli do dwóch sąsiednich kabin, zimnych i śmierdzących. Evan zapukał w ścianę i szepnął:

— Nie wiem, o co im chodzi, ale jest źle. Nie mam pojęcia, jak się stąd wydostać.

— Cokolwiek powiemy, oni i tak już zdecydowali, prawda? — warknęła Thea.

— Thea, musisz uważać — powiedział przez oddzielającą ich ściankę. — To wszystko moja wina. Powinniśmy byli ominąć miasto z daleka i jeszcze wczoraj opuścić dolinę. Wtedy nie spotkalibyśmy ich.

Już zamierzała się z tym zgodzić, pamiętając zimny dreszcz, jaki przeleciał jej po krzyżu na widok wież Sierraville. Jednak Evan nie winił jej, kiedy się myliła, i nie potępiał jej za utracone nad Złotym Jeziorem marzenia. W duchu przyznawała też, że wiedział znacznie więcej od niej o tych dziwnych ludziach w brązowych szatach.

— Thea?

— Myślę. Może masz rację. Jednak jesteśmy tutaj. Tego się nie zmieni.

— Coś wymyślę, Thea. Obiecuję ci. Nie pozwolę im cię skrzywdzić.

Brat Odo znacząco zastukał kosturem w drzwi. W ciasnych kabinach ten odgłos przypominał bicie bębna.

— Czas na ceremonię. Nie wolno zwlekać. Evan wyszedł, próbując ukryć niepokój.

— Jesteś gotowa, Thea? — zawołał, ignorując stojącego obok brata Odo.

Thea pojawiła się ponownie i z opuszczoną głową poszła razem z nimi do kaplicy.

— Tu są wasze szaty — oznajmił ojciec Leonidas, wyciągając rękę, w której miał dwa bezkształtne habity z szorstkiego płótna. Sądząc po zapachu, uszyto je z worków po ziarnie. — Jest rzeczą wskazaną, byście otrzymali nowe szaty, bowiem wszyscy je nosimy, kiedy udajemy się na Uctę Baranka. To, czym byliście, zostanie osądzone i wasze grzechy zostaną obmyte krwią w pokucie — ku radości niebios.

Na jego gest wystąpiło trzech młodych mnichów.

— Rozbierzcie ich — rozkazał ojciec Leonidas.

Thea spojrzała na Evana oszalałym wzrokiem. Zimne powietrze kąsało jej ciało równie mocno jak pełne skrywanego pożądania oczy mnichów. Gdy ściągnęli z niej ubranie, ojciec Leonidas podszedł bliżej.

— Znak diabła, i to w miejscu, które jest siedliskiem żądzy — powiedział, dotykając palcem blizny po sutce odciętej nożem Lastly'ego. — Pokusa, pokusa, by pozbawić mężczyzn ich czystości. Spójrzcie na to, bracia, i wystrzegajcie się żądzy ukrytej w tej kobiecie.

Na pół odarty z ubrania Evan wyrwał się mnichom i skoczył między ojca Leonidasa i Theę.

— Nie wolno ci tego robić, ojcze. Bądź litościwy — wycedził przez zęby — i nie rób tego. Została zgwałcona. To znak okrutnego mężczyzny, nie diabła.

W oczach mnicha pojawił się smutek.

Więc oszukała cię, mój synu. Jej słodkie słówka sprowadziły cię na manowce. Nie ma żadnego gwałtu, mój synu, jest tylko grzech Ewy. Bo dlaczego mężczyzna oddaje się pokusom ciała, jeżeli nie nakłoniony przez kobietę? Kobieta to siedlisko Grzechu, mój synu, a jej drogi są pokrętne i pełne kłamstw. Jeżeli wzięto ją przemocą, jak mówisz, sama jest sobie winna.

Evan powstrzymał ostrą odpowiedź, widząc błysk w oczach ojca Leonidasa, który dostrzegł jego zregenerowane ramię.

— A więc to tak — szepnął mnich — nieczyści pojawili się znów, rozparci pychą jak wzdęte ścierwo. Z groźnym grymasem spojrzał na bladoróżową skórę poniżej blizny.

— Modliłem się, żebyśmy mogli zobaczyć upadek nieczystych. Oto wielki grzech Pychy, sprzeczny z wolą Boga. Martwym nie wolno powstawać, chyba, że za zgodą Pana, bo to Jezus kazał Łazarzowi wstać z grobu. Wszystko inne jest złem. To dzieło Antychrysta, który przed laty zszedł na ziemię.

Thea i Evan stali nadzy, trzęsąc się nie tylko z zimna. Ojciec Leonidas wykonał gwałtowny gest i zarzucono im na głowy dwa workowate płaszcze, nazwane szatami weselnymi. Habity były zadziwiająco ciepłe, ale utkane tak grubo, że ocierały skórę przy każdym ruchu.

Jeden z mnichów zaintonował pieśń, inni mu zawtórowali, Evan wychwycił uchem wysokie, czyste głosy. Wzdrygnął się lekko.

— Nie wiedziałem, że przyjmujecie tak młodych mężczyzn do Zakonu — rzekł ostrożnie do ojca Leonidasa, bo dobrze wiedział, że takie słodkie, czyste sopranu można uzyskać jedynie kastrując przed mutacją.

— Przyjmujemy wszystkich, którzy przychodzą do nas w czystości. Jeżeli masz na myśli nasz chór, nic nie dzieje się bez głębokiej wiary i szczerego serca. Bracia dobrowolnie spełniają ofiarę, na zawsze

uwalniając się od popędów ciała. Jednocześnie zachowują piękno swych głosów dla Najwyższego.

Thea szeroko otworzyła oczy.

— To znaczy, że robią to sami?

— W innym przypadku nie byłaby to ofiara, prawda? — stwierdził łagodnie ojciec Leonidas.

— ... *miser cordiae, vita dulce ...* — śpiewał chór. Dwaj mnisi stanęli przed ołtarzem. Śpiewając, podnieśli kielich.

— Ukorzcie się przed ołtarzem Boga — nakazał ojciec Leonidas, skinieniem polecając bratu Odo, by zmusił Evana i Theę do położenia się na posadzce.

— *Ad te clamamus exulis filii...*

Leżeli na nierównej, kamiennej podłodze, twarzami do ziemi, z rozłożonymi ramionami. Mnisi otoczyli ich świecami, jak umarłych, śpiewając cały czas.

— ... *gementes et flentes in hac lacrimarum vale. Eia ergo advocata nostra...*

— Co mamy robić? — szepnęła Thea do Evana, lecz nim zdążył odpowiedzieć, brat Odo uderzył ją w ucho.

— Macie zachować milczenie, rozważyć wasze grzechy — rzekł ze złością.

— *Et Jesum benedictum fructum ventris tui, nobis post hoc exilium...*

— Stać — rzekł Evan.

— *O Clemens, O pia...*

— Stójcie — powtórzył, nieco głośniejszym głosem. Śpiew urwał się nagle i ojciec Leonidas zwrócił się do niego z wściekłością:

— Przerwywasz modlitwę do Pana i Świętej Dziewicy!

Evan podparł się na łokciu.

— Nie miałem zamiaru sprofanować Domu Bożego. Nie mogę pojąć tej kobiety, nie tu i nie w ten sposób.

— Herezja! — wykrzyknął straszliwy mnich.

— Nie — Evan wyciągnął rękę błagalnym gestem. — Nie, ojciec Leonidasie. To wasze prawa, nie moje. Gdybym mógł, z radością

poślubiłbym tę kobietę, bowiem wiele przeżyliśmy razem i moje serce należy do niej, chociaż nigdy nie tknąłem jej ciała.

— Gdybyś mógł? — zapytał ojciec Leonidas, a pozostali mnisi niecierpliwie czekali na odpowiedź.

— Nie mogę pojąć tej kobiety, bo już mam żonę — mówiąc to z ironiczną satysfakcją pomyślał, że to prawda.

VII

Zostali sami, ledwie ważąc się oddychać. W kaplicy panowały półmrok i cisza, a od kamiennych ścian ciągnęło chłodem. Jedynie pojedynczy płomyk na ołtarzu migotał w górze, jak złowieszcze oko.

— Nienawidzę ich — wymruczał w końcu Evan, trzymając się za brodę, gdzie brat Odo uderzył go krucyfiksem. Krew zlepiła mu gęste włosy, zastygła na szyi.

— Co teraz zrobią? — Thea spoglądała na niego niepewnie. Spostrzegła w nim gniew, który do tej pory tylko raz, przelotnie, zagościł na jego twarzy. Teraz jego rysy wyostrzyły się, a oczy stały się zimniej sze niż kamienna posadzka kaplicy.

— Evan? — ośmieliła się dotknąć jego ramienia.

— Nie mają prawa. Nie mają prawa! — z wściekłością otarł krew rękawem. — Czy nie dość, że dręczą siebie? Kastraci — tutaj i teraz. I nazywają to ofiarą. Nędzni, głupi, sadystyczni... — mówił cicho i jego słowa ledwie dolatywały do uszu Thei, ale każde z nich ociekało nienawiścią.

Przysunęła się do niego i chwyciła go za rękę.

— Nie okazuj im swojego gniewu, Evan. To im tylko pomoże. Wszystko przekręca, Evan. Nie okazuj gniewu. Proszę.

Splótł dłonie i patrzył, jak płomyk świecy chybotze się w przeciągach szalejących w kaplicy.

— Powinniśmy byli trzymać się z daleka. Trzeba było iść nawet po zmroku, byle tylko wyjść z doliny.

— Słuchaj — powiedziała Thea łagodnie — może jedno z nas mogłoby uciec i ukryć się w górach, potem poczekać na...

— Cholera, Thea, zaraz by nas dopadli. Nawet jeżeli jednemu z nas się uda, wiesz dobrze, że odbiją to sobie na drugim. Szukają pretekstu, żeby zrobić to zaraz.

Złagodniał.

— Jeżeli myślisz, że zdołasz uciec, uciekaj! To mój błąd i zapłacę za niego. Chociaż będzie trzeba czegoś więcej niż dziesięciu zdrowasiek —

roześmiał się smutno.

— Evan?

Odszedł i usiadł ciężko na topornej ławie, zwieszając głowę i kryjąc twarz w mroku. Siedział tak przez kilka minut, wpatrzony w jakieś nieokreślone miejsce na podłodze. Thea obserwowała go w milczeniu, wiedząc, że odizolował się od całego świata i od niej także. Usadowiła się najwygodniej jak mogła, podwijając pod siebie nogi i otulając się szczelnie szorstką tkaniną. Czekwała, milcząca i niespokojna.

— Mnisi naprawdę mnie przerażają — rzekł w końcu, jak mały chłopiec przyznający się, że zbił coś cennego. — Widziałem już takich jak oni. Niektórzy Piraci są tacy sami: Cox, Mackley i im podobni. To fanatycy, którzy uważają, że mają prawo robić, co chcą.

Potrząsnął głową, odwracając twarz przed jej zbyt badawczym spojrzeniem. Zdziwiona, podeszła bliżej.

— Myślą, że mają rację, to szaleńcy.

— Oni nie myślą, że mają rację, oni wiedzą, że mają rację. Żadnych wątpliwości, żadnych pytań, nieprzyjemnych podejrzeń, że może należy rozpatrzyć też punkt widzenia innych. Czują za sobą oparcie własnej Prawdy przez duże P.

Rozgoryczenie w jego głosie było zaraźliwe.

— Czy tylko o to chodzi? — powiedziała, nie wiadomo, do niego czy do siebie. — Co jest? Co się stało?

Nie odpowiedział od razu, a kiedy zaczął mówić, robił to krótkimi, poszarpanymi zdaniami.

— Jakiś czas temu, może przed trzydziestu laty, większość ludzi zrozumiała, że źle się dzieje. Powietrze było zatrute, jedzenie paskudne i naszpikowane chemikaliami, brakowało energii, było za dużo ludzi, a systemy rządów załamywały się prędzej, niż nadążano z wymyślaniem następnych — przerwał, wracając myślą do lat dziecińczych. Czuł się wtedy taki młody i stary zarazem.

— Byłem uzdolnionym dzieckiem. Dużo podróżowałem ze swoim ojcem. Chyba nie spędzałem w domu więcej jak cztery miesiące w roku. Zanim ukończyłem szkołę i zacząłem pracować, byłem wszędzie. Kiedy

skończyłem piętnaście lat, w 1982, w Europie zrobiło się bardzo źle. Wszyscy mówili o szybkich rozwiązaniach — i co z tego? Nikt im nie powiedział, że nie ma szybkich rozwiązań. Zrezygnowali z kilku rzeczy, zaczęli dojeżdżać autobusem do pracy i narzekali na obsługę, telefony i smak wody. Myśleli, że to wystarczy.

Wstał i Thea cofnęła się mimowolnie.

— To nie wszystko, prawda? Nie to cię boli.

Wiedziała, że krąży wokół tematu zbyt bolesnego, by mógł go poruszać bez wewnętrznego sprzeciwu.

— Nie. Nie to.

Odwrócił się znowu.

— W każdym razie wielu ludzi zdecydowało się szukać innej drogi i zagłuszyć poczucie winy. W ten sposób nie musieli niczego robić. Mój starszy... brat przyrodni obrał religię jako środek. Znalazł Prawdę, prawdę przez duże P, i potem znał już odpowiedź na wszystko i nie musiał się o nic martwić, bo niezależnie od tego, jakie potworności się wydarzyły, on wskazywał winnych i czuł się zwolniony od jakiegokolwiek odpowiedzialności. Wiedział, co jest grzechem, a co nie, i przekonał wielu ludzi. Wyrzucili go z Kościoła tydzień po zbombardowaniu Montrealu. W 1994 roku w Madrycie wystrzelano jego zwolenników podczas walk o władzę.

Przygryzając wargi i kuląc się z zimna, Thea patrzyła, jak Evan chodzi tam i z powrotem po kaplicy.

— Nie dlatego, że byli przekonani o swojej winie, czy głęboko wierzyli. To nie tak, Thea. Większość ludzi, którzy wierzyli w coś naprawdę, przetrwała dzięki temu najgorsze lata, kiedy nic innego nie mogło im pomóc. Z wiary czerpali siłę, by wytrwać. Podziwiam to. Jednak Raoul nie miał takiej siły — tylko arogancję. I zaraził nią swoich zwolenników. Ci mnisi też są tacy — przystanął i spojrzał na ołtarz. — Są pewni, że ich surowość, ich perwersja stawia ich wyżej od innych. Wydaje im się, że mają prawo osądzać świat według swoich wzorców i nakazów. I wiedzą, po prostu wiedzą, że nie muszą okazywać współczucia, uprzejmości, dobroci czy miłości, ponieważ jedyna droga

prawdy, jaką obrali, wiedzie poza nawiasem społeczeństwa. Nie odpowiadają za nic. Nic ich nie obchodzi, prócz własnego maleńkiego świata. Evan zacisnął pięści i oddychał głośno. Nagle zgiął się wpół, jakby z bólu, a kiedy znów zaczął mówić, w jego głosie brzmiał ton, jakiego Thea nigdy przedtem nie słyszała — ton smutku skrywanego przez zbyt wiele lat.

— Jennifer uwierzyła mu. I Eryk... Uwierzyła, kiedy się urodził.

— Jennifer? Eryk?

— Moja żona i mój syn — odparł ochryple.

Przez chwilę milczeli. Później Thea podniosła się i delikatnie dotknęła jego ręki, niepewnym gestem wywołanym przez lęk i współczucie. Wpatrzyła się w zaryglowane drzwi kaplicy.

— A więc jesteś żonaty. To prawda.

— Byłem żonaty dwadzieścia dwa lata temu. W kwietniu, w pełni sezonu operowego, w Mediolanie, gdzie śpiewała Jennifer. Pobraliśmy się w katedrze, na rok przed jej zburzeniem. Przypomniał sobie olbrzymi gmach kościoła, chór i uczucie szczęścia przepelniające go w ten ciepły dzień, gdy odprawiano mszę weselną. Jennifer miała na sobie kremową suknię z koronki i jedwabiu, a jej oczy były jasne jak gwiazdy.

— Przez rok byliśmy naprawdę szczęśliwi. Robiłem karierę, a ona ugruntowywała swoją sławę. Śpiewała po całym świecie. A potem urodził się Eryk — zacisnął szczęki, aż ukazały się węzły mięśni. — Eryk był mocno zniekształcony... a po jakimś czasie Jennifer zaczęła słuchać Raoula i jego gadaniny o grzechu i winie.

Zaczęła wierzyć, że... — zmusił się, by spojrzeć Thei prosto w oczy. — Uwierzyła, że nasze małżeństwo było grzechem, a nasz syn, jego deformacja, karą.

— Przecież jest tyle zniekształconych dzieci — powiedziała rozsądnie Thea, nie mogąc tego zrozumieć. Nigdy jeszcze nie widziała rodziny, w której — jeżeli w ogóle doczekano się dzieci — nie znalazłoby się chociaż jednego niezupełnie normalnego dziecka. Nawet w kontrolowanym środowisku, w jakim się wychowała, gdzie każdą ciężarną opiekowano się fachowo i troskliwie, zdarzały się takie przypadki. Jej brat Davey nie

był normalny. Przez moment znów zobaczyła go takim, jakim, widziała go po raz ostatni, płaczącego dziesięcioletka, leżącego w łóżku i wymachującego pajęczymi ramionami, daremnie próbującego złapać coś, cokolwiek, wiotkimi, chudymi rączkami.

Evan ze świstem wciągnął powietrze.

— Czy pamiętasz, co zdarzyło się w Baltimore? Te pojemniki z gazem trującym, które pękły przy brzegu? Co zabiły wszystkich od Nowego Jorku do Georgii?

— Tak, chyba Jack Thompson mówił coś o tym. Dwadzieścia lat temu, nawet nie. Trochę więcej jak piętnaście — Thea uważnie przyglądała się Evanowi. Jeszcze raz spróbował się opanować.

— Czternaście.

Jennifer wzięła ze sobą Eryka do Raoula, do Narodowego Centrum w Maryland. Raoul uczestniczył w seansach. Wszyscy przychodzili i spowiadali się. Kiedy pękł pierwszy pojemnik, największa fala gazu poszła na Maryland. Akurat wtedy. Odrzucił głowę w tył i zamknął oczy.

— Kiedy to się zdarzyło, byłem w Phoenix, załatwiałem bilety do Nowej Zelandii. Nic nie mogłem zrobić. Nie mogłem ich nawet odszukać i wyprawić im porządnego pogrzebu. Jeżeli zginęli.

— Evan — powiedziała, po raz pierwszy pragnąc się do niego przytulić, ułagodzić jego ból.

— Nawet tego nie jestem pewny. W ostatnim komunikacie Raoul podał, że niektórzy z jego wyznawców stracili wiarę i uciekli. Nie powiedział kim byli, tylko że zostaną potępieni — potrząsnął głową. — Nie zdołałem się dowiedzieć...

Za drzwiami dało się słyszeć coraz bliższe szuranie stóp i śpiew. Odsunięto rygiel i Thea przesunęła się bliżej do Evana. Gdy drzwi otworzyły się, Evan mocno chwycił Theę za rękę i razem czekali na nadchodzących mnichów.

— Czy przemyśleliście wasze grzechy? Czy przygotowaliście się do odpowiadania przed Bogiem? — zaczął ojciec Leonidas, recytując pytania z rytualną biegłością.

— A mamy jakiś wybór? — zapytała Thea, czując budzący się gniew.
— Już przecież zdecydowaliście, że żyjemy w grzechu, teraz potrzebujecie tylko dowodu, aby wymierzyć karę. Jakiegokolwiek dowodu.

— Bluźnierstwo! — oznajmił brat Roccus ze źle ukrytą satysfakcją. Zwracając się do ojca Leonidasa, rzekł: — Ta kobieta zdradziła się jako siedlisko zła.

Ojciec Leonidas uczynił znak i czterech najsilniejszych mnichów wystąpiło do przodu, trzymając kostury gotowe do ciosu. Oddzielili Theę od Evana.

— Dobrze — stwierdził ojciec Leonidas. — Weźcie ich do stodoły i zakujcie w łańcuchy. Każde pod inną ścianę, nie razem!

Stodoła była mała i z tej przyczyny nieco cieplejsza niż kaplica. Cuchnęła owcami, dwiema mizernymi krowami i gnijącym sianem, zalegającym ubitą ziemię. Lodowaty wiatr wciskał się przez szpary w ścianach, wyjąc z diabelskiej radości.

Przykuci do przeciwnych ścian szybko odkryli, że łańcuchy nie dają im wiele luzu, a z pewnością nie tyle, żeby mogli się dotknąć.

— I co robimy? — spytała Thea, gdy mnisi zostawili ich samych. Chciała, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale niezbyt jej się udało.

— Poczekamy.

— Lepiej ściągnijmy trochę siana ze stryżku, inaczej zamarzniemy w nocy na kość. Tego nie wystarczy — kopnęła nogą wilgotną ściółkę — żeby się schować przed zimnem.

— Masz rację — powiedział, spoglądając w górę i oceniając odległość.

— Dasz radę sięgnąć?

— Nie, za wysoko.

Evan rozejrzał się wokół, szukając czegoś, co pomogłoby mu dostać się do siana. Niczego nie znalazł.

— Szkoda, że już nie mamy liny — powiedziała wolno Thea, maksymalnie naciągając łańcuchy. Poczwała jak zimne, nieustępli we żelazo wpija się w nadgarstki i kostki nóg. Poruszyła na próbę rękoma i

stwierdziwszy, że może sięgnąć wyżej lewą ręką niż prawą, skupiła wszystkie swoje wysiłki w jednym kierunku.

— Popatrz — rzekł Evan, obserwując jej ruchy. — Tam. Bliżej zagrody. To grabie. Jeżeli ci się uda... Thea wypatrywała przez chwilę, wreszcie dostrzegła sterczące ze ściółki zęby.

— Leżą za daleko. Nie wiem, czy zdołam dosięgnąć...

— Spróbuj. Spróbuj.

Naciągnęła łańcuchy, które z brzękiem napięły się jak struny.

— Nie. Nie mogę...

Evan podniósł kawał deski leżący u jego stóp i cisnął nim w siano na stryszku, klnąc, gdy pocisk chybił i z trzaskiem spadł na ziemię.

— Evan! Kopnij to do mnie!

— Co? — ziąb kąsał mu do kości bosc nogi. — Po co? Naciągnął łańcuchy i stwierdził, że deska jest poza jego zasięgiem.

— Kopnij to.

— Po co?

— Żebym mogła dosięgnąć grabi.

Evan spojrzał na nią.

— Jestem głupi. Masz rację — ostrożnie wyciągnął nogę do przodu i lekko dotknął drewna czubkami palców. — Nie wiem, czy zdołam...

— Musisz — Thea mimowolnie naprężyła swój łańcuch, patrząc na jego wysiłki. Niepewnie skinął głową, oceniając szanse.

— Uważaj! — powiedział i machnął nogą.

Deska potoczyła się w stronę Thei, zaczepiła o słomę i znieruchomiła.

— Nie mogę jej dosięgnąć — jęknęła cicho Thea, wyciągając rękę. — Jest za daleko. Evan dostrzegł krew spływającą z otartego przegubu dziewczyny.

— Daj spokój, Thea.

— Nie sięgnę. Nie mogę...

— Ja też nie — rzekł ponuro Evan, opierając się z powrotem o ścianę i pozwalając zimnu wsączyć się w ciało. Słyszał, że śmierć przez

zamarznięcie nie jest taka straszna, że w końcu człowiekowi robi się nawet ciepło. Miał nadzieję, że to prawda.

— Evan, nie...

— Zamknij się, Thea — powiedział i poczuł głęboką pogardę do siebie.

Dziwnie przestraszona, spojrzała na niego uważnie. Zaczęła mówić: „Evan, nie wolno ci...”, ale widząc opuszczoną w przygnębieniu głowę i ramiona, oraz głębokie bruzdy koło ust, zrozumiała, że jej nie słucha. Zastanawiała się przez chwilę, po czym postanowiła spróbować jeszcze raz. Wolno wyciągnęła się na polepie wyciągając rękę najdalej, jak mogła, pozwalając bezlitosnemu żelastwu ocierać ciało do krwi. To była niewielka cena za siano, które miało ocalić ich przed zamarznięciem. Kiedy dalej nie mogła już sięgnąć, zaczęła ciągnąć za źdźbła słomy, jedno po drugim, cal po calu. Wkrótce cuchnące błoto oblepiło jej rękę i nogę, sprawiając, że przenikliwy ziąb stał się jeszcze trudniejszy do zniesienia. Jednak nie poddawała się. Jeszcze mocniej przywarła do wilgotnej ściółki i desperacko ciągnęła źdźbła do siebie. W końcu deska zaczęła się przysuwać. Chwilami zatrzymywała się na nierównościach polepy, doprowadzając Theę do skrajnej rozpacz i irytacji. Chciało jej się wyć, lecz w milczeniu kontynuowała mozolną pracę. Wydawało się, że trwa to całe wieki, osiemnastocalowa deska stała się dla niej cenniejsza niż życie. Zacisnęła zęby z wysiłku i poczuła smak krwi w ustach.

Wreszcie zdołała dotknąć jednym palcem bezcennej deski. Pohamowała chęć natychmiastowego złapania jej, w obawie, że tylko odsunie ją dalej. Jeszcze trzy pociągnięcia i deska podsunęła się bliżej, aż ostatecznie Thea mogła ją chwycić wszystkimi palcami.

Leżała dysząc ciężko, prawie łkając z ulgi. Przez chwilę zapomniała nawet o mokrym błocie oblepiającym przód jej habitu. Wstała niepewnie, nie wypuszczając deski z dłoni. Stanąwszy na nogi, chwyciła ją mocniej i jeszcze raz maksymalnie naciągnęła łańcuchy. Sięgnęła, mając nadzieję, że deska okaże się dostatecznie długa i spełni swój cel.

Ciężar łańcuchów pozbawił ją równowagi i upadła z trzaskiem, wytrącając Evana z melancholijnej zadumy oraz płosząc krowy, które

zaczęły żałośnie ryczeć. Grabie upadły na nią.

— Na miłość boską, co... — zaczął z rozdrażnieniem Evan. Nagle dostrzegł grabie. Śmierć, która była tak blisko, odeszła, zostawiając bezgraniczną ulgę. — Thea — powiedział, wkładając w to imię wszystkie uczucia. Ubłocona, dygocząca, obsypana słomą Thea usiadła i popatrzyła na niego z triumfem. Ostrożnie podniosła się i sięgnawszy grabiami, zaczęła zrzucać ze stryszku zbutwiałe siano — jak konfetti.

O wschodzie słońca rozpoczęły się śpiewy, to mnisi witali kolejny dzień nabożną pieśnią o swoim Zbawicielu, który ocali ich od losu reszty zepsutej ludzkości.

Thea i Evan zagrzebani w sianie słuchali i starali się nie myśleć, co im przyniesie dzień, kiedy mnisi odkryją, że nie umarli.

— Żyjemy — rzekł Evan, gdy mnisi poszli do kaplicy. — To już coś.

— Może — powiedziała Thea. — Żałuję, że tak mało wiem o religii.

— Ojciec Lundsford opowiadał o życiu w klasztorze — Evan potrząsnął głową. — Szkoda, że niezbyt pilnie słuchałem.

Nieco później pojawił się brat Demetrios, niosąc dwie miski bladożółtej, galaretowatej papki. Bez słowa postawił je blisko więźniów i wyszedł pospiesznie, jakby uciekając przed zarazą. Przeżegnał się kilkakrotnie i zamknąwszy za sobą drzwi oddalił się mamrocząc modlitwy. Evan włożył dwa palce w miskę i oblizał je na próbę.

— Proso — oznajmił, przyjemnie zdziwiony. — Zważywszy okoliczności, to naprawdę niezłe pożywienie. Thea bez słowa podniosła miskę i zaczęła jeść. Smakuje jak papier — pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Żywność była zbyt cenna, a ona zbyt głodna, by zwracać uwagę na smak.

— Tutaj — powiedział brat Demetrios, ponownie pojawiając się w drzwiach stodoły. — Jak widzisz, uratowali się dzięki przebiegłości — mówił do drugiego mnicha, małego, wychudzonego mężczyzny o wąskiej twarzy i długim nosie. — Musisz ich przesłuchać, bracie Philian. Niemożliwe, żeby sami wzięli siano ze stryszku. Ktoś musiał im pomóc.

— Pomógł? — zapytał brat Philian matowym głosem. — Kto? Któż z nas zrobiłby coś takiego?

— Nie, nikt z nas — zaprzeczał przerażony brat Demetrios.

— Jednak ojciec Leonidas zawsze ostrzega nas o podstępach i sztuczkiach diabła... — Brat Philian roześmiał się nieprzyjemnie.

— Trzeba wyeliminować wszystkie możliwości. Najpierw czynnik ludzki, bracie Demetrios. Dopiero potem zbadamy inne.

Wszedł do stodoły. Po kaczkowatym chodzie Evan poznał, że brat Philian cierpi na płaskostopie.

— Niech Bóg będzie z wami tego ranka, bluźniercy, i obdarzy was swoją łaską.

— Dzień dobry — odparł sucho Evan.

— Może będziesz tak dobry i wyjaśnisz mi, w jaki sposób zdobyliście siano, w którym leżycie? — mimo, że mówił cicho i łagodnie, ton jego głosu zdradzał kryjącą się za tym groźbę. Evan zdecydował, że kłamstwo byłoby bezużyteczne i niemądre.

— Thea ściągnęła je grabiami — wskazał palcem. Brat Demetrios szeroko otworzył oczy i chwycił je pospiesznie. Leżąca w sianie Thea parsknęła drwiąco.

— Więcej szacunku dla Sług Pana — warknął brat Philian. — Mówisz — ciągnął gładko, znowu zwracając się do Evana — że użyłeś grabi?

— Powiedziałem, że Thea użyła grabi.

— Jak to możliwe? Przecież były w oborze?

— Spytaj Thei — doradził mu Evan.

— Pytam ciebie. Ona nie jest ważna, to tylko rzecz.

— Nie zgadzam się z tym — Evan przechylił miskę, wysysając resztki papki. Brat Demetrios westchnął.

— W jaki sposób zdobyła grabie?

Thea odezwała się.

— Na podłodze leżała deska. Przyciągnęłam nią grabie. Potem zrzuciłam siano — wstała i wyzywająco spojrzała na brata Philiana. — Byliście rozczarowani, że żyjemy. Prawda?

— Milcz, kobieto. Nie wolno ci mówić w tym miejscu.

— Chciałeś wiedzieć, jak zdobyliśmy siano, powiedziałam ci.

Brat Philian opanował się z widocznym wysiłkiem.

— Nie będziesz tu mówić. To niewłaściwe, by kobieta odzywała się w Domu Bożym.

Thea znacząco rozejrzała się wokół.

— Wasz Bóg ma dziwny gust, jeśli chodzi o domy. Chociaż wyznawców ma niezłych — dodała, spoglądając na dwie krowy i owce.

— Thea — rzekł ostrzegawczo Evan. — Co jeszcze pragniesz wiedzieć bracie?

— Wiele rzeczy, mój synu. Wszystko w swoim czasie — mnich nieznacznie oblizał wargi. — Od dawna nie miałeś styczności z kościołem, mój synu.

Evan pomyślał o katedrach Mediolanu, Paryża, Londynu i Moskwy oraz o muzyce, jakiej tam słuchał.

— Można by tak powiedzieć.

— To pożałowania godne, że w tych smutnych czasach zostało nas tak niewielu, by udzielać sakramentów wiernym.

Evan z roztargnieniem kiwnął głową, ukradkiem zerkając na Theę. Widział, że była zła. Poznał to po sposobie, w jaki uniosła głowę, po napiętej postawie i wysuniętym podbródku.

Nie mogła nic powiedzieć. Obserwowała brata Philiana i widziała, że ma erekcję. Przestraszona, zrozumiała, że kiedy tylko to zauważy, rzuci winę na nią. Usiłowała skupić myśli na czymś innym, nie zwracać uwagi na to, co przydarzyło się bratu Philianowi.

— ... wrócić na łono Kościoła, wspólnoty, która jest zawsze dla ciebie otwarta — mówił brat Philian do Evana, lecz patrzył na Theę.

— Zdaję sobie z tego sprawę — rzekł Evan, myśląc o czymś innym. Widział, że coś się dzieje z Theą i nie wiedział, o co chodzi. Czekał, aż nudny stary mnich odejdzie.

— To prosta sprawa, mój synu. Musisz tylko żyć z nami przez jeden rok, przyjąc śluby i będziesz tu bezpieczny.

— Uhm.

Brat Demetrios stał nieco z tyłu, słuchając tych napomnień. Wreszcie schylił się, by podnieść miski i dostrzegł podniecenie starszego mnicha. Zbladł i uczynił znak krzyża.

— Bracie Philianie!

— Tak, bracie? — zapytał stary, zły, że mu przerwano.

— Twoje ciało... — brat Demetrios nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Brat Philian wybałuszył oczy i uświadomiwszy sobie znaczenie rysującej się pod habitem wypukłości, krzyknął z przerażeniem na Theę:

— Diabeł! — odwrócił się do Evana. — Widzisz, co zrobiła ze mną ta twoja kobieta?

Jakby na potwierdzenie tych słów, wypukłość powiększyła się.

— Ja nie... — protestowała Thea, wiedząc, że to daremny trud.

— Nawet pohańbiona, nawet skuta, jest diabłem! — wrzeszczał mnich. Z rozmachem cisnął w nią drewnianymi miskami.

Thea krzyknęła również, gdy naczynie uderzyło ją w twarz. Odruchowo zasłoniła oczy błonami mrużnymi, podobnie jak mruga się powiekami. Znieruchomiała, wiedząc, że obaj mnisi zauważyli to. Rozcięty policzek zaczął krwawić i cała twarz ją paliła.

— Przeklęta! Czarownica! — brat Demetrios zbladł jak kreda i trząść się z przerażenia.

— Odejdź, bracie Demetriosie, inaczej pokala cię także — nakazał brat Philian ze wstydem w oczach.

— Naprawdę może to zrobić? — pytał bliski paniki mnich.

— Może — zapewnił go stary. Znów odwrócił się do Evana i Thei, podczas gdy brat Demetrios umykał ze stodoły.

— Nic mi nie powiedziałaś — gestem wskazał przód habitu — o tym. Dlaczego mi nie powiedziałaś.

— Nie myślałem, że to ważne. Sądziłem, że wiesz — Evan ani drgnął, napięty, sprężony jak kot.

— Przecież wiesz, że kto zakłóca dzieło Pana jest bluźniercą. Wszystko inne to herezja. Słyszałeś, co mówił ojciec Leonidas. Jesteś Wiernym.

Evan splunął.

— Rozumiem — wyprostował się brat Philian. — Szkoda. Widocznie wybrałeś drogę grzechu. Jeżeli mogę ci coś powiedzieć, popełniasz błąd.

— Wątpię.

Brat Philian jeszcze raz pomacał się przez płaszcz. Oczy błyszczały mu z zadowolenia.

— Herezja... herezję wypala się ogniem, mój synu. Tylko płomienie mogą usunąć ten grzech... Zostaniecie spaleni: ona i ty.

Kiedy brat Philian odszedł, Thea usiadła bez słowa na sianie, plecami odwrócona do Evana. Była zbyt urażona, by słuchać słów pocieszenia, a skaleczenie na policzku pulsującym bólem przypominało o zniewagach. Zamknęła się w sobie, płonąąc z wściekłości i upokorzenia.

— Thea? — powtórzył cicho Evan i zamilkł.

Brat Odo przyszedł wydoić krowy, napomykając, że na szczęście czarownica nie pozbawiła ich mleka. Przemył wymioną święconą wodą, aby temu zapobiec i zabrał się do roboty. Gdy wreszcie wychodził, zabierając skopki, Evan zawył i potrząsnął łańcuchem. Mnich wypadł ze stodoły jak oparzony. W końcu, tuż po południu, przyszedł brat Roccus. W rękę miał książkę i pastorał.

— Teraz wysłucham twojej spowiedzi, uczynionej dobrowolnie, bez instrukcji i przymusu. Thea nie poruszyła się. Evan spojrzał na mnicha, lekko unosząc brew.

— Musisz się wyspowiadać.

— Naprawdę? — Evan podźwignął się na nogi, wykorzystując naturalną przewagę, jaką miał nad chudym, niskim zakonnikiem.

— Musisz poznać swoje błędy, abyś mógł je wyznać przed Jego tronem. To co robimy, robimy ku Jego większej chwale, a nie dla grzesznego człowieka.

— Ty sadystyczny skurwielu — odparł chłodno Evan, krzyżując ręce na piersiach. — Nic ze mnie nie wyciągniesz.

— To konieczne — nalegał mnich. — Brat Philian twierdzi, że ciężko zgrzeszyłeś. Rzuci na ciebie klątwę, jeżeli nie okażesz skruchy i nie wyspowiadasz się.

— Nie dbam o to. Zraniliście Theę i chcecie nas zabić. I nie udawaj, że jest inaczej — ciągnął, korzystając ze zmieszania zaskoczonego brata Roccus. — Chcecie popatrzeć na płonący stos, prawda?

Brat Roccus zmarszczył brwi.

— Za dziesięć dni będzie Dzień Pański. Ojciec Leonidas powiedział, że właśnie wtedy zmażecie swoje winy.

— Czarujące.

Gniew wisiał w powietrzu, stawał się prawie namacalny. Czując to, krowy poruszały się niespokojnie, a owce dreptały w swojej zagrodzie.

— Wysłucham twojej spowiedzi. Nie muszę słuchać kobiety — już znamy jej grzech.

— Wynoś się.

Brat Roccus z widocznym wysiłkiem zachowywał spokój.

— Musisz się wypowiadać. Przysłano mnie tu, bym cię wysłuchał i jeżeli się nie...

Evan dokończył za niego:

— Jeżeli się nie wypowiadam, ojciec Leonidas naznaczy ci pokutę, prawda? Robi to dość często — Evan pamiętał reprimendę, jakiej ojciec Leonidas udzielił poprzedniego dnia bratu Roccusowi.

— Nie będziemy o tym mówić.

— Nie? — zadrwił Evan.

Tego było już za wiele bratu Roccusowi. Zniósł już od Evana więcej, niż mógł wytrzymać. Runął na uprzykrzonego więźnia, bełkocząc coś niezrozumiale i unosząc rękę do ciosu. Evan cofnął się pod ścianę, ale nie ze strachu. Zbierał w dłoniach luźny łańcuch, którym skuto mu ręce. Kiedy nacierający mnich znalazł się o krok, Evan uderzył precyzyjnie, prawie niedbale, trafiając ciężkim żelazem w głowę i barki napastnika. Brat Roccus wydał okropny jęk i z rozwaloną głową runął Evanowi do stóp. Owce skuliły się w kącie, pobekując nerwowo. Evan oparł się o ścianę i czekał.

— Evan? — powiedziała po chwili Thea. Spojrzał na nią, opuszczając łańcuch.

— Dobrze się czujesz?

Skinęła głową, dotykając potężnego siniaka na policzku i tworzącego się na nim strupa.

— Zagoi się — powiedziała.

Dopiero po godzinie mnisi przyszedli zobaczyć, dlaczego brat Roccus nie wraca, do tej pory jego ciało ostygło. Z przerażeniem spoglądali na zamordowanego i na Evana, który znacząco kołysał łańcuchem i uśmiechał się szyderczo.

Wysłano posłańca po ojca Leonidasa. Przybył natychmiast, wyraźnie zaczerwieniony pod warstwą brudu.

— To grzech przeciw piątemu przykazaniu! — zagrział.

— Weźcie go za nogi i wyciągnijcie stąd. Nie chcę, żeby mi tu dłużej śmierdział — polecił Evan, gdy stary mnich podszedł bliżej. — A jeżeli któryś z was spróbuje dotknąć mnie czy Theę, zrobię z nim to samo co z tym robakiem!

Zadanie wyciągnięcia zwłok ze stodoły przypadło bratu Odo, a reszta mnichów wycofała się pospiesznie, by przygotować mszę żałobną.

Tego wieczora nie dostali miski kleiku ani niczego innego. Z kaplicy dolatywały żałobne pieśni i słowa nie kończącej się modlitwy za zmarłych. Thea i Evan słuchali, jak mijają godziny nocy odmierzone monotonnym cyklem litanii.

Już od pewnego czasu słońce stało na niebie, gdy Evan usłyszał odległy huk, dźwięk niósł się daleko doliną przypominając armatni wystrzał.

— To odwilż — powiedziała po chwili Thea. — Lód na rzece pęka. Może to już marzec.

— A co ze śniegiem?

Czy mu się wydawało, czy też w powietrzu unosił się nowy zapach, przynoszący zapowiedź świeżej trawy? Thea nasłuchiwała krytycznie.

— To dopiero w dolinie. Może jeszcze tydzień minie, zanim dotrze w góry.

— To oznacza, że przełęcz są wolne — rzekł Evan, marszcząc czoło. — Graeagle jest zbyt blisko.

— Za parę dni to już nie będzie miało znaczenia — przypomniała mu Thea. Kajdany boleśnie otarły jej ciało, poruszała się z trudem.

Evan w zadumie popatrzył na szmaciane chodaki, jakie otrzymali zamiast butów, i wbił wzrok w ścianę.

— Jak myślisz, wytrzymałyby kawałek?

— Nie wiem.

— Dalibyśmy radę w nich iść, gdybyśmy się stąd wydostali?

— To zależy od mrozu — odparła, przemyślawszy sprawę. — Ryzykowne. Najgorsze są odmrożenia.

Pod wieczór odległa rzeka głośnym szumem wody obwieściła wiosnę.

Po zachodzie słońca ojciec Leonidas jeszcze raz pojawił się w stodole.

— Za dziesięć dni jest Zmartwychwstanie Pańskie — poinfor mował ich. — Tego dnia wy, którzy żyjecie w grzechu i zatwardziałości, zostaniecie ukarani. A ciało brata Roccusa będzie świadkiem waszej śmierci i oskarży was przed Jego tronem.

— Cudownie. Myślisz, że ciało wytrzyma tak długo? — zamruczał Evan. Ojciec Leonidas zadrżał i twarz spłynęła mu czerwienią.

— Nikczemność. Nikczemność i niegodziwość.

W odpowiedzi Evan zabrzączał łańcuchem i z satysfakcją zobaczył, jak stary mnich zmyka pośpiesznie, mamrocząc modlitwy.

Tydzień później wschodzący księżyc pocętkował swymi promykami wewnątrz stodoły. W kaplicy nie ustawały śpiewy i od czasu do czasu trzej uzbrojeni w kostury mnisi przynosili więźniom miskę zbożowej papki. Powietrze było chłodne, ale nie lodowato zimne jak tydzień wcześniej. Ze względu na brak latryny i swobody ruchów w stodole zaczęło śmierdzieć.

— Nie śpisz? — spytał Evan cicho, patrząc przez szparę w ścianie na księżyc. Oceniał, że minęła północ, ale nie odczuwał zmęczenia, chociaż mięśnie bolały go od długiej bezczynności.

— Nie. Ty też?

— Myślałem sobie — rzekł marzycielsko Evan — jak to kiedyś było w pierwsze wiosenne noce. Zazwyczaj byliśmy wtedy w Londynie i spacerowaliśmy po Old Brompton Road, oglądając wystawy sklepów. Prawie cały czas padało, lecz od czasu do czasu robiło się zimniej i deszcz ustawał. Albo nasypało tyle śniegu, że wystarczało na przyprószenie dachów. Boże, kochałem Londyn. Pamiętam, jak w 1983 Tamiza

zamarzła tak mocno, że można było jeździć na łyżwach. Szkoda, że tego nie widziałaś. Pełno ludzi. Jak na festiwalu.

— To musiało ładnie wyglądać — powiedziała Thea, usiłując wyobrazić sobie taki widok.

— To było piękne. Wtedy było wiele pięknych rzeczy.

— Prześpij się trochę, Evan. Potrząsnął głową.

— Chcę to zobaczyć. Chcę pamiętać. I prawie niedosłyszalnie dodał:

— Tak jak chcę zapamiętać ciebie, Thea. Thea.

Mnisi rzucili na nich klątwę i odeszli. Thea z trudem wstała na nogi, trzymając zardzewiały łom.

— Znalazłam go w ściółce, tuż obok krów — powiedziała. — Wydaje mi się, że zdołam się uwolnić, jeżeli się przyłożę.

Po chwili dodała:

— Ciebie też uwolnię, jeśli zdążę.

Evan nie czuł się szlachetnie, ale nie próbował jej oszukiwać.

— Nie powiem, żebym z niecierpliwością wyglądał, aż mnie spalą na stosie — rzekł — i mam nadzieję, że starczy ci czasu. Jeżeli nie, to uciekaj sama.

Spojrzała na niego przez klepisko, czując przyływ litości dla tego brudnego obszarpańca, jakim się stał w ciągu ostatnich dni.

— Jeżeli zdążę, uwolnię cię także — obiecała. Zabrała się za kłamry mocujące do ściany jej łańcuchy.

Na zewnątrz bracia znosili drewno na stos, nawołując się głośno, dbając o to, by zbierać wilgotne drewno, które będzie się palić długo i wolno. Pracowali z większym ożywieniem niż zwykle, toteż pojęli, co się stało, dopiero wtedy, gdy pierwsi Piraci dotarli do wrót klasztoru.

Strzały zmieszały się z trzaskiem pękających lodów i szczękiem łomu, którym Thea waliła w okowy, tak więc Evan nie usłyszał odgłosów ataku, a nawet jeśli usłyszał, to nie zwrócił na nie uwagi. W ogóle nie chciał myśleć o mnichach i o tym, czym zajmowali się na zewnątrz. Jeden z braci wrzasnął dziko i zaczął uciekać, wciąż wzywając pomocy.

— Co to? — spytała Thea, przerywając na moment pracę.

— Atak — odrzekł wolno Evan, gdy zidentyfikował dźwięki. — Chyba Piraci. Spodziewałem się, że mogą nadciągnąć.

— A więc mamy szansę — powiedziała, znów zabierając się za łańcuchy.

— Nie mamy żadnej, jeżeli nas zauważą. Cox chce mojej głowy, a ty jesteś Mutantką. Cox i ojciec Leonidas są zgodni w jednej sprawie: obaj nienawidzą Mutantów. Cox jest może bardziej okrutny, ale spotkałby cię taki sam koniec. A o przyjemność wycięcia mi wątroby rzucaliby monetą.

Oparł się o ścianę i nasłuchiwał.

Thea jeszcze raz przerwała pracę i spojrzała na niego. Widziała jego bladą, wychudłą twarz i gęstą, splątaną brodę. Oczy miał głęboko wpadnięte, a zaciśnięte usta mówiły więcej niż krótkie zdania, jakie się z nich dobiły. We włosach zauważyła nitki siwizny, rozsiane gęściej, niż kiedy przyglądała im się poprzednio. Nie mogła zobaczyć swojej twarzy, pobrużdżonej trudami życia, ani białych pasemek pokazujących się wśród czarnych kędziorów. Zima się skończyła, pomyślała Thea. Jej urodziny przeszły już dawno, jeszcze w Quincy. Miała dwadzieścia osiem lat. Czuła się na pięćdziesiąt.

— Do roboty, Thea — powiedział najłagodniej, jak mógł. — Nie zostało ci wiele czasu. Zabrali się za wrota.

— Mam cię zostawić Coxowi albo mnichom? — zapytała, mocniej napierając na łom. — Zwariowałeś chyba.

— Nieważne — odparł, przyglądając się jej pracy i słuchając odgłosów walki. Słyszał nawoływania i krzyki, czasem trzask łamanego drewna, huk wystrzału lub łoskot padającego ciała. Łagodny wietrzyk przyniósł swąd spalenizny.

Z okrzykiem radości Thea uwolniła nogi z kajdan.

— Spójrz, Evan! — wyciągnęła długi łańcuch ze skobla, który utrzymywał go w ścianie. — W razie potrzeby możemy się tym bronić!

— Weź go ze sobą — powiedział, próbując ukryć miotające nim uczucia. Widząc jak bliska jest wolności nie mógł pohamować zazdrości, chociaż czuł z tego powodu pogardę do siebie.

— Czekaj chwilę. Z tym pójdzie łatwiej — powiedziała z przekonaniem i wzięła się za łańcuch przytrzymujący jej nadgarstki.

Dym gęstniał i na wieży odezwał się dzwon, wybijając miarowo swój kontrapunkt rozpaczy na tle zdecydowanego warkotu silników i ludzkich wrzasków. Piraci zwyciężali.

— Jak ci idzie? — spytał Evan, gdy dym zaczął go szczypać w oczy i zmuszać do kaszlu. Wiedział, że jeśli będzie go wdychał jeszcze chwilę, to zacznie się dusić.

Krowy i owce miały się po zagrodzie, przerażone ogniem, grzechotem strzelaniny i hukami motorów. Napierały na przegrodę, próbując wyłamać ją i uciec.

— Musi się udać — dyszała Thea przez zaciśnięte zęby. Łzy prawie ją oślepiały, spowalniając pracę i zostawiając smugi na brudnej, wymizerowanej twarzy. Całym ciężarem ciała nacisnęła na łom i jej wysiłki zostały wreszcie wynagrodzone. W ogniu pojawiła się mała szczelina. Dym wciąż gęstniał i zwierzęta w przegrodzie zaczęły szaleć, łamiąc deski kopytami i bodąc, aż łby spływały im krwią.

— Szybciej — poganiał ją Evan. W pobliżu rozległy się dwa strzały. Gromada mnichów wybiegła z kaplicy na podwórko, do stodoły, gdzie przechowywali większość zapasów żywności. Rozginane ogniwo wydawało się jęczeć razem z Theą. Wolno, wolno, szczelina poszerzała się.

— Pracuj, Thea — przynaglał Evan, zanosząc się kaszlem. Poczł przeszywający ból w piersi i pomyślał, że życie jest zbyt słodkie, by umierać w ten sposób. Zaszedł za daleko i przeżył zbyt wiele...

Drewniana ściana stodoły zaczęła się tlić.

— Puściło! — krzyknęła Thea, gdy metal w końcu ustąpił. Łkając z wysiłku i krztusząc się dymem, upadła na siano.

— Wstań! Musisz wstać, Thea! — ponaglający głos podziałał na nią silniej niż widok pierwszych, liżących ścianę płomieni.

Podniosła się, przycisnęła skraj habitu do twarzy i chwiejnie podbiegła do drzwi. Evan pożegnał ją spojrzeniem.

Otworzyła drzwi na oścież i cofnęła się. Oszalałe ze strachu zwierzęta runęły na zewnątrz, wpadając na gromadę mnichów szukających schronienia w szopach po przeciwnej stronie podwórza. Thea zerwała ze ściany siekierę wiszącą obok wrót i przedarła się przez gęsty dym z powrotem, do Evana. Bez słowa zaczęła rąbać ścianę wokół klamer mocujących łańcuchy. Ogień rozszerzał się szybko i żar stawał się nie do wytrzymania.

— Thea — powiedział Evan. — Thea, uciekaj, proszę.

Mówiąc to, naprawdę tak myślał. Nie zwracała na niego uwagi. Evanowi kręciło się w głowie od dymu i skóra piekła go od gorąca. Na zewnątrz Piraci rozjeżdżali zbiegłe ze stodoły zwierzęta i wrzucali je na wozy, nie zaprzestając ścigania mnichów.

Cały drugi koniec stodoły był już w ogniu i zwęglone belki sklepienia poczerniały w płomieniach, gotowe runąć na głowy więźniów. Evan próbował odepchnąć Theę.

— Stój spokojnie, głupcze — wrzasnęła i zniknęła w kłębach dymu. Natychmiast pojawiła się znowu, spazmatycznie łapiąc ustami powietrze, niosąc zardzewiały łom.

Podawała mu żelastwo, gestem pokazując, by jej pomógł. Razem mocowali się z ogniwami, podczas gdy ogień przybliżał się szybko. Wreszcie Thea kopnęła mocno, wyrywając kłamerę z poharatanej ściany razem z kawałkiem drewna. Przez dziurę wtargnęło świeże powietrze, ułatwiając oddychanie, ale podsycając płomienie.

Od strony otwartych drzwi nadleciał krzyk:

— Hej, Davidson! Tu są jacyś mnisi w stodole! Powiedz Mackleyowi!

— Ilu?

— Chyba dwóch.

Piraci podeszli tak blisko, jak na to pozwalały szalejące płomienie.

— Naprawdę, zdrowo się pali.

— Niech się smażą! — stwierdzili Piraci i pospieszyli do cennych składów żywności.

Odpychając na bok Evana, Thea z całej siły uderzyła ramieniem w nadwątlone deski. Drewno złamało się z trzaskiem i powstała

poszarpana dziura. Thea zaatakowała z taką siłą, że potknęła się i wypadła na zewnątrz, rozciągając się jak długa na błotnistej ziemi wybiegu dla kur. Oszołomiona i zdumiona, leżała na boku z twarzą oddaloną o parę cali od topniejącego śniegu, podczas gdy przemoczone kurczęta gdakały nerwowo. Po raz pierwszy poczuła, że bolą ją podrapane dłonie i otarcia od kajdan na rękach i nogach. Podniosła się i spojrzała za siebie, na stodołę. Wydostała się. Była wolna.

VIII

Minęła dobra chwila, zanim Evan pojął, co się stało. Głowę miał ciężką od dymu i przygnębiającej myśli o nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Stał obok otworu, patrząc otępiąłym wzrokiem, jak Thea wstaje i strząsa śmierdzące błoto oblepiające jej habit.

— Chodź! — krzyknęła chrapliwie, korzystając z tego, że zgiełk walki i trzask płomieni zagłuszają jej słowa. — Teraz możemy uciec!

Nowa seria strzałów przywróciła mu zmysły. Chwycił kawał drewna, który wciąż trzymał się końca łańcucha, i wyrzuciwszy go na zewnątrz, sam wygramolił się przez dziurę. Zdarł sobie przy tym skórę na kolanach i prawie upadł.

Dym drapał w gardle, a rozgrzane powietrze parzyło gorącym oddechem. Opodal leżały na ziemi poszarpane ciała trzech mnichów, skoszonych w biegu strzałami Piratów. Na prawo resztki dopalającej się kaplicy wysyłały w niebo chmury iskier. Thea stanęła jak wryta, z przerażeniem wpatrując się w ogień. Evan zdziwił się przelotnie, lecz zaraz zrozumiał, że zobaczyła własną śmierć, jaka oczekiwałaby ją z rąk okrutnych mnichów.

— Lepiej się pospieszmy — wychrypiał.

Rozdygotana, odwróciła się do niego, usiłując zapomnieć o szalejących płomieniach.

— Masz rację — mruknęła i rozejrzała się za najbezpieczniejszą drogą ucieczki. — Za tą bramą jest pastwisko, a za nim wzgórze. Tędy będzie najlepiej.

— Dobrze, biegnijmy — pociągnął ją za rękaw. — Jeżeli będzie trzeba, pójdziemy autostradą. Piraci zabawią tu jeszcze kilka dni. Muszą zabrać ziarno ze spichrza i wszystkie narzędzia, jakie uda im się znaleźć.

— Łom! — wykrzyknęła nagle.

— Mam go tu — podniósł ramię, brzęcząc łańcuchem. Mimowolnie spojrział przez ramię na płonąca stodołę, po czy ruszył do bramy i leżącego za nią pastwiska. Thea przystanęła tylko po to, by pozbierać jakieś szmaty suszące się na płocie i szybko pobiegła za nim.

— Nie oglądaj się — polecił, znając tę pokusę i wiedząc, jak dobrym celem są na otwartej przestrzeni pastwiska. — Jeżeli nas złapią, to trudno. Nie ułatwiał im tego. Nie zatrzymuj się.

Kiwnęła głową i przyspieszyła, zaciskając zęby z bólu. Pastwisko zdawało się ciągnąć w nieskończoność, a dwadzieścia minut, jakie zajęło im dotarcie do bezpiecznego gąszczu zru działych sosen, trwało całą wieczność.

Za nimi ciągnął się smród spalenizny, a w dali odgłosy rzezi mieszały się ze słodkim chórem modlących się mnichów, którzy poddali się zwycięskiemu Piratom.

— *Inflammatum et accensum per te Virgo, sum defensum* — biegło za Theą i Evanem, gdy wreszcie osiągnęli zbawczy cień drzew i zniknęli w nim bez śladu.

Pierwsze wzniesienie prowadzące do przełęczu zmusiło ich do zwolnienia kroku, jednak po paru następnych jardach znaleźli się w zaroślach i mogli przystanąć dla zaczerpnięcia oddechu oraz ocenić sytuację. Dym z płonącego klasztoru unosił się w powietrze, a cichy szum rzeki i trzask pękającego lodu były ledwie słyszalne przez grzechot strzałów i huk ognia pożerającego resztki stodoły, w której więziono Evana i Theę.

— Co mamy? — spytał Evan, gdy chwycił oddech i wytarł spoconą twarz rękawem.

— Ty masz łom, a ja kilka szmat do owiązania nóg — odparła Thea, nie okazując obaw.

— I co więcej?

— Niestety — zagryzła wargi.

Kiwnął głową i popatrzawszy jej w oczy, z ulgą zobaczył w nich wyzywający błysk.

— Lepiej poszukajmy jakiegoś schronienia — powiedział, odwracając się twarzą do stoku. — Śnieg jest głęboki.

— To dla nas nic nowego — powiedziała lekko, wiedząc, że naprawdę potrzebowali schronienia, lecz nie martwiąc się o to zbyt.

Wspomniała długie lata, jakie przeżyła samotnie, nie mogąc liczyć na nic, oprócz swego sprytu. Nie bała się.

— Lepszy śnieg niż to — rzekła, wskazując palcem zniszczony klasztor.

— Tak — zgodził się Evan, spoglądając nań po raz ostatni.

Podejście było trudne, bowiem topniejący śnieg zamieniał się pod nogami w śliski lód, a woda szybko przemoczyła szmaty, którymi owiązali sobie stopy. Tuż pod powierzchnią ziemia była wciąż zmarznięta, nie dając ulgi od wilgoci i zimna. Większość drzew zrzuciła brzemię śniegu, teraz kołysały się, szepcząc, w podmuchach północnego wiatru. .

Idąc, Thea wpatrywała się w śnieg i w pewnej chwili stanęła jak wryta.

— Co to? — zapytał Evan, widząc nagle wgłębienie na skraju śnieżnego nawisu.

— Ślady niedźwiedzia — odparła Thea z niepokojem w oczach. — Chyba już budzą się z zimowego snu. Mam nadzieję, że wystarczy tu dla nich jeleni.

Zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć, i dotkliwie odczuł utratę kusz. Krążący w pobliżu głodny niedźwiedź stanowił poważne niebezpieczeństwo, a na samą myśl o polowaniu kiszki zaczęły im grać marsza. Przypomniawszy sobie, że nic jeszcze nie jedli. Mnisi nie karmili ich zbyt dobrze po tym, jak Evan rozwalił łańcuchem głowę brata Roccusa.

— Lepiej ruszajmy się — powiedziała widząc, że przystanął i zamyślił się głęboko.

— Miej oko na uschłe drzewa — obdarzył ją uśmiechem, który miał być przyjacielski. — Potrzebujemy broni, a mnisi dobrze sobie radzili z kosturami. Boże, szkoda, że nie mamy zapalek.

Przytaknęła ruchem głowy, lecz nic nie powiedziała. Też była głodna i o wiele lepiej zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jednak lepsze to niż śmierć na stosie, czy z rąk Piratów. Zacisnęła zęby i starając się zapomnieć o bólu szła dalej.

Zmierzch zastał ich wysoko nad linią śniegu, Sierraville zostało daleko w tyle. Thea przygięła konary sosny i schowała się pod nimi. Evan ułożył się po drugiej stronie pnia. Zimno i drobne stworzenia szeleszczące w krzakach nie dały im zasnąć przez długie godziny nocy. Thea stwierdziła, że wciąż wspomina — nie szczęśliwe dni w Camminsky Creek czy długie lata wędrówki, lecz swoje pierwsze spotkanie z Evanem. Jak nigdy przedtem, poczuła dziwny, bolesny żal, że nie potrafi się zmusić do zaakceptowania jego ciała. Nawet kiedy czasem proponował tak drobną rzecz jak spanie na wspólnym materacu, odskakiwała jak oparzona. Coraz bardziej nienawidziła Lastly'ego i zaczynała gardzić sobą. Czuła się okaleczona, upośledzona i godna pogardy.

Evan spał głęboko, szukając ulgi w sennych majakach — maleńkich okrucach utraconego świata. Wkrótce po wschodzie słońca obudził ich odległy, stłumiony ryk, zdający się dobywać z samego wnętrza gór, przeszywający do szpiku kości dźwięk, wstrząsający drzewami i uciszający żalosne głosy leśnych zwierzątek.

— Co to było? — zapytała Thea, wygramoliwszy się z kryjówki. Była brudna i obdarta, a na policzku miała purpurową bliznę — ponury znak pozostawiony przez brata Philiana. Promienie wstającego słońca odbiły się od kajdan na rękach i oślepiły ją na chwilę.

— To nie wystrzał — rzekł Evan. — I chyba nie dynamit.

Niezgrabnie wyczołgał się z legowiska, ciągnąc za sobą łańcuch z przyczepionym do niego wciąż kawałem drewna.

— To jakiś wybuch, tylko kto go spowodował? I po co?

Zastanowił się, czy to nie Piraci torują sobie drogę przez przełęcz, ale wiedział, że oni nie mogli wywołać tak potężnej eksplozji.

— Może gdzieś w górach za Sierraville są jeszcze ludzie? Może ktoś wczoraj zobaczył jak Piraci zajmują klasztor? Przecież mogło tak być, prawda? Pewnie chcą zatarasować przejście. Odgrodzić się od Piratów...

— Tylko po co? W ten sposób zwróciliby na siebie uwagę — Evan potrząsnął głową i przewiesił łańcuch przez ramię, żeby mu nie przeszkadzał w marszu. Nasłuchiwał cichnącego z wolna dudnienia.

— Obojętne co to było, skończyło się.

Thea wydobyła łom z gałęzi i podała mu.

— Poszukaj pnia albo kamienia. Uwolnię cię od łańcucha. Na razie nie dam rady zdjąć ci kajdan — potrząsnęła okowami — ale może uda mi się rozbić któreś ogniwo.

Evan z roztargnieniem skinął głową, myśląc wciąż o dziwnym wybuchu i usiłując zapomnieć o dręczącym głodzie.

Właśnie mocowali się z łańcuchem, gdy tajemniczy dźwięk dał się słyszeć ponownie, tym razem dłuższy i potężniejszy. Wkrótce potem kolejne drzenie wstrząsnęło górami, jakby olbrzym przewracał się na drugi bok, i niebo zasnuło się kirem gęstego dymu, unoszonego przez wiatr i przez chwilę zasłaniającego słońce. Zanim nastąpiło południe, sporadyczne grzmoty przeszły w nieustający huk i ziemia zaczęła się trząść pod nogami wędrowców. Na północy niebo zaciągnęło się chmurą dymu. Thei udało się wreszcie uwolnić Evana od łańcucha, chociaż praca nad tym wyczerpała wszystkie jej siły. Skończywszy, usiadła ciężko i dopiero wtedy zapytała:

— Czy wiesz, co się dzieje? Popatrzyl w niebo zwięzionymi oczami.

— Chyba tak — odparł.

Wziął ze sobą łańcuch jako broń, gdy ruszyli wzdłuż starej autostrady, kryjąc się w zaroślach, ale nie odchodząc od drogi. Evan czuł, że to ich jedyna nadzieja.

Przed nimi płynął strumyk, tworząc niespodziewaną wyrwę w gąszczu pokrywającym stok. Błyszczał srebrzyście, ożywiony topniejącym śniegiem.

— Teraz się napijemy — powiedziała Thea, powąchawszy najpierw ostrożnie. — Czasem woda nie jest dobra, mimo że jest czysta. Na razie nie możemy jeść śniegu. Groziłoby nam zamrożenie. — Evan klęknął, by się napić, gdy łoskot jeszcze raz przetoczył się po górach Sierra, ze straszliwą siłą wstrząsając granitowym pasmem. Evan zamarł z dłonią pełną wody.

— Lassen — rzekł spokojnie. — Albo Shasta. Chyba Shasta. Jednak w rachubę wchodzi oba.

Stwierdził, że ręce mu się trzęsą i musiał ponownie zaczerpnąć wody, by się napić.

— Chryste — powiedział, unosząc dłonie do ust.

— Lassen? — spytała.

— Lassen i Shasta. To wulkany. Lassen leży bliżej i wciąż jest aktywny. Nawet pięćdziesiąt lat temu zdarzyło się, że zamykali park, bo wulkan wyrzucał chmury dymu i popiołu. Shasta też, ale rzadziej. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych poważnie się tym martwili. Pamiętam, że czytałem o tym. Spodziewali się, że Shasta wyleci w powietrze.

Thea zmarszczyła czoło, zerkając na pociemniałe niebo.

— Zdaje się, że Jack Thompson coś o tym mówił. Jest ich cały łańcuch, prawda? Wzdłuż wybrzeża Pacyfiku?

Zajął się wodą, a kiedy się napił, umył sobie twarz, tak że nie odpowiedział jej natychmiast. Czuł, jak maska brudu schodzi mu z twarzy i ten fakt niezmiernie poprawił mu samopoczucie.

— Taak — powiedział w końcu. — Wszędzie: od Alaski po Amerykę Środkową. Umyj się, Thea. Poczujesz się lepiej.

Zrobiła, co kazał, lecz nie zamierzała porzucić tematu.

— A który znajduje się najbliżej? Czy nie jesteśmy za blisko?,

Zacisnął wargi i zmarszczył brwi w zadumie.

— Próbuję sobie przypomnieć, czy zanieczyszczenia w górnej warstwie atmosfery wpływają na oziębienie czy ocieplenie klimatu? I jaki może być zasięg erupcji — nagle pociągnął się za brodę. — Jak tylko znajdziemy gdzieś nożyczki, obetnę brodę. I przystrzygę sobie włosy. Tobie też.

Ostatni raz ostrzygł się porządnie w Quincy. Od tej pory przycinał włosy kilka razy, ale wiedział, że z miernym efektem — był jeszcze bardziej rozczochrany.

— A co z wulkanami? — nalegała Thea.

Zrobił niecierpliwy gest i zaczął iść.

— Nie wiem. Powiem ci, kiedy sobie przypomnę.

— Myślisz, że to pogorszy sytuację? — spytała łagodnie.

— Jestem pewny, cholera, że jej nie polepszy! — odwrócił się gwałtownie i raz jeszcze popatrzył na południe, po czym ruchem ręki pokazał, by szła za nim. W drugiej ręce dziwacznie, jak berło, trzymał łom.

— Powinieneś go zaostrzyć na jednym końcu — zasugerowała mu, gdy przeszli kilka mil. Nic nie odpowiedział.

Tego wieczora obserwowali widowiskowy zachód słońca przebijającego się przez chmurę dymu i rozjaśniającego całe niebo płonąca poświata, która zmieniła nawet wymarłe, puste góry w krainę baśniowej piękności. Na skraju łąki Thea i Evan przerwali ścinanie sosnowych konarów i patrzyli w zachwycie na ten cudowny widok. Smugi słońca przesuwwały się dumnie, jak proporce, a intensywne barwy czyniły widowisko nierealnym.

Jednak wciąż nie mieli co jeść, ani tego wieczoru, ani rano. Mieli za to na karku głodnego niedźwiedzia, węszącego wokół ich legowiska, szukającego wśród sosnowych gałęzi.

Thea leżała nieruchomo, mokra ze strachu. Wabiony ostrym zapachem potu niedźwiedź rozgarniał konary, niepewny, czy sprawa jest warta zachodu. Poczula na szyi ciepły, smrodliwy oddech i gałęzie nad nią zaczęły się rozsuwać. Chciała zawołać na pomoc Evana, ale głos zamarł jej w gardle, bo wiedziała, że nawet najcichszy szmer może sprowokować natychmiastowy atak. Leżała cicho, sam na sam z niedźwiedziem i strachem.

Nagle usłyszała jakiś ruch, głos, i zwierzę odwróciło się, zostawiając ją w spokoju. Evan natarł wywijając łańcuchem, krzycząc do Thei, żeby uciekała. Niedźwiedź ruszył ku niemu warcząc i szczerząc kły. Evan zakręcił nad głową łańcuchem jak straszliwym śmigłem i z całej siły uderzył od tyłu, w szczękę. Rozległ się trzask pękających kości, ryk bólu i zwierzę cofnęło się nieco, lecz tylko na moment, bo zaraz podniosło się na tylne łapy, gotowe szarpać i rozdzierać na strzępy zakrzywionymi pazurami. Evan odskoczył o kilka kroków. — Thea! Thea! Wstawaj!

Niedźwiedź runął na Evana, ten uskoczył pospiesznie, ponownie spuszczając łańcuch na okrwawiony łeb. Tym razem cios był jeszcze

silniejszy. Oszołomione zwierzę zawahało się na chwilę, co dało Thei czas na wydostanie się z legowiska i pochwycenie łomu. Uderzyła, za przykładem Evana mierząc w łeb. Cios chybił i Thea znalazła się w zasięgu długich, pozółkłych pazurów. Evan krzyknął ostrzegawczo i zdezorientowane zwierzę obróciło się do niego. Łańcuch ze świstem przeciął powietrze i owinął się wokół karku niedźwiedzia.

Bestia runęła naprzód i Evan zrozumiał, co się stało. Próbował wyszarpnąć łańcuch i odskoczyć, lecz cios był solidny i żelazo utkwilo głęboko. Olbrzymi niedźwiedź wyprostował się, szykując śmiertelny cios. Rozdziawiona szczeka spływała krwią w miejscu, gdzie pierwsze uderzenie Evana połamało zęby. Thea krzyknęła i chwyciła łom w obie ręce. Natarła od tyłu na rozwścieczone zwierzę i rąbnęła tak mocno w kark, że metal zadźwięczał.

Niedźwiedź zawahał się, wybierając między Evanem, jako łatwiejszą ofiarą, a nekającą go z tyłu Theą. Stał chwiejnie na tylnych łapach, warcząc urywanie. Evan dostrzegł szansę i mocno szarpnął za łańcuch. W tej samej chwili łom Thei opadł jeszcze raz. Dał się słyszeć głuchy trzask, niedźwiedź zrobił jeden czy dwa chwiejne kroki, po czym runął jak długi, wijąc się w agonii próbował pochwycić pazurami coś, co już na zawsze pozostało poza jego zasięgiem.

— Myślałam, że cię dostał — wysapała Thea, czując, że uginają się pod nią kolana. Wytworzona w organizmie adrenalina przestała działać i cała energia ją opuściła, zostawiając mdlącą słabość. Gwałtownie usiadła na ziemi.

— Myślałem, że cię dostał — powiedział równocześnie Evan, patrząc na swoje trzęsące się ręce.

— No, może teraz coś zjemy — powiedziała Thea, mając nadzieję, że to zabrzmie optymistycznie. — Dobrze byłoby coś zjeść.

— Będziemy musieli jeść surowe mięso — rzekł Evan, trącając nogą niedźwiedzia. Szmaty, którymi owinął sobie stopy, zdzierały się szybko i na śniegu koło jego pięty widniał krwawy ślad.

Zabite zwierzę było chude i wynędzniałe, jeden kieł miało złamany, a posiwiały pysk świadczył o podeszłym wieku.

— Nie mamy noża — przypomniała Thea, podnosząc łom. — Może uda się tym?

Ostatecznie zadowolili się kilkoma płatami mięsa wyszarpanego za pomocą łomu z karku i łopatek niedźwiedzia. Mięso było twarde, łykowate i żylaste, ale dodało im sił. Zjedli je z determinacją i, walcząc z obrzydzeniem, napili się ciepłej krwi, zanim zdążyła skrzepnąć. Skończywszy posiłek, wydarli jeszcze kilka pasów mięsa i z żalem zostawili resztę, nie mogli zabrać ze sobą więcej.

Tego dnia przebyli dzikie, porośnięte krzakami wzgórze, które niegdyś leżały w obszarze parku narodowego. Jakieś czterdzieści lat wcześniej Kongres przegłosował wyrąb lasu w tej uprzednio chronionej okolicy. Teraz, jak okiem sięgnąć, gęste zarośla porastały zniszczoną ziemię. Wciąż żyły tu gady i niektóre owady, lecz środki chemiczne mające przyspieszyć wzrost drzew sprawiły, że teren nie nadawał się do zamieszkania dla większych zwierząt. Po sadzonych na wyrębach sosnach i jodłach nie pozostało śladu. Kiedy nadeszła noc, Thea i Evan nie znaleźli sosnowych gałęzi na poślanie, ale obeszli się bez nich. Ułożyli się w małym wgłębieniu w pobliżu zatrutego strumienia, którego brzegi były usłane szkieletami drobnych zwierząt. Tam zasnęli przy wtórce cichej kołysanki nuconej przez trującą wodę.

Przed południem następnego dnia natrafili na miasteczko: tartak i parę przytulonych do siebie budynków. Droga przechodziła środkiem, jakby odpychając je na boki w pospiesznej ucieczce.

— Myślisz, że tu jest bezpiecznie? — zapytała Thea. Krytycz nie przyjrzała się otarciom na przegubach, gdzie metalowe okowy pozostawiły czerwone pręgi otartej skóry, wiedziała, że i Evan ma takie same. — Musimy trochę odpocząć. Znaleźć buty. I pozbyć się tego.

Evan zastanowił się.

— Nie wygląda dobrze — za blisko drogi. Wydaje się...

Jednak nie dostrzegli śladu człowieka, ani żadnych oznak bytności Piratów. Topniejący wokół budynków śnieg był nietknięty, poprzecinany z rzadka tropami zwierząt.

— Leży na uboczu — powiedziała niepewnie Thea, obrzucając spojrzeniem zaśniewane, porośnięte krzakami pustkowie.

— Tak — odrzekł Evan i zamilkł. Po chwili dodał: — Jednak musimy spróbować.

Thea mocniej ujęła łom i wzruszyła ramionami.

— Jak uważasz.

Okrążyli miasteczko, przedzierając się przez głęboki miejscami śnieg i gęste zarośla, przypadając do ziemi, gdy jakaś spróchniała gałąź trzasnęła im pod nogami. Zatoczywszy łuk, weszli do miasta od zachodu, ostrożnie unikając drogi i płatów śniegu na poboczach, wiedząc, że pozostawione ślady zdradziłyby ich obecność. Nie znaleźli niczego, co wskazywałoby na czyjąś obecność, nawet kiedy podeszli bliżej. W końcu stanęli na błotnistej, zarośniętej dróżce, kilkaset stóp od najbliższego domu.

— Pułapka? — spytała Thea.

— Nie wygląda na to — odparł Evan, lecz trzymał łańcuch w pogotowiu. Wiedział, że gdyby to on mieszkał w tym miasteczku, nie pokazywałby się przybyszom. Czekaliby cicho, dobrze ukryty, aż nieproszeni goście podejną bliżej.

— Wejdziemy? — zważyła łom w ręce.

Podjął decyzję, przytaknął skinieniem głowy. Do kuchennych drzwi pozostało już tylko kilka jardów. Evan wysunął się naprzód i delikatnie popchnął zmurszałe drzwi. Otworzyły się na oścież. Nie były zamknięte. Wewnątrz znaleźli szczątki mieszkańców: cztery prawie rozłożone ciała pokryte dziwną, fosforyzującą pleśnią.

— Skażenie chemiczne. Pewnie próbowali uprawiać tu ziemię — zawyrokował, klękając przy jednym z nich. — Fatalnie. Jednak oprócz tego wszystko wydaje się być w porządku. To nie trąd i nie rak.

— To jeszcze nic nie znaczy — odparła sucho Thea. Przeszukała kuchnię i znalazła dwa lub trzy ostre noże oraz tasak.

— Jest trochę przetworów — stwierdziła. — Domowej roboty. Bez dat.

Evan podniósł się z klęczek.

— Oczywiście, mogą być również zatrute. To chcesz powiedzieć? Jeżeli zrobili je po przyskaniu lasu... A tego nie możemy wiedzieć.

— Nie możemy — przytaknęła, wracając do kuchni.

Evan poszedł za nią, gwałtownie wycierając ręce w postrzępiony habit.

— Musimy zaryzykować. Nie mamy wyboru.

— A jeśli nie zjemy niczego?

Bezradnie rozłożył ręce.

— Wyjrzyj na zewnątrz. Minie dużo czasu, zanim znajdziemy coś innego. Jeżeli nie posilimy się tutaj, umrzemy z głodu.

— Rozumiem — oparła się o kuchenny stół, spoglądając na porozrzucane wokół sprzęty. — Nie ma drewna. Będziemy musieli łamać meble, jeżeli zechcemy zapalić ogień. Nie ma też wody w kranie. Już próbowałam.

Odłożył łańcuch.

— Nie zatrzymamy się tu na długo. Tylko dopóki nie uwolnimy się od kajdan i póki stopy się nam nie zagoją.

— Albo dopóki nie umrzemy, jak tamci.

Na tym stanęło.

Wkrótce znaleźli pilniki i po ciężkiej pracy udało im się przeciąć okowy. Pozostawiona w łazience maść okazała się dobrym lekarstwem na ich otarcia: zagoiły się po paru dniach, a czerwone pręgi znikwały szybko. Zakopali ciała, a później zabrali się do sortowania słoików z żywnością i przystąpili do realizacji planu systematycznych wypraw do innych domów w poszukiwaniu butów i odzieży. W rezultacie uzyskali oszałamiającą ilość przydatnych rzeczy. Evan, natrafiwszy na odpowiednie nożyce, przystrzygł sobie brodę i włosy. Po dłuższych namowach udało mu się przekonać Theę, by pozwoliła mu się ostrzyć.

— Chyba nie chcesz, żeby się tak plątały i spadały ci na oczy — mówił łagodnie, dotykając jej głowy. — Nie bądź niemądra, Thea.

— Podoba mi się tak, jak jest — z uporem wysunęła podbródek. W jej oczach pojawił się cień niepokoju. — Nie musisz tego robić — wybuchnęła. — Poradzę sobie.

Nagle zrozumiał.

— Słuchaj, Thea. To nie jest żaden podstęp. Nie chcę cię do niczego zmuszać. To twoje włosy i możesz z nimi robić, co chcesz, ale są bardzo brudne, zaniedbane i sprawiają ci kłopot. Sama tak mówiłaś. Jednak jeżeli nie chcesz, to nie. Ja swoje obcinam.

— Dobrze. Ja swoje tylko muszę umyć i uczesać.

Podał jej grzebień i patrzył, jak usiłuje rozczesać splątane kędziory.

— Pozwól mi je przyciąć — rzekł ponownie, gdy grzebień się złamał.

— Właśnie miałam się zabrać za kusze — wymruczała, lecz Evan wiedział, że nadal obawiała się jego dotknięcia, nawet bliskości jego ciała. Blizna na policzku, gdzie uderzył ją brat Roccus, była już prawie niewidoczna, a pierś zagoiła jej się już dawno, ale inne rany wciąż pozostały otwarte, jątrzące, ukryte głęboko. Gdyby tylko nie pragnął jej tak bardzo, gdyby była mu obojętna, pogodziłby się z tym bez żalu. Siedziała w ponurym milczeniu, gdy Evan sprawnie operował nożyczkami.

Cztery dni później, w czystych ubraniach, zaopatrzeni w żywność i nowe kusze, znów ruszyli na południe — w kierunku Truckee i wzgórz otaczających jezioro Tahoe. Po dwóch dniach dotarli do Truckee, lecz tam unoszona przez wiatr sadza mówiła sama za siebie, tak samo, jak ciała ośmiu mężczyzn wbitych na pale przy wjeździe do miasta. Nie żyli od niedawna i wokół unosił się potworny smród.

— To coś nowego — powiedział Evan, widząc złowieszcze pale i ich okropne brzemie.

— Piraci?

Spojrzał na twarze zamordowanych, ale niewiele pozostało w nich ludzkiego.

— Nie wiem. Możliwe. Jednak nie przybyli tu z Graeagle. Może z Auburn. W zeszłym roku Cox chciał założyć tam bazę. Obiecywał, że to zrobi, kiedy przejmie władzę. Jeżeli to Piraci, to mogą dotrzeć do Tahoe przed nami albo później.

Zmarszczył brwi i spojrzał jeszcze raz.

— W ten sposób chcą odstraszyć innych. To znak, by trzymali się z daleka. Pewnie patrolują drogę. Oni nie żartują, Thea.

Znów zobaczył Coxa, ukryte pod opalenizną piegi na poczerwieniałej od słońca twarzy. Tak nieszkodliwie wyglądał ten Cox, dopóki nie zajrzało mu się w oczy i nie dostrzegło ziejącej z nich nienawiści. Cox mógł wydać rozkaz nabicia tych mężczyzn na pale tylko dla zabawy.

— Nie podoba mi się to. Chodźmy, Evan — Thea ruszyła drogą wiodącą do miasta. — Może się nam uda, jeżeli zachowamy ostrożność.

— Nie, nie tędy. Musimy ominąć centrum miasta i przeciąć autostradę po tej stronie Jeziora Donnera. Tam droga zatacza szeroki łuk, zgodnie z tym, co widzieliśmy na mapie. Nie mogą pilnować drogi przez cały czas i wszędzie, poza tym będą chcieli trzymać się blisko miasta.

Popatrzył na niebo.

— Wkrótce zacznie padać śnieg. Zostaną w domach.

— Śnieg lub deszcz — sprostowała Thea, obserwując zbierające się na niebie chmury, popychane na siebie przez południowy wiatr.

— Albo deszcz.

Evan poprawił przytroczony na plecach worek i napiął kuszę.

— Załóż bełt. Mogą na nas napaść bez ostrzeżenia — spoj rzał ostatni raz na odrażający widok. — Ciekawe, kto ich tego nauczył?

Thea założyła bełt i naciągnęła kuszę, po czym poszła za nim. Maszerowali w milczeniu, omijając płaty śniegu, by nie zostawiać śladów. Słońce przesunęło się wolno po zszarzałym niebie i ta jasna, skryta za chmurami plama pomagała im odmierzać czas. Wreszcie dotarli do wijącej się w dole autostrady. Zobaczyli kilka zniszczonych budynków i zardzewiałe skorupy samochodów.

— Jak myślisz? — zapytał Evan, czujnie spoglądając na drogę.

— Nic nie słyszę. Żadnego ruchu.

— Hmm — mocniej ujął kuszę. Po chwili Thea powiedziała:

— Te pale, to nie twój pomysł? — spojrzała pytająco.

— Nabijanie na pal? — uniósł jasne brwi, niewymownie zdziwiony.

— Uważasz, że byłbym do tego zdolny?

Z ulgą i poczuciem winy potrząsnęła głową.

— Znałem ten sposób. Każdy, kto coś pamięta z historii, znał go. Jednak nigdy tego nie robiłem. Nigdy — popatrzył na nią, na pasmo siwych włosów i twarz, na której nigdy nie gościł uśmiech. Poczuł głęboki smutek, że musiała się urodzić w tym okrutnym świecie, w którym ludzie nabijali innych na pale, gdzie nie znano radości, gdzie nawet nadzieja była luksusem.

— Cieszę się, że to nie ty. Cieszę się, że ktoś inny ich tego nauczył — powiedziała, przelotnie napotykając jego pełne zgrozy spojrzenie, i znowu pogрузzyła się w milczeniu.

Chciał coś powiedzieć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Trzymając kuszę w pogotowiu, ruszył ku autostradzie.

Przejsie na drugą stronę okazało się łatwiejsze, niż przypuszczali. Nie napotkali nikogo, a po chwili zaczęło padać i gęsta, marznąca mżawka okryła wszystko szarą kurtyną. Spory kawałek od autostrady natrafili na wybebeszone, rozszabrowane pozostałości dawnego szpitala, ponure świadectwo obecności Piratów.

— Może zostawili jakieś lekarstwa. Przydałyby się. Nawet bandaże, są nam potrzebne.

— Popatrzymy?

— Myślisz, że coś zostało?

— Do zmroku mamy jeszcze parę godzin, możemy je spędzić tutaj — odparł Evan i z kuszą w ręku wszedł pierwszy przez rozbite drzwi do środka. Kiedyś była to izba przyjęć. W czterech przedzielonych przepierzeniami pokoikach splądrowane i powyciągane szuflady wciąż mieściły trochę bandaży i podstawowych medykamentów. W rogu stała szeroko otwarta szafa pancerna z zabawnie zwisającymi, wyrwanymi przez wybuch drzwiami. Najwidoczniej kiedyś zawierała narkotyki.

— Dobra — powiedziała Thea zbierając bandaże. — Jest też trochę przylepca i kilka skalpeli. Przydadzą się. Ciągłe potrzebujemy noży, a poza tym nadają się doskonale na groty do bełtów.

Bez komentarzy pozbierał skalpele i zapakował je razem ze znalezionymi kocami. Później, zupełnie przypadkowo, trafił na latarki, widocznie używane przez pielęgniarki, i zalakowane pudełko baterii.

— Będą działać? — zapytała Thea, widząc jak zakłada je do latarki.

— Zobaczę.

Wiedział, że to mało prawdopodobne i obawiał się, że Piraci nie zabrali ich tylko z tego względu, iż były bezużyteczne. Jednak, ku jego zdumieniu, latarka zaświeciła słabym światłem.

— Masz — rzekł, podając jej latarkę i biorąc sobie drugą. — Używaj jej tylko w nagłej potrzebie. Wtedy będziesz zadowolona z tego, że ją masz.

Z zachwytem przyjęła trofeum.

— Nie widziałam takiej od... — zastanowiła się — od lat. — Dokończyła niezręcznie, jakby chcąc wyrzucić coś z pamięci.

Miała siedemnaście lat, kiedy ostatni raz widziała elektryczną latarkę. Zostawiła ją w stalowej rurze zasilającej kanał nawadniający. Siedziała, patrząc jak słabnie światło małej żaroweczki i słuchając głosów farmerów przeszukujących okolicę. W rurze roiło się od szczurów i gdy latarka zgasła, Thea tłukła wokół siebie, oganiając się od napastliwych gryzoni. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

— Noś ją przy sobie — rzekł bezbarwnie. Wiedział, jak zmieniła się na twarzy i wiedział, że nie wolno mu zmuszać jej, by dzieliła się z nim myślami.

Po raz ostatni przeszukali szpital w nadziei znalezienia jeszcze czegoś przeoczonego przez Piratów. Właśnie wtedy Evan znalazł trupy wepchnięte do szafy. Zabici nie żyli od paru tygodni i nie umarli lekką śmiercią.

— Piraci? — zapytała Thea Evana, który cofnął się przed falą smrodu.

— Tak — odparł, gdy odzyskał mowę. — Jeden z nich, ten bez skóry na ramionach i z dodatkowym palcem u ręki — wskazał na okrutnie pokiereszowane zwłoki — to Cox.

Thea spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Cox? Myślałam...

— Ja też. Widocznie u nich też wystąpiły mutacje.

Z wymuszonym spokojem przyjrzał się gnijącym trupom. Oprócz oparzeń, zdartego naskórka i innych śladów tortur, dostrzegł

zregenerowane tkanki i nowe palce — wciąż jeszcze, pomimo postępującego rozkładu, mające różowawy kolor.

— To zmienia sprawę — powiedział.

Na drugi dzień, późnym popołudniem, usłyszeli brzęk silników. Wybrali drogę biegnącą na południe od Tahoe, mając nadzieję znaleźć Squaw Valley, bowiem tam mogli być bezpieczni, jeśli szalona Margaret Cornelia miała rację. Nawet jeżeli się myliła, to nie znajdą się w gorszej sytuacji niż obecnie.

— Wozy? — spytała niepewnie Thea.

— Tak mi się wydaje — Evan już kierował się ku przydrożnym chaszczom. — Pospiesz się, Thea.

W chwilę później pojawiły się dwa pojazdy, każdy z kierowcą i uzbrojonym w dubeltówkę pomocnikiem. Sprawnie przemknęły zniszczoną drogą, wymieniając między sobą niezbędne sygnały. Evan przyglądał się temu uważnie i gdy znalazły się poza zasięgiem wzroku, powiedział:

— Wygląda na to, że mają zamiar zająć część Tahoe.

— Co to znaczy? — Thea poczuła przebiegający po plecach dreszcz.

— To znaczy, że musimy się trzymać z dala od jeziora, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej — Evan znowu pomyślał o Margaret Corneli, zamkniętej w starym domu na pustkowiu, którą kiedyś wysłano by do domu wariatów. — Mam nadzieję, że miała rację co do Squaw Valley. Potrzebujemy takiego właśnie miejsca. Możemy poświęcić parę dni na przeczesanie zachodnich wzgórz. To musi być gdzieś tam. Znajdziemy i sprawdzimy naocznie. Może będziemy mogli tam zostać.

— Tylko co znajdziemy? I czy zdołamy się obronić przed Piratami, których tak dobrze wyszkoliłeś? — wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale nie sposób było cofnąć słów. Trafiła go celniej, niż przypuszczała.

— Kiedyś to byli moi Piraci, ale nie teraz. Zapomniałaś o Chico, Thea?

Miała ochotę przeproszać i błagać o wybaczenie, lecz zdołała jedynie spuścić oczy i powiedzieć:

— Jeżeli mamy znaleźć dolinę, to lepiej zacznijmy szukać od razu.

Tego wieczora, podczas skromnej kolacji, znów próbował pociągnąć ją za język i dowiedzieć się, co ją tak rozzłościło, ale Thea trwała w upartym milczeniu. Ułożyła się do snu najdalej, jak mogła, nie tracąc kontaktu z ciepłym ogniska. Milczała też przez cały następny dzień, gdy przedzierali się przez gęste poszycie sosnowego lasu. Twarz miała zupełnie pozbawioną wyrazu i unikała jego spojrzeń. Odezwała się tylko raz, by pokazać Evanowi rozjeżdżone i zarośnięte resztki drogi ginącej pod starym osuwiskiem.

— Jak myślisz? Czy to ta dolina? — zapytał Evan ze źle ukrytym podnieceniem.

Thea wzruszyła ramionami i mruknęła coś pod nosem pragnąc skrycie, by mogła przemóc się i dotknąć jego ciała bez nienawiści do siebie.

— Tak sędzę.

Evan popatrzył na nią, myśląc o długiej wspinaczce na zbocze i ewentualnym rozczarowaniu.

— A jeżeli tam nic nie ma? — w jej pytaniu zawarte były lata gorzkości i samotności.

— To będziemy szukać dalej, aż znajdziemy, Thea. Tylko tyle możemy zrobić.

— Aż wpadniemy w ręce Piratów.

— Och, Thea — zamierzał uścisnąć jej ramię, lecz usunęła się na bok. Opuścił rękę. — Lepiej chodźmy.

Zmierzchało już, gdy przeszli na drugą stronę osuwiska. W mroku, otoczona uściskiem ośnieżonych wzgórz, leżała dolina. Po jednej stronie wznosiły się trzy duże budynki, zaniedbane, lecz nietknięte. Strone zbocza były usiane domami i domkami. Daleko, na końcu doliny, stała budowla o wielu małych wieżyczkach oplatanych porwanymi i zardzewiałymi przewodami, z których zwisały kawałki drewna. W nikłej poświacie widzieli dość, by stwierdzić, że ta opuszczona i ukryta dolina przetrwała w morzu zniszczenia. Ocaliły ją śniegi i osuwisko.

— No, Thea — rzekł z ulgą Evan, kiedy schodzili na dół. Śnieg przecinały liczne tropy zwierząt, lecz w miękkich zaspach nie dostrzegli

śladów ludzkich stóp. Dno doliny było szerokie i łatwe do przebycia. Evan pokazywał Thei domy, świecąc latarką.

— Który wybierasz? Na górze czy na dole? Gdzie chcesz mieszkać?

Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że czas i zimy pobrały swoją daninę. Niektóre domy zapadły się pod ciężarem śniegu, inne, pozbawione oparcia, przechyliły się niebezpiecznie — ale większość, dobrze usytuowana i wytrzymała, stała nietknięta, czekając na właścicieli. W końcu promień latarki padł na ośmiokątny budynek z wysoką werandą, przycupnięty na zboczu góry.

Zamiast wielkich tafli szkła, jakimi pyszniło się wiele budynków, ten, rozsądnie zaprojektowany, miał tylko wysokie, wąskie okna na każdej ścianie. Ze stromego dachu wystawał komin, wskazując na obecność pieca, a spod śniegu sterczała karbowana, plastikowa rura, cała mimo zmian temperatury i ostrego klimatu.

— Ten — powiedziała Thea, ruszając ku ośmiokątnej wieży.

— Są większe — rzekł Evan, pokazując jej bardziej luksusową willę.

— Trudniej byłoby ją ogrzać — odparła szorstko, nie zwalniając kroku. Idąc, wpatrywała się w dom, jak żeglarz w latarnię morską, oznaczającą bezpieczny port podczas szalejącej burzy.

Evan wiedział, że Thea miała rację. W ich świecie nie było miejsca na luksus. Pewnie kroczył przez cichą dolinę w ślad za Theą ku oczekującemu domowi.

IX

Dom był starannie zabezpieczony. Odnalezienie drzwi do garażu, wciąż częściowo schowanych pod śniegiem, zabrało im sporo czasu, a podważenie zamka tak, by można je podnieść i wśliznąć się do środka, jeszcze więcej. Kiedy już znaleźli się wewnątrz, bez trudu zdjęli z zawiasów kolejne drzwi i weszli po schodach do pokoju.

Thea pierwsza pokonała stopnie i znalazła się w pomieszczeniu zajmującym połowę ośmiokąta. Tak jak się spodziewała, znalazła tam duży, częściowo otwarty kominek, a obok niego ładnie ułożone drewno. W pokoju nie było przeciągu — przewód kominowy przezornie zamknięto. Ktoś, kto zaprojektował i wybudował ten dom, przewidział wszystko — pomyślała Thea.

Po jednej stronie kominka znajdowały się kręte schody prowadzące na piętro, a po drugiej przejście do przestronnej kuchni, gdzie stał piec opalany drewnem, a obok niego staromodny bojler na wodę.

— Niewiarygodne — powiedział Evan, patrząc na antyczne urządzenie. — Przecież to wyszło z użycia ponad osiemdziesiąt lat temu. Ciekawe, skąd go wytrzasnęli?

— Nic mnie to nie obchodzi — rzekła Thea — byle tylko działał. Przeszukawszy kuchnię odkryli dobrze zaopatrzoną spiżarnię i szczelnie zamknięte puszki z mąką, wszystkie opatrzone etykietkami. Znaleźli nawet duży słoik miodu, skryształizowanego ze starości, ale zachowującego swój bursztynowy kolor i słodki zapach. Na ścianie wisiała półeczka z przyprawami, piętnaście małych, zakręconych słoiczków stało przy młynku do kawy.

W całym domu unosił się smutny zapach stęchlizny, jakby dom opłakiwał swoją samotność. Ten zaduch przeniknął wszystko, przydając obcości pokojom, sprawiając, że wielkie poduszki w salonie wydawały się płaskie, kuchnia mniej zaciszna, a pomieszczenia na piętrze przypominały strych. Thea poniechała ostrożności i otworzyła dwa okna w sypialence nad kuchnią. Kiedy rozglądała się po domu, Evan zajął się rozpalaniem ognia. Po dwóch czy trzech nieudanych próbach uregulował

przepust przewodu dymnego i kominek zaczął ciągnąć prawidłowo. Płomyki radośnie skoczyły z wysuszonych bierwion, by przegnać półmrok. Gdy w domu zrobiło się cieplej, Evan poszedł do kuchni, aby rozpaść w piecu i przygotować wieczorny posiłek. Z zadowoleniem stwierdził, że w spiżarni jest wystarczająca ilość konserwowanych produktów, by przyrządzić urozmaiconą kolację. Wybrał konserwę z kurczaka, myśląc o tym, że od dawna już nie jadł kury, chociaż widział je parokrotnie. Do rondla dodał brzoskwiń, gałki muszkatołowej i innych przypraw. Zapach był oszałamiający. Wstawiwszy naczynia do piekarnika, otworzył puszki z bostońskim chlebem razowym i fasolką szparagową, po czym podgrzał ich zawartość w osobnych, emaliowanych garnkach. Ucztę uzupełnił czymś w rodzaju czekolady do picia, sporządzonej ze sproszkowanego mleka, cukru i polewy do piernika. Znalazł też pięć butelek brandy, ale odstawił je na bok. Może kiedyś będą bardziej niż teraz potrzebowali czegoś na rozgrzewkę.

Kiedy zjedli, przez chwilę siedzieli w milczeniu. Duże, aromatyzowane świece rozpraszały ponury mrok.

— Chcesz się wykąpać? — zapytał Evan, zbierając talerze.

— Muszę się przespać — Thea wpatrywała się w fusy po czekoladzie.
— Jestem zmęczona.

— Więc może rano, co? — wstał i zaniósł naczynia do zlewu.

— Nawet nie wiemy, czy jest woda — powiedziała, ale podniosła się i poszła za nim. Evan przekręcił kran. Pocięło trochę brunatnej cieczy.

— Nie wiemy — zgodził się. — Może uda mi się to naprawić. Z tyłu jest pompa...

— Spróbuj rano.

Na górze w cedrowej komodzie znaleźli czystą pościel i ciepłe podomki na watolinie, zadziwiająco lekkie. Po krótkiej debacie Thea wybrała mniejszy pokój, mówiąc, że jest cieplejszy, chociaż Evan podejrzewał, że po prostu nie chciała spać w podwójnym łóżku. Z pewnością piętrowe koje wydały jej się bezpieczniejsze, mniej odsłonięte niż wielkie łoże Evana.

— Kolacja była bardzo dobra, Evan — powiedziała sennie, jakby wzmianka o tym wyzwoliła w niej jakąś sprężynę.

— Tak — zgodził się niepewnie.

— W Camminsky Creek czasem jedliśmy kurczaki. Już zapomniałam, jak smakują. Ten zapach... Nic tak nie pachnie jak pieczony kurczak. Wydawało mi się, że znów jestem w domu.

— Wiem. Mamy więcej takich konserw. Ludzie, którzy tu mieszkali, musieli obawiać się, że śnieg odetnie dolinę od świata. Tu jest dość jedzenia na trzy miesiące.

— Trzy miesiące...

Roześmiał się.

— Na razie nie mamy się co martwić. Nawet jeżeli zostaniemy dłużej, są jeszcze inne domy. Możemy je przeszukać.

— Zaczniemy jutro — powiedziała, kierując się do sypialni.

— W porządku — powiedział do zamkniętych drzwi. — Jutro.

Następnego ranka Thea wolno otworzyła oczy i przez moment przeraziła się, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie jest i co się stało z Evanem. Jednak kiedy dotknęła miękkiej podomki i poczuła miły zapach gotującego się jedzenia, wszystkie wydarzenia poprzedniego dnia stanęły jej w pamięci. Chciało jej się płakać, krzyczeć lub biec przed siebie, żeby bez słów dać upust ogarniającym uczuciom, ale nie zrobiła tego. Otuliwszy się szczelnie podomką, z przesadną ostrożnością wstała z łóżka i zeszła po schodach. Była boso i pomyślała sobie, że rzadko zdarzało jej się ruszyć na krok bez butów, a tu mogła się poruszać bezpiecznie bez broni i obuwia, w podomce. Wcale nie miała ochoty założyć brudnego, śmierdzącego ubrania. Podomka była miła i czysta.

— Dzień dobry — zawołał Evan na jej widok. — Za dziesięć minut będzie śniadanie, ale najpierw kąpiel! — uśmiechem dodał jej odwagi, trzymając się z daleka. — Jest gorąca woda, naprawiłem pompę i łazienka czeka. Przygotowałem ci mydło i ręczniki. Idź, Thea. Ja już się wykąpałem.

Jego wygląd wskazywał, że wyszorował się drucianą szczotką, bo skórę miał zaczerwienioną, a wilgotne włosy przylgnęły mu do czaszki.

Nawet przystrzygł brodę i wyczyścił paznokcie.

Nic nie mówiąc, przyjemnie zdziwiona Thea weszła do łazienki i sceptycznie popatrzyła na wannę: dużą, jasnoczerwoną, na lakierowanych nóżkach. Najwidoczniej w tym pomieszczeniu skromni właściciele popuścili cugli swemu umiłowaniu zbytku. Umywalka była również czerwona, a nad nią pokryte skraplającą się parą szerokie lustro świadczyło o bytności Evana. Kilka jasnych włosów w umywalce napełniło Theę dziwnym niepokojem. Czuła się zakłopotana — nigdy nie widziała czegoś takiego. Wszędzie, gdzie zawędrowała, łazienki urządzone były ze spartańską prostotą. To pomieszczenie i świadomość obecności Evana sprawiały, że czuła się niezręczna i zawstydzona.

Niepewnie podeszła do wanny i spojrzała na krany. Bardzo wolno, jakby bojąc się, że wyleci w powietrze, przekręciła rączkę z napisem „gorąca”.

Z kranu trysnęła woda i z wesołym pluskiem uderzała o dno wanny, wzbijając obłok pary. Thea ponieważ przypomniała sobie, że nie zatkała otworu odpływowego i spróbowała zakręcić kran. Krzyknęła cicho, oparzywszy sobie palce. W jednej chwili Evan stał pod drzwiami.

— Wszystko w porządku, Thea? — zapytał z troską.

— Nie wiem, co robić — wyznała, odwracając się do drzwi. — Pomóż mi. Nie pamiętam, jak to się robi. Kiwnął głową i wszedł do łazienki. Pokazała mu palcem przyczynę nieszczęścia. Pociągnął za rączkę i woda przestała lecieć. Później wziął gumową zatyczkę z mydelniczki, umieścił ją na miejscu i znów przekręcił rączkę. Wanna zaczęła się napełniać.

— Jaką chcesz wodę? — zapytał, starając się na nią nie patrzeć. Utrzymywanie dystansu stało się szczególnie trudne teraz, gdy byli bezpieczni i mieli czas, by się lepiej poznać.

— Ciepłą? — zaryzykowała, wciąż myśląc o liczbie wiader potrzebnych do napełnienia wanny.

Evan ustawił rączki na odpowiednią temperaturę i czekał, aż naleje się dostatecznie dużo wody. Zamknął dopływ i wyprostował się.

— Powinno wystarczyć — powiedział i gwałtownie opuścił łazienkę.

Minęło przeszło dziewiętnaście lat, od kiedy Thea po raz ostatni kąpała się w prawdziwej wannie. Słabo przypominała sobie dom pod Sacramento i chłodne pokoje, w których błyszczące aparaty z warcząca sprawnością walczyły z letnim upałem. W Camminsky Creek też mieli wanny, ale napełniali je wodą z wiader i garnków podgrzewaną na piecu. Weszła do parującej kąpieli, prawie boleśnie smakując zapomnianą przyjemność. Marzyła od tak dawna, że teraz uczucie ciepła wydawało się czymś bolesnym, a używanie tak wielkiej ilości gorącej wody, tylko po to, by się umyć, wyglądało na karygodne marnotrawstwo. Wyciągnęła się wygodnie, czując jak schodzi z niej brud i rozluźniają się napięte mięśnie. Mydło pachniało słodko i pieniało się obficie, nie tak jak te, którymi zdarzało jej się myć dotychczas. W końcu wyszła z łazienki owinięta w ogromny ręcznik, jaki przygotował dla niej Evan. Czuła się jak ktoś inny — ktoś, kto zawsze mieszkał w ciepłym domu, kąpał się w gorącej wodzie i jadał kurczaki. Mokre kędziory okalały jej zarumienioną twarz, a w kąciku ust kryła się zapowiedź uśmiechu.

— Śniadanie gotowe — powiedział, stawiając przed nią gorące bułeczki, dżem, trochę owoców z puszki i skondensowane mleko. W filiżankach dymiła kawa: coś, czego Evan nie pił od lat, a Thea jeszcze nigdy w życiu.

— Smakuje? — zapytał, gdy skrzywiła się, pijąc gorzki płyn.

— Jeszcze nie — odpowiedziała z determinacją — ale posmakuje. Na pewno.

— Nie musisz pić kawy. Jest herbata. Mogę ci zrobić.

— Och, nie. Naprawdę to polubię — odparła, zamykając sprawę.

Tak jak chciała, spenetrowali sąsiednie domy w poszukiwaniu żywności i innych użytecznych rzeczy. Ludzie, którzy mieszkali w Squaw Valley, z całą pewnością nie pędzili mnisiej egzystencji. Pozostało po nich mnóstwo cennych przedmiotów. Niektóre z nich zdołały zadziwić nawet Evana. Na ścianach wisiały obrazy wahające się od amatorszczyzny do oryginalnych arcydzieł, półki uginały się pod ciężarem książek, a obok oprawnych w skórę grzbietów lśniły chromem elektroniczne cacka i milczące głośniki. Były kurtki i płaszcze z futer dawno już nie

istniejących zwierząt, klejnoty jak krople tęczy w szufladach mebli rywalizujących z nimi pięknnością, buty i sandały w tylu fasonach i kolorach, że zde gustowana Thea przestała je mierzyć.

Jeden dom zapełniały instrumenty muzyczne: dziwne, płaskie aparaty z guzikami, kablami lub strunami, podłączone do wzmacniaczy i kolumn zamilkłych na zawsze z braku prądu. Evan zaczął przeglądać kolekcję płyt gramofonowych, bogatszą od znalezionych dotychczas. Wyjmował je na chybił trafił, potrząsał głową i odkładał kartonowe koperty na miejsce. Nagle zeszywniał i wolno wyciągnął kolejną płytę z półki. Oszołomiony odwrócił się do Thei.

— Spójrz — powiedział, pokazując jej płytę.

— Co to? — spytała bez szczególnego zainteresowania. Głaskała kurtkę z nerek w morelowym kolorze — bardzo ciepłą i tylko trochę za obszerną.

— To mój ojciec — rzekł z niedowierzaniem. — To mój ojciec. Zaciekawiona, odłożyła kurtkę i podeszła bliżej.

— Co on robi? — spytała, widząc zdjęcie mężczyzny w średnim wieku, wywijającego cienką, długą pałeczką. Mimo że fotografia była stara i wyblakła, w człowieku czuło się jakąś energię i piękno.

— Dyryguje — z trudem, chrapliwie odparł Evan. — To symfonia Mozarta.

— Dyryguje? Orkiestrą? A Mozart to ten, o którym rozmawialiście z Rudym Zimmermannem?

— Tak.

Evan cisnął płytę o ścianę i trzaskając drzwiami wybiegł z domu.

Nieco później Thea znalazła go w salonie. Siedział ze szklanką jasnobursztynowego płynu w dłoni i na pół opróżnioną butelką pod ręką. Patrzył przed siebie mętnym wzrokiem, a kiedy się odezwał, jego głos brzmiał niewyraźnie.

— Dlaczego mnie zostawiłeś? — Thea jak zwykle trzymała się w bezpiecznej odległości, ale w jej głosie słychać było szczerą troskę. — Co się stało?

— Z moim ojcem? — nawet na nią nie spojrział, nie zauważył bobrowej kurtki narzuconej na gruby, wełniany sweter. — Umarł.

— Nie o to...

— W Londynie. W 1998. Kiedy wybuchła epidemia cholery. Wtedy wszyscy tam umarli. Ciała leżały... Śmierdziały, cały Londyn śmierdział — Evan pociągnął łyk koniaku i twarz mu się wydłużyła. — To było... takie piękne miasto. Zaraza je wykończyła. Zdziesiątkowała ludzi.

Thea przysunęła się bliżej.

— Evan, czemu nie..:

— Taka strata — znów przerwał jej ochryple. — Całe miasto diabli wzięli, bo mieszkało w nim za dużo ludzi. Każdy czegoś chciał. Nowego samochodu. Telewizji. Niemnących ciuchów. Lodówek pełnych żarcia. Wszyscy tego chcieli. — Przerwał na moment, potrzebny by wychylić resztę brandy i nalać sobie jeszcze. — Choć, prawdę mówiąc, to nie była ich wina. Nie. Nikt im nie powiedział prawdy. O nie. Po co komu prawda. Dzięki prawdzie — tu pogroził Thei palcem — nie wygrywa się wyborów. Ani nie sprzedaje gazet. Prawda nie jest popularna. Więc umarli.

Urwał nagle.

— Tak więc żyjemy niczym Goci — na ruinach świata. Znów nadszedł Wiek Ciemności.

Z jego gardła wydobył się bulgoczący dźwięk.

— Będę rzygał. — Wstał chwiejnie i wytoczył się z pokoju. W chwilę później Thea usłyszała, jak wymiotuje w łazience.

— Evan! — przestraszona pobiegła za nim i znalazła go pochylonego nad muszlą. Jego twarz przybrała zielonkawą barwę.

— Jestem pijany, Thea. Trzymaj się z daleka.

Zawahała się, lecz podeszła bliżej, zaniepokojona.

— Powiedziałem, trzymaj się z daleka! — krzyknął. Stanęła jak wryta.

— Dlaczego? Przecież potrzebujesz pomocy. Evan, co się stało?

Pomimo swego stanu wyczuł jej niepokój i troskę. Powoli wytarł usta w czysty, miękki ręcznik i upuścił go z grymasem. Siadł na krawędzi wanny i gestem zachęcił Theę, by podeszła.

— Nie powiedziałbym tego, gdybym był trzeźwy — zaczął, starając się mówić wyraźnie. — Nie, nie uciekaj. Nie zrobię ci krzywdy. Daję słowo.

Widział, że chciała uciec z łazienki.

— Jesteś zupełnie bezpieczna. Nie jestem aż tak pijany. Gdybym chciał cię wziąć wbrew twojej woli, zrobiłbym to już dawno. Nie mógłbym ci tego zrobić, Thea. Jednak... Jednak nie jestem z kamienia. Znam cię i pragnę — bardzo. To wszystko. Nie potrafiłbym... zranić cię, Thea. Wiem, co to krzywda i co się dzieje ze skrzywdzonym człowiekiem. W porządku. Może nie rozumiem tego w pełni. Ale nie zrobiłbym ci tego — potarł oczy, jakby próbując wytrzeć z nich opary alkoholu i wspomnień. — To już prawie rok, jak zaczęliśmy wędrować razem, od kiedy ocalałaś mi życie w tym silosie. Wiele przeszliśmy razem. Bez ciebie nie przeżyłbym. Umarłbym już dawno. I poznałem cię, Thea. Wiem, jaka jesteś. Szanuję cię. I pragnę. Nie kłamię — jego palce zacisnęły się na jej dłoni, którą próbowała wyrwać. — Może to niemożliwe. Może nie ma sposobu. Jednak obiecaj — z trudem wypuścił jej rękę. — Nie mów „nie”. Obiecaj, że to przemyślisz.

Przestraszona, skinęła głową, ale nie wpadła w panikę. Wyszła z łazienki i Evan pogrążył się w rozpacz. Wiedział, że nie powinien jej tego wszystkiego mówić, że nie mogła sprostać jego pragnieniom. To nie pożądanie — mówił sobie w duchu. A jeżeli tak, to zaledwie część jego uczucia do niej.

Po krótkiej chwili wróciła, niosąc filiżankę zimnej kawy.

— Myślę, że to ci pomoże. Pamiętam, jak matka mówiła tak kiedyś do ojca.

Evan bez słowa przyjął podany napój i wypił go, nie czując okropnego smaku. Przyszło mu to o wiele łatwiej niż słowa. Trzeźwiało z każdą chwilą i już czuł pierwsze nieprzyjemne objawy kaca, silniejsze nawet od ogarniającego go wstydu. Opróżniwszy filiżankę, oddał ją Thei, patrząc jak zaciska na niej silne, smukłe palce.

Na drugi dzień wybrali się obejrzeć stadiony i hotele. Trafili do sklepiku pełnego zimowych okryć i innego, znajdującego się w pobliżu,

oferującego ładne, bezużyteczne drobiazgi kupowane na pamiątkę pobytu w Squaw Valley.

— Pamiątki — wyjaśnił Evan, podnosząc metalową, niedbale wykonaną figurkę jelenia z napisem „Squaw Valley” wydrapanym na boku. — Ludzie kupowali miliony takich rzeczy.

Na jednym stojaku stały tanie, broszurowe wydania w większości rozsypujących się książek, a na drugim buteleczki z aspiryną, szampony, pasty do zębów i kremy do opalania.

— Co ludzie tu robili? Po co przyjeżdżali? — zapytała Thea, gdy przechodzili obok dolnej stacji zrujnowanego wyciągu narciarskiego.

— Uprawiali sporty zimowe. Łyżwiarstwo, saneczkarstwo. Wszystko, co wiąże się z zimą. Hokej, narciarstwo. To była zabawa! Przyjeżdżali tu z Wybrzeża i z nizin, żeby wy szaleć się na śniegu. Potem wracali do miast: opaleni, wypoczęci, zadowoleni z siebie. Sam grywałem w hokeja, kiedy uczyłem się w szkole średniej.

Spojrzał na otaczające ich góry, na śnieg uparcie trzymający się poszarpanych turni, na wystrzępione frędzle sosen broniących się przed zimą, wyciągających czerwone szpilki do słońca. Śmiech i radość na zawsze opuściły dolinę.

Jednak zrobiło się przyjemniej, gdy przyszła wiosna, z początku nieśmiało, później z łagodną stanowczością dodawała okolicy uroku. W powietrzu pojawił się nowy zapach, którego nie zdołał zagłuszyć smrodliwy oddech wulkanu — woń świeżej trawy. Wezbrane strumienie pluskały niezliczonymi wodospadami, a z ziemi wychyliły się zielone łodygi mniszka — drobniejsze niż zwykle, lecz wciąż pachnące i smaczne. Dni wydłużyły się w tygodnie i szybko minął miesiąc.

— Co ze zwierzętami? — zapytała Thea, sortując puszki konserw. Miesiąc regularnego odżywiania sprawił, że jej kształty zaokrągliły się, nabrała ciała i sterczące uprzednio kości schowały się w miękkich wypukłościach.

— Chyba jesteśmy zbyt blisko Tahoe — odparł Evan. Czyścił parę małych potrzasków, które znalazł w jednym z domów. Jeżeli szczęście dopisze, może złapie w nie coś na zachodnim krańcu doliny. On też

przybrał na wadze, odzyskując trochę dawnego wyglądu, znów przypominał tego najznakomitszego z dyrygentów młodej generacji, koncertującego po całym świecie, rozchwytywanego przez towarzystwa operowe. Skończył robotę, oczyściwszy paści równie dokładnie, jak niegdyś sprawdzał klauzule kontraktów.

— Ale można spróbować. Raz czy dwa widziałem ślady rysia przy górnym strumieniu. Ten drapieznik musi się czymś żywić.

— Rysie nie — powiedziała stanowczo, mając przed oczami obraz ginącego pod lodem rysia.

— W porządku. Ryś nie. A szop?

Zastanowiła się, myśląc o mięsie, jakie jadła, by nie umrzeć z głodu, szczury i grzechotniki, kiedy już niczego innego nie było.

— Evan, na razie mamy co jeść, prawda?

— Pewnie — odparł.

— Więc zaczekajmy trochę. Jeszcze nie zakładaj sideł. Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Sądziłem, że to ty nie chcesz, żebyśmy się rozleniwili. Ty mówiłaś, że nie powinniśmy się przyzwyczajać do takiego życia.

Zmarszczyła lekko brwi i zrobiła nieokreślony gest.

— Nie wiem. Zostało tak mało zwierząt. Przecież nie musimy ich zabijać, prawda? Jeszcze nie?

— Nie, nie musimy. Jeszcze nie — obdarzył ją łagodnym uśmiechem, czując bolesne pożądanie.

— Nie założysz pułapek, Evan? — poprosiła.

— Nie. Chyba, że będę musiał — obiecał.

W ciągu paru następnych dni dym zgęstniał i od czasu do czasu grzmoty odległego wulkanu odbijały się upiornym echem od ścian doliny. Nawet w południe słońce świeciło słabo, a o zachodzie stawało się jasnoczerwone, jakby niebo odbijało żar płonącego w głębi ziemi ognia.

— Dlaczego tak się dzieje? — zapytała Thea, drepcząc ku domowi skąpanemu w blasku zachodu.

— Któż to wie? Wulkany zawsze były zagadką. Lassen często miał okresy wzmożonej aktywności, a Shasta jeszcze częściej. Kiedyś musiało się to zdarzyć. Lepiej teraz niż kiedy indziej.

Thea spojrzała na czerwoną łunę.

— Raczej nie chciałabym, żebyśmy szli na północ. Lassen i Shasta są na północy, prawda?

Evan przypomniał sobie, jak raz zatrzymał się w Islandii w okresie aktywności tamtejszego wulkanu. Pamiętał strumień lawy zalewający wioskę i płonące jak pochodnie domy.

— Tak. I ja wolałbym nie iść na północ.

Wieczorami siadywali przy kominku i Evan czytał jej urywki z wybranych na chybił trafił książek.

— A ta o czym jest? — pytała Thea, podając mu następną i siadając obok. Czasami musiał jej wyjaśniać jakieś szczegóły, bo Thea bardzo słabo znała historię, a jej wiadomości z geografii i polityki można by w najlepszym razie uznać za skąpe. Ze względu na to treść większości książek pozostawała niezrozumiała i Thea stroniła od lektury, jednak lubiła słuchać, kiedy Evan czytał jej na głos. Właśnie w środku „Dumy i uprzedzenia” przerwała mu podczas jednej z naj celniej szych wypowiedzi Elżbiety, pytając z zachmurzoną twarzą:

— Czy ludzie naprawdę tak żyli? Spędzali całe życie na martwieniu się o pieniądze, małżeństwo, stroje i przyjęcia?

— No — odparł, przytrzymując palcem miejsce, w którym przerwał czytanie — chyba tak. To książka satyryczna, więc autorka trochę przesadza, ale ludzie należący do tej sfery pewnie tylko o tym myśleli. Co innego utytułowani, bogaci, jak Darcy. Biedni żyli tak, jak zawsze żyją biedacy, ale o tym książka nie mówi. Jednak życie takich kobiet jak Elżbieta i jej siostry... tak, ich życie było dość ubogie. Pamiętaj, że to się działo dwieście lat temu. Wtedy małżeństwo było najważniejszą rzeczą na świecie, a niełatwo było znaleźć odpowiedniego kandydata na męża.

— Ale tyle gadania i spiskowania tylko po to, by połączyć dwoje ludzi...?

Stłumił śmiech.

— Taak...

Do pewnego stopnia wciąż jeszcze tak było w czasach jego młodości. Niektóre zdecydowane i utalentowane kobiety wyłamały się z takiego stylu życia, a ich ruch wyzwolenia wywalczył trochę reform, ale dla większości małżeństwo pozostało celem egzystencji.

— Nie wiem — rzekł po chwili. — Ludzie się pobierali. Ja też to zrobiłem.

Zmarszczyła brwi.

— Czy to było takie ważne?

— Co? Małżeństwo?

— Nie — warknęła. — Seks i dzieci. Czy ludziom naprawdę tak na tym zależy? Czy to jakaś różnica?

Spojrzawszy mu w oczy pożałowała, że o to zapytała, miała ochotę odwrócić się i uciec. Po chwili zdołał odpowiedzieć:

— Tak, wtedy przywiązywano do tego znaczenie.

Niezręcznie otworzył książkę i znowu zaczął czytać, lecz myślał o czymś innym. Niebawem znalazł jakąś wymówkę i zamilkł.

Dopiero późno w nocy, leżąc w łóżku, wpatrzony w ciemność, rozżłościł się. Te długie, pełne zimna i niebezpieczeństw miesiące, kiedy nie mógł sobie pozwolić na myślenie o Thei — to było zupełnie co innego. Teraz, gdy byli bezpieczni, wszystko się zmieniło. Teraz — pomyślał z goryczą — ponieważ jest czas i okazja, ponieważ nikt nas nie ściga i nie próbuje zabić, teraz to jest ważne. Bardzo ważne. Tak się zamyślił, że nie usłyszał, jak weszła do jego pokoju, przeraził się, gdy dotknęła jego ręki i usiadł gwałtownie.

— Evan? — odezwała się cichym, spokojnym głosem. — Czy to dla ciebie naprawdę takie ważne?

Odczekał chwilę, zbierając myśli, zastanawiając się, czy dobrze ją zrozumiał.

— Czy to, że cię pragnę, jest takie ważne? O to pytasz?

Skinęła głową i mruknęła potwierdzająco. Zaryzykował.

— Tak. Ważne.

Ręka jej zadrżała, ale rezolutnie nie wypuszczała jego dłoni.

— Nie wiem, czy potrafię. Ale spróbuję.

— Nie chcę, żebyś się poświęcała, Thea — odparł, niemal nienawidząc się za to, że daje jej pretekst do odejścia. Pomyślał, że pewnie jeszcze śpi i to wszystko śni mu się tylko. Poruszył palcami i poczuł szorstkie płótno prześcieradła.

— Nie próbuję się poświęcać. Pomyślałam tylko, że oni może mieli rację i to jest jednak dobre — zaczęła cofać rękę, ale nie puścił jej. Delikatnie, z czułością dotknął jej ramienia.

— W porządku. Możemy spróbować. Jeśli chcesz.

— Ale co mam robić? — szepnęła.

— Pozwól mi się dotykać — powiedział, rozwiązując pasek jej podomki. Ściągnąwszy ją poczuł, że Thea zeszywniała. Pohamował niecierpliwość, wolno i ostrożnie przesuwał dłonie po jej ciele. Odchylił kołdrę i odsunął się, robiąc jej miejsce.

— Chodź, Thea. Tu jest cieplej.

Z wdzięcznością wskoczyła pod kołdrę, otulając się szczelnie. Teraz, gdy leżał koło niej, ciepły i włochaty, czuła, że opuszcza ją odwaga. Zacisnęła zęby i powiedziała:

— Już.

— Och, nie, Thea — powiedział ze śmiechem i smutkiem. — Nie w ten sposób.

Chwycił jedną z małych piąstek i zaczął całować jej palce, a później otwartą jak kwiat dłoń.

— Po co to robisz? — zapytała. Część napięcia ustąpiła miejsca ciekawości.

— Bo chcę. Bo to przyjemne. Bo jesteś mi bliska. Bo tak jest najlepiej, gdy tobie też jest przyjemnie.

— Tak? — przyciągnęła jego rękę do ust.

— No, nie całkiem. Nie jestem kanapką — jeszcze raz pocałował ją w rękę. — O, tak.

Przysunął się bliżej i zaczekał, aż Thea opanuje lęk. Później odwrócił ją twarzą do siebie, głaszcząc czarne kędziory i odsuwając je z jej czoła.

Ucałował włosy, oczy, policzki i w końcu usta. Zesztywniała i zaczęła go odpychać, próbując się odsunąć.

— Nie rób tego. Nie. Nie.

Przestał natychmiast.

— O Boże, Thea. Nie chcę cię przestraszyć. Nie zrobię ci krzywdy. Pozwól mi jeszcze raz spróbować. Jeżeli ci się to nie spodoba, przestanę.

Wiedział, że jest zbyt niecierpliwy, zbyt gwałtowną czuł potrzebę spełnienia. Gdyby tylko nie była taka słodka, gdyby nie' pragnął jej tak bardzo...

— Boję się.

— Mnie? — odsunął się lekko. — Mnie się boisz?

— Trochę — przyznała.

— To tylko lęk przed pierwszym razem — powiedział, nakazując dłoniom przesuwać się wolniej, delikatniej.

— To nie jest pierwszy raz! — powiedziała z taką złością, że pojął rozmiary jej lęku.

— Tak, Thea, pierwszy — rzekł przyciągając ją do siebie, tuląc w ramionach, pieszcząc czule jak dziecko. — Gwałt to coś zupełnie innego, Thea. Ale ty tego jeszcze nie wiesz. Proszę, proszę, pozwól mi spróbować.

Zacisnęła zęby.

— Dobrze. Rób, co chcesz.

Niezbyt obiecujące, pomyślał, pieszcząc ją swymi wielkimi dłońmi. Wolno rozchylił jej nogi i stwierdził, że nie jest gotowa. Odwróciła głowę, kiedy dotknął wargi zwilżonymi palcami. Jej zakłopotanie udzieliło mu się i nagle poczuł złość, na siebie za to, co z nią robi, i na nią za to, że zmuszała go, by czuł się winny.

— Thea, nie chcę ci zrobić krzywdy, ale to może boleć. Jeżeli tak, powiedz mi.

Kiwnęła głową, nie mogąc znaleźć słów. Przemogła odrazę, gdy się nad nią pochylił i nie uderzyła go, kiedy w nią wszedł. Nie spieszył się, nie chciał jej przerazić gwałtownymi ruchami. Jednak w końcu zaczął poruszać się szybciej, jego oddech przeszedł w dyszenie i przycisnął ją

mocno do siebie. Nagle krzyknął głośno i poczuła, jak tryska w nią strumień ciepłej cieczy.

Czy to już wszystko? — pomyślała, gdy zsunął się z niej i leżał bez ruchu. Nie było przyjemnie, ale nie bolało. Dotrzymał słowa. Zagryzła dolną wargę, aż przeszła jej ochota do płaczu.

— Thea — powiedział chrapliwie. — Teraz będzie lepiej. Za drugim razem jest zawsze lepiej.

— Za drugim razem? — już przygotowywała się do wyjścia z łóżka i powrotu na wąską pryczę w swojej sypialni wiedząc, że już jest zadowolony i że może znieść jego dotknięcia, jeżeli będzie musiała. Jednak Evan znów chwycił ją w objęcia.

— Zostań, Thea, proszę — położył jej dłoń na piersi w miejscu, gdzie była sutka. — Pozwól... Spróbuję sprawić i tobie przyjemność.

— Było dobrze — powiedziała sztywno, odwracając się.

— Nie, nie było.

Zaczął masować jej ramiona, plecy, sprawiając, że napięte mięśnie rozluźniły się. Gładził ją długo, niespiesznie, pozwalając ciału oswoić się z dotknięciem jego rąk. Niebawem poczuła miłe znużenie i odwróciła się do niego z własnej woli. Zaczął ją pieścić łagodnie, uwalniając z twardego pancerza, jakim się otoczyła.

— Mogę cię dotknąć? — szepnęła, prawie bojąc się odpowiedzi. Uśmiechnął się w ciemności.

— Pragnę tego.

Leżał nieruchomo, podczas gdy jej silne palce odkrywały nieznany ład jego ciała. Nieco później powiedziała:

— Chcesz spróbować jeszcze raz? To znaczy, we mnie?

— Tak.

A ponieważ tym razem kochał ją ze spokojnym zrozumieniem i ponieważ wyzwolił ją z więzienia jej własnego ciała, ta zupełnie nieznana część jej istoty wyszła mu naprzeciw i przywarła do niego krzycząc z radości. Widmo Lastly'ego zniknęło na zawsze z jej pamięci, zatarte ciepłą bliskością Evana.

Dym wulkanu już od dawna unosił się nad górami, a dni wcale nie stawały się cieplejsze. Mimo późnej wiosny i ustąpienia śniegów wieczory były wciąż chłodne, a noce trzaskały mrozem. W lasach rozlegały się głosy zwierząt, lecz te, które dostrzegali, miały dziwny, wygłodzony wygląd, bardziej przypominając widma niż żywe stworzenia.

— Czy to przez wulkan? — spytała Thea, zerkając w niebo i wracając do układania świeżo porąbanego drzewa.

— Częściowo. W górnych warstwach atmosfery jest mnóstwo zanieczyszczeń, które opadają z deszczem. Cały ten kram z Doliny nie dotarł tu przed laty, ale teraz... — wzruszył ramionami. — Będzie gorzej.

— I nie można niczego zmienić? — ułożyła resztę porąbanych bierwion i przygotowywała się do załadowania ich na sanie.

— Nie teraz. Był na to czas wcześniej, przed twoimi, a może nawet moimi narodzinami — włożył ostatni kawałek drewna na sanie, czekając, aż Thea odrąbie siekierą odstającą korę. — Na razie dosyć. Powinno wystarczyć na cały tydzień.

Thea wzięła siekierę i piłę, po czym ruszyła przodem, przecierając drogę dla niego i załadowanych sanek. Zanim wrócili do domu, zaczęło zmierzchać i na niebie pojawiły się pomarańczowe i żółte smugi.

— Niedobrze — rzuciła przez ramię. — Spójrz na to. Takie piękne i niebezpieczne. Zanim wepchnął sanie do garażu, zatrzymał się i uważnie spojrzał na niebo.

— To za mało, żeby nam zagrozić. Może nam utrudniać życie przez parę lat, ale poradzimy sobie. Gorzej, jeśli... — pomyślał o łańcuchu wulkanów ciągnących się z północy na południe wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, okrytych śniegiem Alaski, leżących w sennym upale Gwatemali — ... jeśli wyleci w powietrze jeden naprawdę duży. Nie tylko wybuchnie, ale zupełnie się rozleci.

— Czy to się zdarza? — Thea otworzyła drzwi i stwierdziła, że ręce się jej trzęsą.

— Rzadko, ale się zdarza. Wtedy pogoda na całej kuli ziemskiej wyprawia cuda.

Evan przypomniał sobie, że jako dziecko czytał coś o wyspie na Pacyfiku, gdzieś na zachód od Jawy. Wyleciała w powietrze, powodując zmiany pogody na całym świecie przez następne pięć czy sześć lat. Krakatau, chyba tak się nazywała. Wyspa, która pewnego dnia zniknęła z map.

— Może są tu jakieś książki o wulkanach — powiedziała Thea, wyładowując drewno. — Mógłbyś jakąś znaleźć? Chciałabym coś o nich wiedzieć.

Właśnie wchodził na schody, by przygotować kolację, ale przystanął słysząc lęk w jej głosie.

— Jeżeli chcesz, Thea...

— Proszę — powiedziała i skupiła całą uwagę na swojej pracy. Późno w nocy, przytulona do Evana, zapytała:

— Jak myślisz, długo będziemy mogli tu zostać?

— Nudzisz się? — zapytał przekornie.

— Nie, nie nudzę się — odparła niecierpliwie, wtulając głowę w zgięcie jego ramienia. — Niepokoję się. Co będzie, jeśli Piraci tu trafią? Przecież nie damy im rady.

— Damy radę wszystkiemu — rzekł uspokajająco.

— Evan, posłuchaj. Nie chcę tego słyszeć. Chciałabym, żeby tak było, ale to nieprawda, wolę wiedzieć, co nas czeka — odwróciła się i odsunęła lekko, próbując zobaczyć jego twarz. Udało jej się to dopiero po krótkiej chwili, do tej pory zdążyła zebrać myśli. — Nie możemy zostać tu na zawsze, Evan.

— Czemu nie? — powiedział, wiedząc, że nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

— Widziałam ślady opon na osuwisku — ciągnęła z uporem. — Dużych opon. Myślę, że Piraci szukają tej doliny. W każdym razie ktoś szuka, Evan.

— Rozumiem — westchnął ciężko. — Dobrze, to prawda, że nie możemy tu zostać na zawsze. Może uda nam się przemieszkać do jesieni, a nawet do przyszłej wiosny. W końcu Mackley, czy kto tam teraz

dowodzi Piratami, przyśle tu zwiadowców i będą kłopoty. Trzeba będzie walczyć lub szybko uciekać. To chciałaś usłyszeć?

— Nie chciałam tego usłyszeć, ale musiałam wiedzieć. Och, Evan, czy nie rozumiesz? Jeżeli mam zrezygnować z tego wszystkiego, to muszę się przygotować. Wydaje mi się, jakby tu było nasze miejsce i chciałabym tu zostać. Jednak nie możemy, nie możemy.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, gładząc miękką brodę i włosy.

— Tak przykro będzie stąd odchodzić, lecz mimo to odejdziemy. Prawda?

— Wydaje mi się, że pójdziesz sama, jeśli będzie trzeba — niepokój sprawił, że zabrzmiało to ostrzej niż zamierzał. Chwycił ją za rękę i uściskał. — Czy to chciałaś powiedzieć?

— Nie — odparła bardzo cicho. — Nie to. Tylko, że tu mam ciebie, i wannę z gorącą wodą, i książki, miękkie łóżko z czystą pościelą, cztery futrzane kurtki, dużo naprawdę smacznego jedzenia oraz czas dla ciebie i dla siebie. Nigdy przedtem tego nie miałam.

Przysunęła się bliżej, wciąż nie mogąc przyzwyczać się do intymności wspólnego łóżka. Evan otoczył ją ramieniem, przyciskając do siebie.

— Cóż to za gówniany świat, Thea. W porządku. Chcesz, to zaraz ustalimy, kiedy stąd odejść.

— Nie chcę, ale co będzie, jeżeli Piraci przyjdą w zimie? Jeżeli będziemy musieli spędzić dłuższy czas w śniegu? Nie wiedziałam, jak bardzo tego nie lubię, dopóki nie przyszliśmy tutaj. Tu nauczyłam się spać w wygodnym łóżku. Jeżeli odejdziemy zaraz, może uda nam się znaleźć inne miejsce, zanim spadną śniegi. Są przecież inne miejsca. Może nie takie jak to, ale... — ze zduszonym szlochem objęła go ramionami i nie wypuszczała z objęć, dopóki nie zasnęli oboje.

Czekając, aż zima rozluźni wreszcie swój lodowaty uścisk, przygotowywali się do drogi. Jednak minęły dwa tygodnie, a noce wciąż były zimne i mroźne. Pierwsze rośliny zwiędły i uschły, nim zdążyły zakwitnąć. Trawy zrudziały, a ptaki nie powróciły z zimowisk.

— Dokąd pójdziemy? — spytała Thea, kiedy przygotowali już wszystko. Teraz, gdy tak niewiele czasu pozostało do odejścia z doliny, poczuła, że nie chce nigdzie iść, że woli raczej stawić czoła Piratom i zginąć tu, w bliskim sercu miejscu, niż gdzieś w obcych stronach. Dwukrotnie zdecydowała się wyruszyć i za każdą chwilę razem znajdowała jakiś pretekst, by odłożyć to o kilka dni.

— Możemy pójść tędy — wyjaśnił Evan, pokazując trasę na starej, topograficznej mapie znalezionej w dolinie.

— Pójdziemy na zachód, a potem na południe tą granią, aż dotrzemy nad jezioro Tahoe przy Zatoce Emerald. W ten sposób będziemy mogli widzieć wszystko, co się dzieje w dole, na długo przedtem, nim sami zostaniemy zauważeni. Jeżeli stwierdzimy, że nie jest dobrze, skierujemy się na południe do Tuolumne i Yosemite, trzymając się grani. Wzdłuż szlaku są miejsca, gdzie możemy się zatrzymać, jeśli zajdzie potrzeba.

Zastanawiał się, czy należy oczekiwać kłopotów. Każde z nich miało po dwie kusze i duży zapas bełtów. Cały swój dobytek złożyli na sankach, które zaopatrzyli w koła. W razie potrzeby mogli zdemontować pojazd i schować go do plecaków lub też użyć jako szkieletu szałasów. Evan wiedział, że są przygotowani do drogi najlepiej, jak to możliwe.

— Może tutaj? — spytała Thea, wskazując palcem szczyty otaczające jezioro Fallen Leaf. — Może tu znajdziemy coś odpowiedniego i zostaniemy na zimę?

Chciała, by jej przytaknął, obiecał, że nie pożałuje opuszczenia Squaw Valley.

— Tu jest stacja obserwacyjna, widzisz? Przy Cathedral Rock. Nie musimy schodzić niżej. Mamy dosyć zapasów, by przetrwać większą część zimy, jeżeli będziemy oszczędzać. Będzie dobrze — zapewniała ze sztuczną pewnością siebie.

— Tak. Oczywiście.

Miał nadzieję, że tak. Tego ranka znów znalazł ślady opon przy osuwisku i wiedział, że już nie mieli wyboru.

Kiedy trochę się ociepliło, odeszli, kierując się na zachód, na wyżynę, gdzie wciąż jeszcze utrzymywał się śnieg, a wiatr smagał niestrudzenie

surowe, granitowe twarze skał. Szybko oddalali się od domu — bo w myślach nazywali go swoim domem. Zamknęli go dokładnie, śmiejąc się smutno z próżnego gestu. Dobrze wyładowane sanie mieściły noże, potrzaski, kusze, koce i żywność, oraz kilka książek. Thea zaopatrzyła sanki w nowe płozy, więc ślizgały się lekko, nawet po kamieniach.

Przed zmrokiem weszli już wysoko i przycupnęli pod skalnym nawisem. Tam pochłonęli resztki obiadu.

— Przykro ci, że musieliśmy porzucić dom? — zapytał Evan, widząc jej roztargnienie. Od kiedy zaczęli ze sobą sypiać, stał się niezwykle wrażliwy na jej nastroje.

— Och, tak — dłubała widelcem w resztkach jedzenia, po czym zmusiła się do skończenia posiłku. — Myślę o nim jako o naszym domu. To nieprawda, ale chciałabym, żeby był nasz.

— Możemy wrócić. Jeżeli chcesz.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Nie mogłabym patrzeć, jak płonie, kiedy znajdą go Piraci. A z pewnością znajdą. Są zbyt blisko, by przegapić dolinę. Gdybyśmy zostali, stracilibyśmy nie tylko dom. Zabiliby ciebie. I mnie — wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, jakby dodając sobie sił. — Znajdziemy inne miejsce, lepiej ukryte. Bezpieczniejsze.

Głęboki śnieg utrudniał poruszanie się i przejście przez wyżynę zajęło im cztery dni. Tym razem nie poganiał ich głód i nie spieszyli się. Nie wiedzieli, co ich czeka nad jeziorem, widocznym od czasu do czasu na wschodzie. Zachodzące słońce błyszczało złowrogo odbijając się od jego ołowianoszarej tafli wody. Obserwowali brzeg przez polową lornetkę, którą Evan zabrał ze Squaw Valley, lecz nie dostrzegli żadnego śladu obecności Piratów. Na drodze nie zauważyli wozów patrolowych ani zbiorników metanu przy odstojnikach. Nigdzie nie powiewały czarne flagi.

— Co się stało? — dziwił się Evan. — Tu się powinno roić od Piratów. Cox chciał tu założyć bazę wypadową. Przecież nie zrezygnowali z tak dogodnego miejsca po jego śmierci.

— Może przepędzili ich mieszkańcy? — poddała myśl Thea, sama w to nie wierząc. Widziała Chico, Sierraville, Truckee. Jednak spodziewała się tu raczej rzędu ponabijanych na pale ofiar niż tej dziwnej ciszy.

— Zejdziemy tam, ale będziemy musieli uważać — rzekł Evan.

— Cokolwiek tam jest, Piraci trzymali się od tego z daleka. Jak do tej pory, to pierwszy taki wypadek.

Zejszcie zabrało im sporo czasu i w końcu zdecydowali się zatrzymać na noc — jakieś dwie mile od brzegu.

— Nie wiemy, czego się spodziewać — przypomniał Evan Thei i sobie. — Musimy się dobrze wyspać.

Thea nie potrzebowała zachęty. Przez cały dzień towarzyszyło jej niemiłe uczucie, że wchodzi w pułapkę. Szła czujnie, zważając na każdy krok i nie spuszczać oczu z jeziora. Coraz mniej jej się podobało. Postanowiła przyjrzeć mu się z bliska. Trochę po północy wyśliznęła się ze śpiwora. W dole, za krawędzią urwiska, leżało jezioro Tahoe — a nad nim unosił się bładny opar fosforescencji — taki sam, jaki wisiał nad doliną Sacramento, jaki okrył całunem śmierci Chico i przywarł do trupów grzebanych w miasteczkach bez nazwy.

— Zatrute — powiedziała cicho, odwracając się.

Spojrzała na chrapiącego w swoim śpiworze Evana, zastanawiając się, czy go obudzić. Wiedziała jednak, że i tak zechce tam zejść.

Z westchnieniem wróciła do namiotu, starając się nie obudzić śpiącego towarzysza. Rano będzie dość czasu na porozmawianie o jeziorze, na sprawdzenie, co się z nim stało i co wystraszyło Piratów. Wiedziała, że jeśli zaśnie, przyśni jej się Squaw Valley, więc nie spała, słuchając oddechu Evana i własnych myśli.

X

Krótko po wschodzie słońca podeszli bez przeszkód do brzegu jeziora Tahoe i zrozumieli wszystko. Szlam unosił się tuż pod popielatoszarą powierzchnią wody, po której od czasu do czasu przepływały unoszone falą gniazda pajaków. Sama obecność tych straszliwych stworzeń wystarczyła, by odstraszyć Piratów, a zatruta woda uniemożliwiła im założenie obozu.

— Spójrz — rzekł Evan ściszym głosem. Wiejący znad jeziora wiatr niósł przykrą woń chemikaliów i gryzł w gardło. Fale, tłukące leniwie o brzeg, pozostawiły lepłą pianę, mogącą oparzyć palce komuś na tyle głupiemu, by jej dotknąć.

— Jak to się mogło stać? — Thea spoglądała szeroko otwartymi oczami, bo jeśli jezioro w nocy wyglądało upiornie, to w dzień o wiele gorzej. Wiszący nad wodą mglisty opar w dzień nie świecił, lecz lśnił odrażająco srebrzyście. Jezioro Tahoe było martwe na zawsze.

— Kto to wie? Kiedyś wlewali do niego ścieki, a później chemikalia mające je zneutralizować. Czego się spodziewali? To kloaka! — Evan odwrócił się, zaciskając usta. Gwałtownie szarpnął sankami, odciągając je dalej od wody, z powrotem na wyboistą drogę ciągnącą się wzdłuż brzegu.

— Nie wracamy w góry? Tu nic nie ma.

— Niedługo wrócimy. Na południowym końcu jeziora jest rozgałęzienie drogi. Zanim cokolwiek zrobimy, chcę wiedzieć, co tam się dzieje. Jeżeli Piraci wycofali się, to mogą stacjonować tam — a to zbyt blisko.

— Dobrze, spróbujmy — Thea już przywiązywała sobie mniejszą kuszę do nadgarstka.

Z początku szli poboczem, w miarę możliwości trzymając się krzaków, ale wkrótce stało się jasne, że tej drogi od dawna już nikt nie używał, więc wędrowali środkiem, ostrożnie obserwując drzewa i zarośla. Dojście do odgałęzienia zabrało im nie więcej niż trzy godziny. Nie znaleźli tam niczego, oprócz ruin pięciu dużych hoteli. Niegdyś stało

tu miasteczko, lecz zatrute jezioro zebrało swoją daninę nie tylko od ludzi, ale i od budynków, zostało tylko kilka smętnych, powygryzanych fasad — nieme świadectwo straszliwych efektów wiejącej od jeziora bryzy.

— Masz dość? — Thea niespokojnie pociągnęła Evana za rękaw, oglądając się za siebie, na pasmo gór, z których zesqli.

— Możemy wejść na górę w ciągu jednego dnia. Nie musimy tu pozostawać ani chwili dłużej. Wiesz już, że Piraci odeszli. My też powinniśmy. Nie podoba mi się tutaj.

— Mnie też nie. Jednak na południowym brzegu wciąż stoją kasyna. Jeżeli trzy miesiące temu byli w nich ludzie, to niektórzy mogli tam jeszcze zostać. Chcę to sprawdzić.

Evan zacisnął szczęki, a w oczach pojawił mu się zimny błysk. Thea czuła, że nie ma sensu z nim dyskutować, w jego chęci zbadania brzegu jeziora kryło się więcej, niż to chciał przyznać. Podążyła za nim bez słowa, napięta i czujna, z kuszą przygotowaną do strzału. To, co robili, było niebezpieczne i wiedziała, że musi podwójnie uważać, bo Evan z sobie wiadomego powodu stał się nieostrożny.

Późnym popołudniem dotarli do granicy stanu, którą znaczyły budynki sześciu wysokich kasyn i zardzewiały znak, zapraszający podróżnych do Nevady. Powybijane okna i popękane mury świadczyły wyraźnie, że nikt o nie nie dba i Thea sądziła, że miejsce jest opuszczone.

Jednak wokół budynków zobaczyli barykady, dziwaczne kupy stołów do ruletki, tryktraka i pokera, oraz innych pamiątek po fantastycznym świecie, jakim było kiedyś to królestwo hazardu. Jedno z kasyn ogrodzono zwałem automatów do gry, ich błyszczące twarze pokryły się rdzawymi zaciekami łez. Evan podszedł bliżej. Nagle spadł na niego grad kamieni, dachówek, cegieł, butelek i kul bilardowych, którym towarzyszyły wściekłe wrzaski.

— Stój — powiedział do Thei, nie odrywając oczu od barykady. — Kto tam? — krzyknął pewnym, spokojnym głosem, jakby mówił do rozdrażnionych zwierząt. — Kim jesteście?

— Wynoście się! — odkrzyknął chór głosów. — Nie chcemy was tutaj! W ślad za tym pojedyncze głosy dodały szereg inwektyw.

— Jest nas tylko dwoje. Nie możemy wam zaszkodzić! Kolejne pociski przeleciały w powietrzu. Evan cofnął się, gestem pokazując Thei, by się usunęła z zasięgu.

— Tylko wy tu zostaliście? Nie było tu ludzi w samochodach? Z bronią?

Wściekłe okrzyki i nowa lawina przedmiotów powiedziały Evanowi więcej, niż chciał wiedzieć o wizycie Piratów. Celnie rzucony kawałek cegły otarł się o jego czoło, pozostawiając krwawy ślad nad okiem. Evan nie ustąpił.

— Gdzie oni teraz są? — nalegał, podnosząc głos.

— Poszli! — odkrzyknęli, wzbogacając asortyment pocisków o puste szklanki.

Thea odwróciła się, słysząc cichy szmer. Cztery stopy za nią stał chudy mężczyzna w nieokreślonym wieku, o skórze poznaczonej fosforyzującymi smugami, jakie Thea widziała zbyt wiele razy. Ubranie miał lepkie od brudu, włosy zmierzwione, a wyraz jego twarzy zdradzał, że nie jest przy zdrowych zmysłach. Thea podniosła kuszę.

— Stać — powiedziała wyraźnie, mierząc mu w pierś. — Mogę tym przestrzelić trzy bele siana. Nie wydaje mi się, żebyś był tak gruby.

Mężczyzna stanął, wpatrując się w sanki.

— Jedzenie? Macie coś do jedzenia? — uśmiechając się, wskazał na sanki. — Jedzenie? — powtórzył, jakby mówił w obcym języku.

— Nie dla ciebie — odparła zimno, ale mrugnęła nerwowo. Mógł nie być sam. Podniosła głos tak, aby usłyszał ją Evan. — Mamy towarzystwo. Chce jeść.

— Co? — Evan odwrócił się i spojrzał ze zdziwieniem. W odruchu współczucia sięgnął do jednego z pakunków i podał obcemu jednodniową rację żywności. — Masz — powiedział łagodnie. — Weź sobie. Tylko powiedz mi coś o ludziach w samochodach. Byli tutaj? Wpatrując się łakomym wzrokiem w paczuszkę, człowiek powiedział:

— Byli tu. Tak. Teraz odeszli. Spróbujcie w Carson City. Za górami. Na wschodzie. Idźcie na wschód.

— Carson City? — powtórzył Evan. — Na pustyni?

— Ich przywódca, nazywali go Mackley, kazał im tam jechać. Powiedział, że tam będzie lepiej. Bezpieczniej. Powiedział, że będą mogli uprawiać ziemię. Że tam będzie cieplej.

Mackley, przeklęty Joel Mackley, wysoki, chudy, o okrutnej twarzy średniowiecznego władcy.

— Przypuszczałem, że to on załatwił Coxa. To jego robota. Tylko on pozostał.

— Są jeszcze inni — rzekł mężczyzna. — Na północy jest więcej Piratów. Mackley ma teraz południowy odłam. Na wiosnę pobili się i rozdzielili.

Mężczyzna nie mógł już dłużej wytrzymać, przycisnął paczkę do piersi, odwrócił się i uniknął za barykadę. Evan stał przez chwilę, patrząc w ślad za nim.

— Mackley. Ciekawe, kto teraz dowodzi północną grupą. I gdzie oni są?

— Myślisz, że to źle? — zapytała cicho Thea.

Evan skinął głową, rozmyślając o Mackleyu i Coxie.

— Źle. Coxowi chodziło o Mutantów, Mackleyowi o wszystkich. Kiedy Cox zginął, musiała się wywiązać walka. Dziwię się, że nie doszło do tego wcześniej. Na północy jest teraz Gorren albo Spaulding.

Evan otarł krew z czoła, nie pozwalając jej obejrzeć skaleczenia.

— Chodźmy. Musimy się stąd oddalić. Dowiedziałem się już wszystkiego, co chciałem wiedzieć.

— Robi się późno — ostrzegła.

— Znajdziemy jakieś miejsce na nocleg. Dotychczas zawsze jakieś znajdowaliśmy. Odwrócił się plecami do budynków i pociągnął za sobą sanki.

Tej nocy spali w opuszczonej stacji benzynowej, która przeżyła okres swej użyteczności. Szybko zjedli kolację i ustalili kolejność wart. Obejmując straż jako pierwsza, Thea powiedziała:

— Ojciec zawsze trzymał psy, owczarki i psy łańcuchowe. One pilnowały wszystkiego.

Evan skończył pakować talerze i garnki, po czym rzekł:

— Nie wydaje mi się, żebym chciał teraz mieć psa. Większość z nich zdziczała i nie są już przyjaźnie nastawione do ludzi.

Ułożył śpiwór na potrzaskanym betonie i postawił buty koło głowy.

— Obudź mnie za cztery godziny.

Wbrew oczekiwaniom noc minęła spokojnie. Raz czy dwa coś zaszeleściło w krzakach otaczających stację, a Evan podczas swojej warty słyszał jakieś szepty, lecz zdawał sobie sprawę, że mogły być wytworem jego wyobraźni. Długie godziny nocy mijały wolno. O świcie Thea wygramoliła się ze śpiwora i podejrzliwie popatrzyła na popękany beton.

— Ciekawe, co tutaj zakopano?

— Pewnie stare zbiorniki albo podnośnik hydrauliczny — Evan rozbroił ją miłym uśmiechem.

— To czemu tak starannie poukładali beton z powrotem? Mówię ci, tu coś jest. Jestem pewna. Inaczej po co by sobie zadawali tyle trudu?

Żeby poprawić jej humor, rzekł:

— Dobrze. Po śniadaniu odrzucimy te gruzy i zobaczymy. Jednak nie możemy tu zostać zbyt długo. Jeżeli nic nie znajdziemy przez parę godzin, ruszymy w drogę.

Musieli odrzucić pięć kawałów betonu, wahających się rozmiarami od piłki do dużego plecaka. Odciągnięcie ich na bok zajęło im ponad dwie godziny i dopiero wtedy mogli zacząć kopać. Kopali jakieś dziesięć minut, gdy łopata Thei z głuchym odgłosem uderzyła w coś twardego.

— No, cokolwiek to jest, za chwilę będzie nasze — rzekł Evan z twarzą zlaną potem mimo porannego chłodu. Wszedł do wykopanego dołu i zaczął odgarniać ziemię rękami.

— Pomóc ci? — zapytała Thea, odkładając łopatę na sanie.

— Nie. Poradzę sobie.

Znów wrócił do pracy. Nagle gwizdnął przeciągle.

W dole ukryto tuzin karabinów, siedem dubeltówek i dwadzieścia cztery pudełka amunicji. Evan podrapał się po głowie i zawołał do Thei:

— Wygrałaś. Tu rzeczywiście coś jest — i pokazał jej znalezisko. — To weźmiemy. Po jednej dubeltówce i jednym karabinie oraz wszystkie naboje.

Thei zabłysły oczy.

— Jak sądzisz, skąd się tu wzięły — uklękła na brzegu dołu i dotknęła broni. — Kto je tu ukrył? Nie wiesz?

— Założę się, że to mój stary przyjaciel, Joel Mackley. To mi bardzo na niego wygląda. Broń ownięto w naoliwione szmaty i płótno, a naboje są w wodoszczelnych pudełkach. Zawsze chciał wszędzie zostawiać ukryte zapasy broni, żebyśmy mogli się bronić w razie odwrotu — westchnął. — Mówiłem mu, że może ją wykopać ktoś inny i wtedy naprawdę wpadniemy w tarapaty. Okazuje się, że miałem rację.

— Więc oni tu wrócą?

Evan wygramolił się z dziury, trzymając pod pachą cztery zawiniątka.

— Kto wie? Może tak, a może nie. Jeżeli chodzi o Mackleya, niczego nie można przewidzieć. Właśnie dlatego jest taki niebezpieczny.

Thea wzięła od niego broń i załadowała ją na sanie. Przez moment przywiązywała nowe pakunki, a potem zwróciła się do Evana:

— Myślisz, że poznałby cię? Mówię o Mackleyu. Evan roześmiał się.

— O, na pewno. To on trzymał piłę, którą obcieli mi ramię. To — machnął ręką — mogłoby go zadziwić, ale rozpoznałby mnie. Nie ma obawy.

— Więc będzie walczył? Zechce dokończyć robotę?

Ujął ją pod brodę.

— Widzisz, Thea, Mackley nas nie dostanie. Raz mu już uszedłem, a nawet jeżeli wydaje się, że jest wszędzie, gdzie się ruszymy, nic o nas nie wie. Mówię ci, jesteśmy bezpieczni. Nie martw się.

— Pakujmy się.

— Dobrze. Tylko nie martw się Mackleyem. Nie ma o co. Będziemy go unikać. To wszystko.

Zanim ruszyli w dalszą drogę upewnili się, że broń i amunicja są dobrze umocowane. Evan obejrzał się raz jeszcze.

— Widzisz, to jest właśnie typowe dla Mackleya, chowanie czegoś na stacji benzynowej. Myśli, że uda mu się zmienić świat tak, żeby był taki jak przedtem. Nikt i nic nie jest w stanie zmienić zdania. Jest pewny, że kiedyś stacje znów będą czynne, więc nadal ich używa. Nie chce słyszeć żadnych argumentów. Wiem. Znam.

Noc spędzili nad jeziorem Fallen Leaf, trzymając się z dala od brzegu i gniazd wodnych pajaków. Ich ociekające jadem szczęki zabijały szybko, ale wcale nie bezboleśnie. Ze wszystkich stworzeń, które zaadaptowały się do nowego, okropnego świata, te były najgroźniejsze.

Na szarym niebie dym wulkanu mieszał się z chmurami, przesłaniając słońce i oblewając świat rdzawym blaskiem. Evan pospiesznie przygotowywał śniadanie, a Thea sprawdzała płozy sanek. Czekąca ich stroma i kręta droga przez krzaczaste tereny dawnego parku narodowego Tahoe. Martwe i umierające drzewa będą przeszkodą dla sań, które nie wytrzymają tego bez nowych płóz i hamulców. Thea wzięła dwie narty i przymocowała je do płóz sprężynami ekspandera znalezionymi jeszcze w sklepie sportowym w Squaw Valley. Wiążąc węzły myślała o dolinie, o spędzonych tam dniach i nocach. Zastanawiała się, czy Piraci dotarli do doliny, a jeżeli tak, to czy spalili ich dom, czy też zamieszkali w nim.

Znów stanął jej przed oczami zaciszny, mały ośmiościan opierający się zimie i chaosowi. To byłoby straszne, gdyby mieli go używać Piraci. Miała nadzieję, że go spalą. Zawięzała ostatni węzeł i wyprostowała się.

— Thea! — tym razem Evan zawołał tak głośno, że wyrwał ją z zadumy.

— Co? — znów wróciła do rzeczywistości, Evana i czekającego śniadania. — Myślę, że dojdziemy przed zmrokiem do jeziora Cathedral — powiedziała skończywszy jeść — jeżeli pójdziemy równo i nie zgubimy szlaku.

— To dobrze — skinął głową Evan.

— O co chodzi? — spytała widząc, że nie jest zadowolony.

— Próbowałem obliczyć, jaki to miesiąc. Wyszło mi, że czerwiec. Już prawie lato, a popatrz, co się dzieje. Jak w kwietniu lub październiku.

Niezbyt to obiecujące.

— Nie. Chyba, że uznać brzydką pogodę za obiecującą.

Thea wstała, otrzepała spodnie i pomogła Evanowi wyczyścić talerze garścią suchej trawy.

Punkt obserwacyjny na południowym brzegu jeziora Cathedral wybudowano stosunkowo niedawno.

— To chyba jeden z ostatnich projektów zrealizowanych przed zamknięciem jeziora dla ruchu turystycznego — powiedział Evan, gdy stanęli przed trzydziestostopowymi filarami, które podtrzymywały stację. Schody wiodące na platformę i do drzwi budynku biegły zygzakiem, jak zawiązane sznurowadło. — Czeka nas nielicha robota z wciągnięciem tam sanek — powiedział, obliczając w myślach liczbę stopni.

— Możemy je wciągnąć na linie — przypomniała Thea, grzebiąc wśród pakunków w poszukiwaniu dwóch szerokich pasów, jakie sporządzili do przenoszenia sanek. — Trzeba tylko przymocować linę do pasów i wywindować je na górę. To nie będzie trudne.

— Tak. Masz rację — spojrzał na schody. — Ty czy ja?

— Ty weź linę, ja przygotuję sanki. Później wejdę na górę i pomogę ci. Sam nie dasz rady.

— Niech cię o tu głowa nie boli! — zawołał, wchodząc na stopnie. Idąc słuchał odgłosu swych kroków, miarowych jak tykanie zegara. Po kilku minutach przerzucił linę przez poręcz i Thea przywiązała ją mocno do skórzanych pasów. Z całej siły zacisnęła węzeł i zawołała do Evana:

— Gotowe! Powinno wytrzymać!

— Dobrze by było — nadleciało z góry, jak krzyk samotnego ptaka. Przez jeden długi niczym wieczność moment nie była tego pewna.

Przytrzymała sanki, tłumiąc wahania i pomagając Evanowi dźwignąć je z ziemi. Później, kiedy wisiały już w powietrzu, popchnęła je w górę. Upewniwszy się w ten sposób, wbiegła na schody i popędziła nimi do Evana. Sanki unosiły się cal po calu.

— Masz — powiedział Evan, wskazując linę brodą. — Chwytaj.

— Dobrze.

Zaparła się o niską barierkę otaczającą platformę i zaczęła ciągnąć razem z nim. W końcu sanki znalazły się przy poręczy. Przeciągnęli je przez nią i przywiązali mocno, żeby ich wiatr nie zdmuchnął. Thea ruchem głowy wskazała stację.

— Mam nadzieję, że jest tu zbiornik na wodę. Na jeziorze widziałam pająki, a to zły znak. Woda jest prawdopodobnie skażona. Nie możemy jej pić.

— Na dachu jest cysterna, pełna. Choć, prawdę mówiąc, deszczówka nie jest wiele lepsza. Wulkan i te inne świństwa... — Evan fatalistycznym gestem rozłożył ręce. — Za późno, żeby coś zmienić.

— Jesteś pewien? — zapytała retorycznie. Chciała tylko odegnąć rozpacz, jaka nagle pojawiła się w jego oczach.

Dostali się do środka po wyłamaniu dwóch zamków w drzwiach. W pomieszczeniach panował wojskowy porządek i czystość, jak w koszarach. W głównym pokoju stały dwa piece, a w kuchni trzeci — wszystkie proste i funkcjonalne. Z kuchennym łączył się bojler — nieco nowszego typu niż ten w Squaw Valley. Jeżeli rurami popłynie woda, to będzie można ją ogrzać.

Trzy wygodne sofy w największym pokoju zmieniły się po rozłożeniu w równie wygodne łóżka, wydzielające słaby zapach pleśni. Evan szybko rozpałił w piecu. Widok ognia podsunął mu myśl:

— Ile mamy drewna? — spytał, kończąc rozkładać poślanie. Nad nim, na ścianie koloru zielonego groszku, spłowiały plakat ukazywał atrakcje Australii: kangury umykające przed trzema tubylcami, żaglówkę, gmach opery w Sydney i kowboja. Evan przypomniał sobie, że był tam przed wieloma laty i nagle uświadomił sobie, że nigdy się nie zainteresował tym, co się tam stało.

— Może na trzy lub cztery dni. Jeszcze nie wiem, ile drewna potrzeba na dzień. Tu na górze, przy silnym wietrze, pewnie trudno ogrzać pokoje — powiedziała Thea, wiedząc, że wcale jej nie słucha.

Wyrwała go z zamyślenia.

— Masz rację. Wiatr to problem — zaczął zaglądać do szafek w kuchni i ku swemu zdumieniu znalazł parę lamp naftowych z

azbestowymi knotami.

— Co tam masz? — spytała Thea, słysząc jak ją woła.

— Lampy. W każdym razie mamy już światło — odparł, sięgając głębiej i wyciągając kilka dziesięciogalonowych baniek z naftą. — To powinno wystarczyć na długo — poczuł pierwszą iskrę optymizmu. — Możemy tu trochę zostać, a jeżeli założymy potrzebki, to będzie całkiem nieźle.

— Jeżeli coś w nie wpadnie — powiedziała spokojnie Thea.

— Wpadnie. Gdzieś w górach musiało zostać trochę zwierzyny.

Psy pokazały się cztery dni później. Dawni właściciele domków letniskowych nad jeziorem trzymali ich przodków jako ulubieńców. Teraz zdziczałe kundły polowały stadem na wszystko co żywe, zręcznie unikając pułapek i zbiorowisk ludzkich.

Thea wygramoliła się z łóżka na głos zbliżających się psów i wyjrzała przez okno, usiłując dostrzec przyczynę hałasu. Było jeszcze ciemno, ale na wschodzie niebo zaczynało już błędnąć. Poranny wiatr śpiewał niesamowitą serenadę w stalowych rozporach stacji.

— Co się dzieje? — spytał zaspany Evan, usiłując otrząsnąć się ze snu. Sięgnął po dodatkowy koc i niepewnie podniósł się z łóżka.

— To psy — powiedziała bez ogródek. — Może dwa tuziny, może mniej. Jeden lub dwa wchodzi na górę. Jeżeli nawet bała się, jej głos tego nie zdradzał.

— Sądzę, że powinieneś użyć dubeltówki — rzekła po namyśle. Evan bez dyskusji podszedł do kredensu, na którym leżała broń. Starannie nabił dubeltówkę i podał ją Thei.

— Masz. Nabita. Chyba, że chcesz, żebym to ja zrobił.

— Jedno z nas musi. Może tym razem ty zapolujesz? — podniosła pytająco brwi, przypominając o trzech królikach, które zastrzeliła dzień wcześniej. Evan codziennie obchodził swoje potrzebki, ale z reguły wracał z niczym.

— Dobrze. Zajmę się tym. Myślisz, że mięso się na coś przyda?

— Ty jesteś kucharzem. Sam zdecydujesz — czule uściśnęła jego rękę.

— Wyjdę na zewnątrz. Otwórz mi drzwi, dobrze?

Evan odwiódł kurek i czekał. Thea odsunęła rygiel u drzwi. Na schodach słychać było skrobanie pazurów i niecierpliwe, zziębnięte skomlenia biegnących w górę psów. Na dole stado z ujadaniem kłębiło się wokół filarów. Evan wyszedł na platformę i poczuł jak zimny, poranny wiatr przeszywa go na wskroś. Spojrzał na schody i dostrzegł niewyraźnie cienie zbliżających się zwierząt. Przez krótką chwilę oswajał oczy z ciemnością, po czym wycelował i strzelił. Huk wystrzału odbił się w górach głośnym echem. Zawtórował mu bolesny skowyt i stado w dole ucichło. Pierwszy pies kłapnął raz czy dwa paszczką i runął w dół, wpadając na te, które szły za nim. Rozległy się przerażone wycia i po chwili wszystkie psy umknęły, pozostawiając zabitego przywódcę.

— To chyba koniec z twoimi potrzebami — rzekła Thea, gdy Evan wrócił do ciepłego pokoju.

— Chyba tak. Nie dam rady konkurować z takim dużym stadem — zgodził się Evan. — Mógłbym zastawić pułapkę na psy, ale wątpię, czy ich mięso jest warte zachodu. Są wygłodzone.

Złamał dubeltówkę i nim zaczął ją czyścić, podał Thei pusty nabój.

— A to po co? — spytała, obracając go w palcach.

— Na szczęście. Będziemy go potrzebowali.

Następnego dnia Evan sprawdził linię sideł i stwierdził, że skąpą zdobycz pożarły psy. W jeden potrzebask wpadł pies i został rozszarpany przez resztę stada. Evan zaklął cicho, a następnie wrzucił krwawe resztki do jeziora, na żer pająkom. Gdyby zostawił je koło sideł, zapach świeżego mięsa znów zwabiłby psy. Thea wróciła późnym popołudniem z małym, garbatym jeleniem. Wypatroszyła go na miejscu, a teraz, wtaszczywszy go na górę, niezwłocznie zabrała się do ściągania skóry. Robiła to nad zlewem z taką ponurą miną, że w końcu Evan zapytał o przyczynę zmartwienia.

— Te przekłete psy — powiedziała, tłumiąc wściekłość. — Brakuje pożywienia. Spójrz tylko na to — wskazała nożem żałosny kadłub na desce do suszenia naczyń. — To dorosła sztuka, nie jakiś karzeł. Nie znajdziesz nic większego od tego jelenia. Nigdzie nie widziałam nawet

śladu niedźwiedzia. Jedyń szop, jakiego upolowałam, nie był większy od domowego kota. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale to niedobrze — ze złością odcięła tylne ćwiartki. — Dasz radę zrobić coś z tego? Nie wiem, czy jest tu choć trochę mięsa!

Evan stanął przy niej, dzieląc mięso na porcje i wrzucając je do garnka. Trzeba później wyszorować kuchnię — pomyślał — inaczej psy zwęszą krew i wrócą. Nie chciał zaczynać każdego dnia od walki z psami.

Z wyjątkiem sporadycznego ograbiania potrzasków, psy już się nie pokazały. Nie miały okazji. Tydzień później Mackley wrócił ze swoim oddziałem Piratów nad jezioro, by wziąć odwet. Thea i Evan przyglądali się bitwie o kasyna z platformy stacji. Walka była długa i zaciekle, żadna ze stron nie ustąpiła o krok. Od początku nie ulegało wątpliwości, że Piraci mają przewagę w ruchliwości i wyszkoleniu, ale obrońcy trzymali się dzielnie i to dłużej, niż się Evan spodziewał. Kiedy napastnicy zdobyli jedno z kasyn, rozległ się potężny huk eksplozji i cały budynek, z początku wolno, potem ze wzrastającą prędkością rozsypał się na kawałki, grzebiąc pod gruzami obrońców i dużą liczbę Piratów.

— Nie sądziłem, że ich na to stać — powiedział Evan.

Dym rozwiewał się powoli nad taflą skażonego jeziora. Thea patrzyła na to w milczeniu, z szeroko otwartymi oczyma i twarzą bez wyrazu.

— Evan, ja... — zaczęła i przytuliła się do niego, kryjąc twarz na jego piersi.

— O co chodzi, Thea? — zapytał, zdziwiony ogromem jej żalu. Oderwał oczy od toczącej się bitwy i mocno przycisnął Theę do siebie. — Muszę ci przystrzyc włosy, wiesz?

Pominęła to milczeniem.

— Czy zawsze już tak będzie? — zapytała ze smutkiem. — Patrz, co się dzieje tu i wszędzie. Potrząsnęła głową. W oczach miała znużenie i ból.

— Próbuujemy i próbuujemy, a jest wciąż gorzej i gorzej. Przycisnął ją mocniej, lecz nic nie odpowiedział, patrząc, jak w dali dym wysadzonego kasyna łączy się z zasnuwającym niebo dymem wulkanu.

— Tak — szepnął. — Chodźmy stąd, Thea. Nic tu po nas.

Chciała zaprotestować, ale nagle zrezygnowała i bez oporu pozwoliła się zaprowadzić do drzwi. Kiedy znaleźli się w środku, upadła na łóżko i powiedziała z rozpaczą:

— Kochaj mnie, Evan. Kochaj, albo umrę.

Na drugi dzień Piraci znaleźli stację.

Evan dostrzegł ich o świcie. Podchodzili ostrożnie, pieszo, a dym płonących kasyn zasłonił ich tak, że zanim ich zauważył, znajdowali się już dość blisko. Szybko obudził Theę i zaczął ładować broń. Przy każdym oknie poukładał pudełka zapasowej amunicji i solidnie podłożył do pieca, by nie zajmować się tym później, kiedy rozpocznie się walka. Evan nie wątpił, że wywiąże się bitwa, i to decydująca.

— Zmieniaj stanowiska i nie używaj cały czas jednej broni. Trzeba ich trzymać w niepewności. I miej to pod ręką — podał jej kilka oddartych z koca pasów i bańkę nafty. — Jeżeli znajdziesz okazję, to owiń tym bełt, namocz w nafcie, zapal i strzel z kuszy. Wystarczy na dziesięć razy.

— Krzaki się zapalą, Evan — powiedziała. Choć lato nie przyszło, zarośla były suche jak pieprz.

— Prawdopodobnie — zgodził się. — Jednak musimy się martwić o siebie. Jeżeli wybuchnie pożar, to trudno. Walczymy o życie.

— A jeśli krzaki się zapalą i nie zdołamy stąd uciec? Pochylił się nad nią ze stężoną twarzą i smutkiem w oczach.

— Słuchaj, co powiem. To banda Mackleya. Czy muszę ci mówić, co zrobiliby z tobą albo ze mną, gdyby nas schwytali? Myślisz, że mamy jakiś wybór?

Gwałtowność jego słów wstrząsnęła nią. Znów pomyślała o nabitych na pal i przez moment wyobraziła sobie Evana: z pustymi oczodołami zamiast oczu i w groteskowej żabiej pozie. Zatrzęsa się cała, po czym opanowała drżenie. Nie pozwoli, żeby tak się stało, nawet gdyby miał się spalić cały świat.

— Znam dobrze Mackleya — ciągnął brutalnie Evan. — I wiem, do czego jest zdolny. Wierz mi, nie możemy z nim negocjować.

Urwał, odłożył karabin i przyciągnął Theę do siebie.

— Och, Thea, nie mógłbym tego znieść, tego, co by ci zrobili.

Skinęła głową, wciąż nie mogąc się pozbyć swej przerażającej wizji, później odwróciła się i zaczęła przygotowania do walki.

Nie musieli długo czekać. Grzechot strzelaniny rozległ się zaraz po tym, jak odrąbali schody prowadzące na platformę. Evan dziękował Bogu, że podtrzymujące stację filary ze zbrojonego stalą betonu nie pozwolą napastnikom na wdrapanie się na górę, ani na spalenie stacji.

— Podchodzą?

— Tak — odparł Evan ponuro. — Podchodzą.

Nakazał Thei poczekać, aż Piraci znajdą się w zasięgu skutecznego ognia. Mówiąc, że rozumie, zajęła się ładowaniem broni i obserwowaniem zbliżających się ludzi. Stwierdziła, że są sprawni, dobrze wyszkoleni i uzbrojeni.

— Ten — powiedział Evan, pokazując w kierunku napastników. — Ten w pomarańczowym kasku to Mackley. To jego musimy zabić. To nie będzie łatwe. Nosi nie tylko ten hełm, ale także jedną z tych starych, kuloodpornych kamizelek. Bóg jeden wie, gdzie ją znalazł. Można go trafić, ale nie jest to proste. Jeszcze raz popatrzył na broń i zmarszczył brwi. Podniósł sztucer savage 300 i podał go Thei, zważywszy przedtem w dłoni.

— Ma większy zasięg od winchestera. Jeżeli zdołasz trafić, prawdopodobnie zabijesz go. Spróbuj celować w twarz.

— Ty weźmiesz winchestera?

Czule poklepał kolbę.

— Używałem go od dziecka. Mój ojciec polował zawsze, kiedy był w Azji. Głównie w prywatnych posiadłościach. Zaproszenie na takie polowanie stanowiło zaszczyt. Nigdy nie odmawiał i brał mnie ze sobą.

Przerwała mu kolejna salwa, zmuszając do zajęcia miejsca po drugiej stronie pokoju.

— Pamiętaj, to Mackleya musimy zabić. Zabij go, a poradzimy sobie z resztą. Dopóki żyje, jesteśmy w opałach.

Później czekali w milczeniu, patrząc na zbliżających się nieprzyjaciół. Wreszcie napastnicy znaleźli się w zasięgu strzału i Thea otworzyła ogień.

Dym i słabe światło poranka utrudniały celowanie. Thea szerzej otworzyła okno i wychyliła się, żeby lepiej widzieć. Tym razem trafiła jednego z atakujących w nogę. Seria strzałów, jakie padły w odpowiedzi, zmusiła ją do cofnięcia się i przymknięcia okna. Wiedziała, że nie wolno jej ryzykować i marnować amunicji. Opanowała się i spokojnie załadowała broń.

— Dranie! — Evan nabijał dubeltówkę. — Chcą się schować pod stacją!

Zauważył, że Mackley daje do tego sygnał i zdecydował się powstrzymać napastników. Ignorując protesty Thei, wyskoczył na platformę z dubeltówką w ręku. Oparł się o ścianę w miejscu, gdzie przedtem były schody, i wypalił. Rozległ się dziwnie głośny huk i Piraci rozproszyli się. Evan powtórnie naładował broń i strzelił jeszcze raz. Wystrzelona w odpowiedzi kula przeorała mu udo. Zaklął, zachwiał się, ale odzyskał równowagę i krzyknął:

— Mackley! Mackley! Tu Montague!

Otarł krew z nogi i czekał. Strzelanina ucichła i Mackley odkrzyknął:

— Montague nie żyje!

— Żyje! Nie dokończyłeś roboty pod Chico. Sfuszerowaliście — ty i Cox. Dostałeś tylko moją rękę, ale mam nową! — krzyżąc, skinął na Theę, by wzięła Mackleya na cel. — To są moi ludzie, Mackley! Słuchają moich rozkazów!

— Już nie! — zaśmiał się Mackley. — To moi ludzie! Opuścili Coxa i Spauldinga, żeby pójść ze mną. Cox był takim samym mięczakiem, jak ty!

— Opuścili Coxa? Opuścili? Chcesz powiedzieć, że zamordowali go? — kątem oka Evan widział Theę wychylającą się z okna. Zastanawiał się, czy ma Mackleya na muszce. Znów podniósł głos: — Potrafisz tylko mordować, Mackley. Nie umiesz walczyć!

— Widzę go — powiedziała cicho Thea. Evan kiwnął głową i drwił dalej: — Tchorze umieją tylko mordować!

— Teraz ja prowadzę ich do zwycięstwa! Cox nie ma z tym nic wspólnego! — krzyknął wyzywająco Mackley, unosząc pięść. Otaczający go mężczyźni, którzy milczeli podczas tej wymiany zdań, w odpowiedzi

na gest przywódcy wydali głośny okrzyk. Evan zaczął się cofać rakiem do drzwi. Wiedział, że Mackley wysłał już snajpera na zbocze i niemal czuł na sobie zimne spojrzenie karabinowej lufy.

— Słyszysz mnie, Montague?

— Słyszę! — odkrzyknął, namacawszy dłoń drzwi. Uderzając kolanami o próg, wtoczył się do środka i poczuł dłoń Thei na ramieniu. Wystrzelona za nim kula przeorała podłogę, zostawiając poszarpany ślad. — Teraz! — krzyknął i Thea strzeliła.

Na zewnątrz rozległy się wściekłe wrzaski i strzelanina wybuchła na nowo.

— Trafiaś go? — zapytał Evan, ładując winchestera i zajmując korzystną pozycję za kuchenną szafką.

— Tak mi się zdaje — powiedziała Thea. — Nie w głowę, to zbyt niepewny strzał. Był cały czas w ruchu, ale chyba dostał w nogę lub w bok.

Podskoczyła, gdy dwie kolejne szyby wyleciały z brzękiem.

— Głowa mnie boli od tego hałasu — powiedziała bez animuszu. — Chciałabym, żeby się zamknęli na chwilę.

Walka trwała i Evan czuł, że zraniona noga zaczyna mu sztywnieć. Thea strzelała raz za razem, używając na zmianę dubeltówki i savage'a. Wydawało się, że nie zna strachu ani zmęczenia, lecz Evan znał dobrze ten pozorny spokój. Wiedział, że muszą szybko rozstrzygnąć losy bitwy. Inaczej ani on, ani Thea nie wytrzymają długo takiego tempa. Znów rozległ się głuchy łomot, ciężka kula kalibru 375 uderzyła w ścianę, zostawiając poszarpaną wyrwę.

— Skąd oni wytrzasnęli taką broń? — zastanawiał się głośno Evan, gdy huk powtórzył się. Tylko raz miał okazję strzelać z winchestera magnum, ale wiedział, co można nim zdziałać.

Sądząc po odgłosach dobiegających z dołu, trafili paru Piratów, ale nie za wielu i niezbyt ciężko. Nie udało im się powstrzymać ataku ani odrzucić ludzi Mackleya w kierunku jeziora. Jeszcze nie minęła godzina, a Thea obróciła się do Evana.

— Prawie kończą mi się naboje do savage'a — powiedziała, przechodząc do innego okna.

Evan skinął głową i wypalił. Z zadowoleniem usłyszał krzyk bólu świadczący, że kula trafiła w cel. Oceniał, że teraz mieli przeciw sobie tylko pięciu lub sześciu uzbrojonych przeciwników. To i tak zbyt wielu. W kącie zamigotał płomień, to Thea wystrzeliła płonąca strzałę w grupę nacierających Piratów. Dały się słyszeć głośnie krzyki, stłumiony huk eksplozji, a po chwili mała, czarna chmura wzbiła się w niebo.

— Trafiłaś w coś — z głęboką satysfakcją stwierdził Evan, mając nadzieję, że to amunicja. Wiedział, że muszą jakoś wyrównać szanse. — Spróbuj, czy nie uda ci się ich zepchnąć nad jezioro. Thea mruknęła coś w odpowiedzi i posłała kolejny ognisty pocisk w kierunku trzech mężczyzn stojących razem na brzegu jeziora. Jeden z nich był ranny, pozostali dwaj go podtrzymywali. Nie zdołali uciec przed płonąca strzałą i z wrzaskiem zaczęli tarzać się po ziemi, próbując ugasić palącą się odzież.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła jednym filarem i cała stacja zadygotała jak liść na wietrze. Thea i Evan runęli na podłogę, a kiedy się podnieśli, budynek był przechylony pod dziwnym kątem.

— Wyszadziłem jeden filar — powiedział Evan, oceniwszy zniszczenia. — Próbuje wysadzać jeden po drugim.

— Co zrobimy? — zapytała, kuląc się pod oknem. Strzeliła jeszcze raz, prawie nie celując.

— Musimy ich odstraszyć, nim znowu podejda.

To mówiąc, jednym ruchem otworzył drzwi i wyskoczył na platformę. W dole dostrzegł zakładających następny ładunek mężczyzn. Mierząc uważnie, postrzelił dwóch, zanim zdołali odskoczyć i otworzyć ogień. Wskoczył z powrotem do środka.

— Przegoniłem ich — powiedział, kuśtykając z trudem po nachylonej podłodze.

— Na jak długo?

— Tylko na chwilę — przyznał. — Jednak zawsze to dwóch mniej i podłożenie następnego ładunku zajmie im więcej czasu.

— A może tym? — podniosła kuszę i zrobiła gest naciskania spustu.
— Nie doniesie daleko, ale może dokuczyć. I nie robi hałasu.

— Mogą się tego nie spodziewać. Jednak to okropne ryzyko — stwierdził, gładząc się po brodzie. — Z drugiej strony, mają tam materiały wybuchowe i ogień może im poważnie zaszkodzić.

Sprawdził szybko topniejące zapasy amunicji.

— Cokolwiek mamy zrobić, musimy się pospieszyć — ciągnął z ponurym uśmiechem. — Nie zechcą czekać w nieskończoność z wysadzaniem nas w powietrze. Kosztowaliśmy ich już zbyt drogo.

Thea spojrzała w dal i powiedziała:

— Trzeba wzniecić pożar, prawda? Blisko filarów, ale nie za blisko — wskazała na umoczone w nafcie strzepy koca. W duchu błagała Evana, by zapewnił ją, że jeszcze mają szansę. Widząc rozpacz w jego oczach odwróciła się, przygotowała strzałę i rzekła cicho: — To ich świat, Evan, nie nasz, i to oni ustalili reguły. Dostosujemy się do nich — i tyle.

— Zaczekaj chwilę, pomogę ci.

Pierwsze dwa ogniste pociski nie spełniły zadania, ale trzeci odpędził napastników. Krzaki zaczęły płonąć równym, apatycznym płomieniem.

— Teraz chwycił — powiedział Evan widząc, jak zarośla zaczynają się palić. — Ogień zatrzymał ich na chwilę.

Spojrzał uważnie w dół.

— Gdzie Mackley? To jego musimy dostać.

— Chyba nad jeziorem, między rannymi.

Jeziro było prawie okrągłe — tylko jeden wydłużony koniec naprzeciw Cathedral Rock nadawał mu łezkowaty kształt.

— Jeżeli się postaram, powinnam wpędzić ich do wody — powiedziała Thea jak w transie. Odłożyła kuszę i podniosła sztucer. — Jeszcze tylko jedenaście naboju i koniec.

Evan spojrzał na swój winchester.

— W porządku — rzekł, czując zapach palących się krzaków. — Wpakujemy wszystko, co mamy, w rannych i głazy za nimi. Tak szybko jak się da. Strzelaj do wszystkiego, co się rusza. Byle tylko wpędzić ich w wodę.

— A jeśli się nie uda?

— Musi się udać — odparł.

Policzył do trzech i otworzyli ogień, patrząc jak ranni — o ile byli w stanie — próbują odpełznąć. Zepchnęli ich na stromy stok i już po chwili usłyszeli rozpaczliwy krzyk. Pierwszy Pirat wpadł do wody i natychmiast został zaatakowany przez odrażające stawonogi. Pozostali napastnicy rzucili się na pomoc, próbując ocalić rannych przed stoczeniem się do jeziora. Kiedy Thea i Evan przerwali ogień, tylko trzech Piratów stało na własnych nogach. Z furją zaczęli ostrzeliwać stację, wybijając wielkie dziury w ścianach i podłodze kulami magnum. Strzelanina trwała dłuższą chwilę i kiedy się skończyła, prawe ramię Thei wisiało bezwładnie wzdłuż ciała, a z głębokiej rany płynął strumień krwi. Evan przestał strzelać i zabandażował jej ramię, marszcząc brwi na widok szybko nasiąkającego opatrunku. Zwróciła ku niemu bladą, zszokowaną twarz, próbując rozproszyć jego obawy.

— Szkoda, że nie jestem leworęczna, jak ty — szepnęła.

— Nic nie szkodzi — powiedział Evan. Zmarszczki na jego czole zmieniły się w głębokie, pionowe bruzdy. Podniósł dubeltówkę i znów zaczął strzelać.

Dym płonących krzaków wypełnił stację, utrudniając oddychanie i zasłaniając wszystko. Kule sypały się teraz rzadziej i wkrótce strzelanina ucichła. W dole usłyszeli wołanie:

— Montague! Montague, słyszysz mnie? Tu Mackley.

Po chrapliwym, rwącym się głosie Thea poznała, że jednak trafiła go na początku bitwy, najwidoczniej był ciężko ranny.

— Wciąż jesteś cholernie dobry, Montague! Zabiłeś wielu moich ludzi — ciągnął, kładąc nacisk na słowo „moich” — ale nie wytrzymasz tu długo. Zabraknie ci żywności i wody, Montague! Dziś, jutro, za parę dni, wrócimy tu i dokończymy robotę. Nad Tahoe jest nas więcej, Montague. Jesteś trupem!

— Wróć, Mackley, a znów oberwiesz... — Evan urwał. — Jeżeli ja jestem trupem, to ty też! — dorzucił.

— Kiedyś będziesz musiał stąd wyjść! — krzyknął cichnący, rwący się głos.

— Nie martw się, Mackley!

Cała ta rozmowa nie była niczym więcej jak przechwałkami bez pokrycia, o czym obaj doskonale wiedzieli, ale pozwoliła Mackleyowi wydać rozkaz do odwrotu bez utraty twarzy.

— Co jest? — zapytała Thea po kilku minutach. Tylko trzask palących się zarośli przerwał dzwoniącą w uszach ciszę. — Odchodzą?

— Na razie tak. Mackley jest ranny i potrzebuje czasu na przegrupowanie i ściągnięcie posiłków. Odłożył dubeltówkę i podszedł do Thei. Pomógł jej przejść po nachylonej podłodze i delikatnie posadził ją na łóżku.

— Thea? Jak ciężko jesteś ranna? Powiedz prawdę.

— Dość ciężko — przyznała. — Kości są całe, ale coś jest niedobrze. Czuję się do niczego. Z trudem skupiła wzrok na jego twarzy.

— Dlaczego pytasz?

— Jeszcze dziś pójdziemy dalej. Jak tylko ta hołota się stąd wyniesie, spakujemy się i idziemy. Przygotuję ci miejsce na sankach.

W jej oczach znów pokazał się strach.

— Nie możemy zejść nad jezioro, Evan.

— Nie. Nie zejdziemy na dół. Pójdziemy górą. Ogień zatrze ślady i przez jakiś czas nie będą mogli nas ścigać. Jednak będzie bardzo ciężko. Szczególnie tobie, Thea. Jeżeli jesteś zbyt ciężko ranna, by cię można ruszać, to zostaniemy... — odwrócił twarz i dokończył — ...ale wtedy nie mamy żadnych szans.

Wiedziała, że mówi prawdę i to dodało jej sił.

— Jeżeli mocno owiniesz to gazą — wskazała na bandażę spowijającą jej ramię — to sądzę, że będę mogła iść. Niezbyt daleko, ale zawsze trochę.

— W porządku. Owinę ci ramię. Za kilka godzin musimy iść. Kiedy w końcu udało mu się spuścić sanki, Theę, i siebie na dół za pomocą znajdującego w schowku z farbami bosmańskiego krzeselka, Evan czuł obezwładniające zmęczenie. Poczerniałą od ognia ziemię zaścielały trupy

Piratów, którym nie udało się uciec. Noc wolno zasłaniała wszystko swym czarnym, miękkim całunem. Niżej po powierzchni jeziora pływały zwłoki pokryte już lepкими pasmami rozsnuwanymi przez kłapiące szczękami wodne pająki.

Tak dobrze byłoby pozostać na stacji i zasnąć, licząc, że słońce obudzi ich przed powrotem Piratów. Evan przez dłuższą chwilę przygotowywał się do czekającej ich drogi, z powiązanych rzemieni sporządził uprząż do ciągnięcia sanek, które okazały się cięższe, niż przypuszczał. Z niewielką pomocą Thei założył uprząż i zaczął ciągnąć. Zniknął w mroku nocy razem z sankami i kroczącą chwiejnie obok nich Theą.

XI

Świtało już, gdy Thea stwierdziła, że są ścigani. Wciąż trzymała się na nogach, maszerując mechanicznie, nawet jękiem nie zdradzając przeszywającego ją przy każdym kroku bólu.

Od czasu do czasu oglądała się za siebie. Na jej twarzy wyraz wytężonej uwagi mieszał się z cierpieniem. W końcu powiedziała:

— Idą za nami.

— Ludzie Mackleya? — spytał Evan, dysząc ciężko. Rana w udzie otworzyła się godzinę wcześniej i teraz krwawiła uporczywie, odbierając resztki sił.

— Nie. Psy.

Jakby na potwierdzenie jej słów, po zboczu przeleciało głucho, stłumione przez odległość wycie.

— Cholera! — Evan zatrzymał się, nadal napierając piersią na uprząż. Już dawno minęli linię pożaru i przeciąganie sanek przez splątany gąszcz krzaków pochłaniało całą jego energię.

— Nie ma tu żadnego drzewa — stwierdziła, rozglądając się wokół. — I nie sądzę, żebyśmy zdołali uciec przed stadem. Nie na tym terenie i nie z sankami.

— Za cholere — zgodził się, wkładając dłonie w uprząż, by ulżyć obolałym ramionom. — A linia ognia? Daleko za nami?

— Na północy. Wciąż się pali. Niezbyt mocno. Dym gęstnieje — Thea zmarszczyła brwi. — Chyba ten preparat, którym spryskiwali las, powstrzymuje ogień.

Ujądanie stało się głośniejsze i bliższe.

— Evan...

— Co? — warknął. Bolała go noga i głowa, a gardło miał wyschnięte jak pieprz. Wiedział, że przegrał i czuł w ustach gorzki jak żółć smak klęski.

— Czy nie możemy odwrócić sanek? Zmieścimy się pod nimi, prawda? A na wierzchu ułożymy nasze rzeczy... Nie dostaną nas, no nie? Nie potrafią przecież...

Już miał coś ostro odpowiedzieć, gdy dotarła do niego logika jej rozumowania.

— Masz rację — zgodził się. — To powinno nas ocalić. Musi się udać.

Wyplątał się z upręży i zaczął wyładowywać pakunki, układając je wokół sanek. W końcu ułożył wszystkie i przygotował się do przewrócenia sanek na bok i wpełznięcia pod nie. Wycie dolatywało z coraz mniejszej odległości.

— Siadaj — wskazał Thei kupę tobołków, i kiedy usłuchała, ustawił nad nią sanie. — Będzie dość ciasno — rzekł, wpełzając pod nie i przyciskając się do Thei.

— Ale bezpiecznie — powiedziała, wiedząc, że tylko to się liczy. I tak zasnęli wtuleni w siebie, podczas gdy wokół warczały i wyły psy, przyciskając nosy do kratkowanych boków sań.

Kiedy się obudzili, psów nie było i padał deszcz. Zbliżało się południe. Ziemia stała się wilgotna. Thea próbowała się rozprostować w ciasnej przestrzeni i stwierdziła, że nie może. Ramię bolało ją w jakiś dziwny, oderwany od świadomości sposób, jakby należało do kogoś innego. Myślenie przychodziło jej z trudem i świat zdawał się kołysać.

— Pada? — zapytał Evan, próbując zebrać myśli. W całym ciele czuł paraliżujący ból, a zregenerowane ramię zesztyniało mu zupełnie. Noga pulsowała przy każdym ruchu, piekąc żywym ogniem w miejscu, gdzie przeorała ją kula.

— Pada — potwierdziła, bezskutecznie próbując się wyprostować i powstrzymać krzyk, gdy osunęła się przy tym na prawy bok. — Chyba potrzebowałam odpoczynku bardziej, niż mi się zdawało. Co za upał — urwała z westchnieniem, znów czując przeszywający ból.

Niezgrabnie wyciągnął rękę i położył na jej czole.

— O Boże, Thea! Jesteś rozpalona!

— Nie musisz się tak przejmować — odparła. — Czuję się świetnie. Jestem tylko trochę obolała.

— Masz gorączkę, Thea, i muszę obejrzyć twoje ramię. Zaczął podnosić sanie, ale powstrzymała go.

— Jesteś pewien, że psy odeszły?

Bała się i nie mogła powstrzymać dreszczy.

— Odeszły — zapewnił ją i przewrócił sanie.

Ze złachmanionego, szarego nieba padały brudne krople deszczu. Wiatr przelatywał po wyżynie, wicherząc krzaki i ochładzając powietrze. Evan sięgnął po brezent i rozpaczliwie wolno zaczął montować prowizoryczny namiot.

— Co robisz? — zapytała Thea, próbując wypełznąć spod plandeki.

— Rozbijam obóz — odparł, mocując się z węzłami.

— Ale po co? Ja mogę iść. Nie musisz tego robić. Do zmroku możemy przejść jeszcze kilka mil.

Nie chcąc się z nią spierać, ani okazywać swego lęku, powiedział:

— Może ty, ale nie ja. Sanie są ciężkie, a mnie boli noga. Wreszcie udało mu się przywiązać brezent do krawędzi sań.

Pozostało tylko obciążyć drugi koniec plandeki. Rozejrzał się za kamieniami i znalazł kilka odpowiednich, którymi przycisnął rogi. Wiedział, że to niewiele, ale nie był w stanie zrobić nic więcej. Później wrócił do Thei. Przykucnął ostrożnie i wpełznął do namiotu.

— Mocno pada? — Thea spojrzała na niego zbyt szeroko otwartymi oczami, błyszczącymi z gorączki. Twarz miała suchą i zaczerwienioną.

— Niezbyt. Nie wygląda na burzę — odrzekł, znów dotykając jej czoła. — Daj obejrzyć ramię. Muszę ci chociaż zmienić opatrunek — nalegał, łagodnie popychając ją na kupę tobołków.

— Och, myślę, że wszystko w porządku. Nie trudź się — powiedziała sennie.

— Rozśmieszasz mnie, Thea — rzekł stanowczo. W jego oczach pojawił się stalowy błysk. Z westchnieniem poddała się zabiegom. Nie protestowała, gdy zaczął odwijać bandaż, lecz kiedy je zdjął zupełnie, jej twarz ściągnęła się. Syknęła przez zaciśnięte zęby i zupełnie straciła resztki pewności siebie.

Zobaczywszy ranę, Evan zagryzł wargi. Obnażone tkanki miały brzydką, czerwoną barwę, a ciało wokół nich było zaczerwienione. Pospiesznie przetrząsnął zawartość ich skromnej apteczki i jeszcze gwałtowniej zaczął szukać opatrunków, odnajdując je wreszcie pod

skrzynką z żywnością. Na jednym z hermetycznie zapakowanych pakietów znalazł informację:

„Środek gojący do stosowania miejscowego na rany czyste. W przypadku zakażenia lub gorączki należy zasięgnąć porady lekarza”.

Evan powstrzymał gorzki śmiech i rozdarł torebkę, po czym posypał proszkiem ranę i jej okolice. Miał nadzieję, że lekarstwo jest jeszcze na tyle mocne, by zahamować zakażenie. Później znowu owinął ramię Thei resztkami czystego bandaża.

— Teraz daj mi obejrzeć twoją nogę — zażądała, kiedy skończył. — Ja ci pozwoliłam opatrzyć moje ramię.

Evan zrozumiał, że Thea wie, jak niebezpieczna jest jej rana i żartem pokrywa strach. Ściągnąwszy spodnie pokazał jej długą, poszarpaną bruzdę na udzie.

— Tylko zadrapanie — powiedział. Boli jak diabli, ale to nic poważnego. Posmaruję to czymś, jeśli chcesz. Na wszelki wypadek.

I tak miał zamiar to zrobić.

— Już nie krwawi — oznajmiła, zerknąwszy na nogę, z trudem skupiała na niej wzrok.

Dotyk jej suchych, gorących palców sprawił, że pomyślał o termometrze, ale nie mieli żadnego. Jedyne, jaki udało im się znaleźć w czasie wspólnej wędrówki, był rozbity.

— Tu jest jakaś maść — powiedział podając jej tubkę. — Możesz mnie posmarować. Zaczekał, aż odkręci zakrętkę i niezręcznie wycisnie białą maść na ranę.

— Przepraszam — powiedziała. — Zdaje się, że niezbyt dobrze to robię...

Skończywszy, znów osunęła się na tobołki, dysząc ciężko. Niewielki wysiłek wyczerpał resztki jej energii. Błyszczące oczy patrzyły niewidzącym spojrzeniem na Evana. W końcu udało jej się zebrać myśli. Spojrzała na niego marszcząc brwi.

— Evan — powiedziała powoli i wyraźnie. — Zdaje się, że naprawdę jestem ranna. Naprawdę.

Tej nocy leżała spokojnie, mimo że nie zasnęła głęboko i dręczyły ją niepokojące majaki. Jednak nie budziła się i nie krzyczała, a nad ranem gorączka wydawała się opadać. Evan umościł jej poślanie na sankach i ruszył na południe, ciągnąc je za sobą. Zacinający z zachodu deszcz zwalniał marsz przez skalistą wyżynę. Górskie jeziora przybrały ciemnoszarą barwę, taką samą jak Tahoe, gdy chmury oddały ziemi swój ładunek skażeń. Pod koniec trzeciego dnia, kiedy zbliżali się do Echo Summit, deszcz ustał, ukazując efektowny zachód słońca: błyszczącego, jaskrawozielonego, otoczonego złotą aureolą. Przez cały czas wulkan na północy nie milkł ani na chwilę. Pusta, wypalona ziemia ciągnęła się aż po horyzont, Evan dostrzegł poszarpane blanki szczytów Sierra Nevada — granitowy kręgosłup najwyższej grani. Wiedział, że gdzieś tam muszą znaleźć jakieś schronienie. Rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć mapy oglądane w Squaw Valley. Z pewnością dobrze je zapamiętał — studiował je dokładnie! Rozbijając na noc prowizoryczny namiot, przypominał sobie wszystkie szczegóły, które wtedy wydawały się tak mało istotne.

— Evan — odezwała się Thea, gdy ułożył ją pod brezentowym dachem. — Pić mi się chce. Mam gorączkę. Coś źle ze mną.

Popatrzył na rozpaloną od gorączki twarz i odgarnął jej krótkie włosy z czoła.

— Wiem, Thea.

Pragnął ją chwycić w ramiona, uleczyć siłą woli, lecz zamiast tego zajął się okropną, konieczną pracą — oczyszczaniem jej rany. Tym razem, myślał z ulgą, zakażenie nie postępowało. Jednak nie cofnęło się także. Rana miała wciąż brzydki wygląd i Thea jęknęła, gdy dotknęło jej zimne powietrze. Evan obmacał ramię najdelikatniej jak umiał, obawiając się, że zakażenie mogło pójść głębiej. Thea krzyknęła z bólu i uczyniła słabą próbę wydarcia się z jego rąk.

— Leż, Thea. Daj mi skończyć. Muszę oczyścić ranę. To ci pomoże, zobaczysz.

Uciszyła się trochę, wtulona w zagłębienie jego ramienia, chociaż wzdragała się przy każdym dotknięciu i jęczała cicho, gdy owiazywał ją

czystym bandażem. Miał nadzieję, że raaa wkrótce zaczną się goić. Nie mieli już więcej gazy i prawie skończyły mu się podarte koszule.

W nocy gorączka wzrosła i następnego dnia nie próbował ruszać dalej. Thea leżała w namiocie okryta kocami, a on przemywał jej twarz czystą wodą z szybko kurczących się zapasów.

— Co to? — krzyknęła, gdy nagle zatrzęsa się ziemia. Evan nie spał i poderwał się natychmiast. W przeczuciu nieszczęścia wyczołgał się z namiotu i spojrzął na północ. Niebo zasnuwała nowa, jeszcze większa chmura dymu, czarnego i połyskliwego. Thea płakała cichutko, kiedy do niej wrócił. Szczęki miała kurczowo zaciśnięte i nerwowo uderzała lewą ręką o ziemię, jakby chciała powstrzymać wstrząsy. Na widok wracającego Evana próbowała uciec, szamocząc się w spowijających ją kocach i śpiworze. Chciała nawet uderzyć go w twarz, lecz jej ciosy były słabe, niewiele silniejsze od klepnięcia.

Delikatnie chwycił ją za rękę, mówiąc cichym, spokojnym głosem:

— Thea. Thea. To ja, Evan. Evan, Thea. Evan.

Z wolna przestała się szarpać i na jej twarzy pojawił się cień zrozumienia.

— Och, Evan — powiedziała. — Co to było? Śniło mi się? Ziemia się ruszała. Tak, ruszała się.

— Nie śniło ci się — z trudnością znajdował słowa. — Wulkan eksplodował — rzekł, gładząc jej dłoń. — Chyba zupełnie się rozpadł.

Próbowała się skupić na tym, co do niej mówi, z oszołomieniem wpatrując się w jego wargi. Widok jej sprawiał mu większy ból niż rozszarpane udo.

— To źle.. Zdaje się, że mówiłeś... to źle.

— Tak, to źle — pochylił się, by ucałować jej rękę i poczuł pod wargami rozpaloną, suchą skórę. — Przepraszam, Thea. Wiem, że nie powinniśmy, ale musimy iść. Tu przez jakiś czas nie będzie bezpiecznie.

Usiłowała wstać.

— Pomogę ci przy pakowaniu — zaczęła i upadła z jękiem. — Nie mogę... nie mogę... Dlaczego?

Otulił ją delikatnie i zaczął przygotowywać sanie do drogi. Bał się śliskich zboczy, a jeszcze bardziej tego, że mrozy mogą nadejść prędzej, niż się spodziewał.

Kiedy pokonali rumowisko Echo Summit, Thea już majaczyła. Dwa dni później, zupełnie przypadkowo, Evan odnalazł drogę do jeziora Kirkwood. Było już prawie ciemno, tylko zorza na zachodzie świeciła słabym, niebieskozielonym blaskiem. Nawierzchni, po której Evan kroczył od kilku godzin, nie naprawiano od przeszło dwudziestu lat. Wskutek trzęsienia ziemi popękała na nierówne kawały. Evan wybrał ją tylko dlatego, że żaden pojazd Piratów nie mógł wtedy przejechać. Sanie ciążyły mu nieznośnie i wlokąc je za sobą zataczał się jak pijany. Brak jedzenia i snu wycisnął na nim okrutne piętno. Nie był w stanie myśleć rozsądnie, czasami zawodził go wzrok i miał wrażenie, że za chwilę wszystkie mięśnie poodrywają mu się od ścięgien i kości.

Nagle odkrył drugą drogę odchodzącą w prawo: kiepski, asfaltowy pas, wiodący z boczem góry do wtulonej w granitowy masyw Sierra kotliny. Evan przystanął i tępo, bezmyślnie spojrzął przed siebie. Wiedział, że muszą znaleźć schronienie. Ta myśl z trudem przedarła się przez spowijającą umysł gęstą mgłę. Muszą znaleźć schronienie. Tu jest inna droga.

Ostatecznie zdecydował, że w najgorszym razie mogą wpaść w pułapkę. To go już nie martwiło. Słaniając się na nogach, zwłókł sanki z niszczonej autostrady na starą, boczną drogę.

Niewielkie jezioro miało kształt litery L, nad nim stało parę domów campingowych, ruiny ośrodka i wypożyczalni sprzętu oraz sklep spożywczy. W bladym świetle księżycy Evan dojrzał kilka budynków na drugim brzegu i — rzecz zdumiewająca — trzy czy cztery drzewa owocowe z wyschniętymi jabłkami wciąż jeszcze wiszącymi na powykręcanych gałęziach.

— Chcę do domu. Chcę do domu — nalegała Thea dziecinnym głosem.— Kogo obchodzi nawijanie starego pana Thompsona o przetrwaniu? Chcę do domu.

Evan odwrócił się do niej, bezradny, wykończony i zły.

— W porządku, Thea — zaskrzeczał, ledwo mogąc mówić ze zmęczenia — jesteśmy w domu. Potoczyła wokół oszołomionym spojrzeniem.

— Nie. To nie tu. Dom. Camminsky Creek. Nie wie pan, gdzie to jest? Proszę pana... — jej twarz straciła wszelki wyraz i po policzkach popłynęły łzy. — Ja też nie wiem. Zgubiłam się. Proszę mi pomóc... Zgubiłam się...

Słowa utonęły w szlochu. Zirytowany Evan skierował się do pierwszego domku, jaki miał jeszcze dach. Unoszący się w środku zapach i ślady na zapadniętej podłodze wskazywały, że do niedawna zamieszkiwały tu zwierzęta. Jednak to i tak lepsze niż dalszy marsz w gęstym deszczu, ciągnięcie sanek z Theą i słuchanie jej majaczeń.

Zostawiając sanie na zewnątrz pobieżnie zbadał domek i stwierdziwszy, że jest w znośnym stanie, rozejrzał się za światłem. W kuchni znalazł kilka świec i ustawił je w pokojach.

Wiewiórki i inne małe gryzonie zniszczyły większość mebli, lecz piec, chociaż trochę zardzewiał, był wciąż dobry, a jego komin nietknięty. Evan zdecydował, że dom nadaje się na nocleg.

Ostatnimi siłami wciągnął sanki do środka i z trudem zamknął drzwi. Wyciągnął konserwę i garnek, po czym zataczając się, ruszył do kuchni, by rozpaść w piecu. Musiał coś zjeść. Potrzebował czegoś gorącego. Potem, jak się wysuszy, zatroszczy się o Theę.

Obudził się rano, siedząc za kuchennym stołem, z głową przy talerzu z nie dojedzoną kolacją. Przez chwilę zdawało mu się, że jest znów w Squaw Valley, a reszta była tylko nieprzyjemnym snem. Później dotknął uda i znalazł obolałe miejsce, gdzie przeorała je kula.

— Thea — powiedział głośno, podnosząc się na nogi i potrząsając głową, by usunąć ślady snu. Podeszedł do zlewu, ale krany nie działały i woda nie popłynęła. Klnąc zawrócił i potykając się poszedł do pokoju, czując zimny strach podchodzący do gardła. — Thea...

Sanki stały tak, jak je zostawił, a Thea leżała na nich. Jej bladą, spokojną twarz obramowały wilgotne kosmyki czarnych, przyprószonych siwizną włosów. Nie widać było na niej śladu bólu

dreńczęcego ją przez ostatnie dni. Popękane wargi uśmiechały się dziwnym półuśmiechem, jakby kryły jakąś tajemnicę. Jedna ręka zwisała bezwładnie ku ziemi.

— Wielki Boże — szepnął Evan. Nie zważając na nabiegające do oczu łzy, rzucił się do niej i chwyciwszy drobną dłoń, przycisnął ją do warg, tłumiąc szloch.

Ręka była zimna i dopiero po chwili zrozumiał, że nie jest zeszywniała. Nagle szczupłe palce zacisnęły się lekko na jego dłoni i słaby głos powiedział:

— Evan... pozwól mi... zostać...

Niemal dławiąc się z ulgi chwycił ją w ramiona i oparł czoło na jej piersi. Poczul w niej życie. Nie wstydził się łez. Podnosząc oczy, po raz pierwszy zobaczył jej uśmiech. Delikatna, chłodna dłoń dotknęła jego włosów.

— Naprawdę cię kocham, Evan — powiedziała. Leżąc w jego ramionach zamknęła oczy i zasnęła.

Na drugi dzień znaleźli większy, bezpieczniejszy dom na drugim brzegu jeziora. Instalacje uległy zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi, ale budynek był cały i cieplejszy niż poprzedni. Najlepszy nad jeziorem Kirkwood.

Mimo jej protestów, Evan zaniósł Theę do nowego domu, mówiąc, że jeszcze nie całkiem wydobrzała i nie może się przemieszczać. Już prawie ją utracił i nie miał zamiaru ryzykować tego ponownie. Pieczołowicie umieścił ją w największym łóżku, jakie widziała w życiu i owinął czterema warstwami koców.

— Przecież byłeś ranny w nogę — przypomniała sobie, kiedy wreszcie skończył. — Postrzelili cię, prawda? W udo?

— Zadrapanie — machnął ręką. — Tak bardzo... bardzo mnie przestraszyłaś, Thea — powiedział załamującym się głosem.

— Ale wyszłam z tego. Żyję. Nie doceniałeś mnie, Evan.

Poprawiła przykrycie i obserwowała, jak krząta się po pokoju. Opisał jej zawartość szaf i komód. Kończąc dodał:

— Znalazłem jeszcze coś: trzy kufry ubrań. Mamy szczęście.

— A co z żywnością? Też dopisało nam szczęście?

Wiedziała, że od chwili, gdy opuściła ją gorączka, są na zmniejszonych racjach, a mroźne powietrze świadczyło, iż nie zdążą wyhodować żadnych warzyw przed zimą.

— Oczywiście, przeszukałem sklep — zaczął wymijająco — i trochę znalazłem w domkach. W większości konserwy, nieco suszonych owoców.

— Ale? — zapytała, patrząc na niego poważnie. Zastanowił się na moment, nie wiedząc, co jej odpowiedzieć, próbując ocenić, czy jest już na tyle zdrowa, by znieść prawdę. Spostrzegła to i powiedziała:

— Nie jestem dzieckiem, Evan. Jeżeli mamy kłopoty, mam prawo wiedzieć o wszystkim. Skinął głową.

— W porządku: mamy kłopoty. Straciliśmy większość naszych zapasów. Nie pytaj mnie, jak. Stało się i tyle. Jest tu co nieco do jedzenia, ale niewiele. Za mało, żeby wystarczyło na całą zimę.

— Zdaje się, że zima będzie długa — popatrzyła na niego spokojnie.

— Możliwe — zgodził się. — Możemy zastawiać sidła i wciąż jeszcze mamy kusze, więc możemy polować. Znalazłem tu parę strzelb i gdybyśmy chcieli, możemy zrobić inne kusze.

— Chcesz powiedzieć, że będziemy polować, ale możemy nie znaleźć żadnej zwierzyny? — przekręciła się na bok, by go lepiej widzieć.

— Tak. Tak myślę. Chciałaś wiedzieć.

W pokoju zapadła cisza. Po chwili Thea zapytała:

— Myślisz, że zdążymy coś zasiać? Możemy zrobić szklarnię, albo coś podobnego? Mamy szkło i drzewo.

— Możemy spróbować. Jeżeli nie teraz, to na wiosnę — w jego słowach brzmiała fałszywa nuta. bo mówiąc to wyglądał przez okno i widział śnieg na szczycie Ui zadający mu kłam. Thea pokiwała głową.

— Rozumiem. Zrobię, co będę mogła.

Nie wspomniała słowem o dręczącym ją niepokojem, pogłębiającym się z każdym dniem. Zranione ramię goiło się wprawdzie, ale wciąż nie odzyskała w nim czucia i siły.

Pierwszy śnieg spadł wcześniej, drobny puszek niesiony październikowym wiatrem. Obsypał szczyty i przez jeden dzień zalegał w dolince, po czym stopniał. Jednak zostawił po sobie lęk i niepewność. Jego śladem miała przyjść zima, zima zabarwiona płomieniami wulkanu i śmiercionośnym deszczem zabijającym odrastające na spalonej glebie zarośla. Po każdym deszczowym dniu liście na krzakach marszczyły się i usychały, a nieliczne żyjące w gąszczu zwierzęta ginęły razem z nim.

Evan znalazł kilka torebek z nasionami, dawno przedatowanymi, lecz Thea przyjęła to z zadowoleniem, wybierając jesienne odmiany brukselki, cebuli i kalafiora. Wytyczyła grządki i niewprawnymi rękami zasiała warzywa, otaczając je taflami szkła, by osłonić przed deszczem i mrozem. Gorliwie opiekowała się swym niezbyt obiecującym ogródkiem. Jej wysiłki zostały wynagrodzone, cieniutkie kiełki niechętnie wyjrzały z ziemi, obudziły nadzieję, po czym pożółkły, skręciły się i uschły.

Może są zbyt stare — pocieszał ją Evan, budując barykadę z bali u wejścia do dolinki. — Ich okres ważności skończył się w latach dziewięćdziesiątych, ponad piętnaście lat temu.

— Ale innych nie mamy — Thea nie poddawała się. — Chyba jeszcze raz skopię ziemię i zobaczę, czy nie uda mi się zrobić lepszej osłony.

— Jeżeli chcesz... Tu są inne torebki. Może masz rację i coś wyrośnie.

Taktownie nie pytał jej o rękę. Wiedział, jak dokucza jej przedłużająca się rekonwalescencja.

— Muszę spróbować, Evan. Zrobię prawdziwą szklarnię i wtedy zobaczymy.

— Dobrze.

Mówiąc to, zastanawiał się, o ile zmniejszyć dzienne racje żywności.

Następny śnieg utrzymał się dłużej, ścinając mrozem jezioro, oziębając i tak chłodne górskie powietrze. Nocami słyhać było trzask lodu i wycie stada psów ginących w lesie z głodu. Na drogach nie słyszeli ryku silników, nie widzieli śladów opon.

Evan i Thea zjedli twarde, małe jabłka rosnące na drzewach, zajadając się nimi jak największym przysmakiem, nie zważając na to, że były kwaśne i mało soczyste. W końcu owoce się skończyły i głód stał się

jeszcze gorszy. Nie znaleźli ani szczawiu, ani rzeżuchy, ani płożących się pędów jeżyn, ani dzikich porzeczek czy winogron. Jeżeli nawet w jeziorze były kiedyś ryby, teraz nie została ani jedna, a z każdym dniem robiło się zimniej.

Pewnej nocy, gdy śnieg spadł po raz trzeci, Thea obróciła się do leżącego obok, drzemiącego Evana:

— Evan?

— Hmm?

— Co się z nami stanie? Czy nie możemy iść na południe? Moglibyśmy przecież zejść z gór na pustynię. Jeżeli tu jest za zimno, może tam będzie cieplej. Moglibyśmy coś wyhodować. Sam mówiłeś, że tu robi się coraz zimniej.

— Moglibyśmy pójść na południe — zgodził się ociężale, dotykając palcami poróżwiałej blizny na jej piersi. Uśmiechnął się z rozbawieniem. — Cokolwiek to jest, szybko regeneruje tkanki.

— Wiem. Mój ojciec mówił, że dzieci z wrodzonymi wadami i regeneracja to części tej samej zagadki, powiązane ze sobą. Uważał, że ich przyczyną jest wirus.

Wróciła do swojego pytania.

— Dlaczego nie pójdziemy, Evan? Na pustynię?

— Nie ma po co, kochanie, bo jeżeli tu pada zatruty deszcz, to deszcz, który pada tam i gdzie indziej, jest taki sam.

Wbił oczy w sufit i myślał o białym, niosącym śmierć śniegu, sypiącym cicho i bezgłośnie. Pociągnęła go za brodę — prawie zupełnie siwą.

— A czy jedno z nas, czy ty sam, mógłbyś przetrwać tu zimę?

— Przestań gadać głupstwa — rzekł, obejmując ją ramieniem.

— Nie, Evan, muszę to wiedzieć. Westchnął ciężko.

— Dobrze. Czy jedno z nas mogłoby przetrwać zimę na naszych zapasach? Nie wiem. To nie ma znaczenia. Lepiej mi tu z tobą niż samemu na pustyni, czy w jakimkolwiek innym miejscu.

Poruszyła się niespokojnie. Przysuwając się bliżej, powiedziała:

— Evan, obiecaj, że zastanowisz się nad pustynią. Proszę. Może tam będzie lepiej.

— Dobrze, pomyślę o tym — obiecał, lecz zapomniał o tym, gdy tylko zamknął oczy.

O pierwszym brzasku odwrócił się na bok i jego wyciągnięte ramię znalazło puste miejsce. Zdziwiony, ale nie zaniepokojony, pomacał pościel i stwierdził, że jest zimne. Wszedł z łóżka na zimny, poranny chłód. Thea często wstawiała wcześniej, by sprawdzić wiecznie puste potrzebki lub przynieść chrustu na podpałkę. Jednak tym razem nie było jej zbyt długo, jeżeli sądzić po zimnych prześcieradłach. Ubrał się szybko i wyszedł z sypialni, wołając głośno Theę. Nikt nie odpowiadał.

Zdumiony, wciągnął buty i wyszedł na zewnątrz. Po niebie przepływały ciężkie chmury, niosąc swój mroźny ładunek, zapowiadając nowe opady śniegu z nadejściem nocy. Patrząc na białą ziemię, dostrzegł ślady ciągnące się od domu, przez barykadę, do autostrady. W nagłym przypływie strachu skoczył do środka. Plecak Thei zniknął. Nagłe Evan przypomniał sobie wszystko, co mówiła wieczorem, że jedno z nich miałyby szansę przeżyć zimę. Jedno, nie dwoje. Zaciśnął pięści i przeklął swoją bezmyślność. Ślepiec, głupi ślepiec! Porwał jedną z zapasowych kusz i cisnął nią w okno, śmiejąc się jak szaleniec, gdy szyba pękła z trzaskiem.

W godzinę później skończył pakowanie i bez żalu zamknął za sobą drzwi. Ruszył zwawo po śladach odcisniętych w świeżym śniegu.

Pierwsze porywy nadciągającej zamieci ciskały już białymi płatkami, kiedy wreszcie dostrzegł w oddali sylwetkę Thei. Było to późnym popołudniem, niedaleko Tragedy Spring. Mozolnie posuwała się naprzód, około pół mili przed nim. Szła z opuszczoną głową, jakby niezmiernie strudzona, jakby nogi nie chciały jej nieść dalej.

— Thea! — krzyknął, przykładając ręce do ust i widząc, jak para oddechu unosi się w powietrzu pełnym sypiących z nieba płatków.

Zawahała się, lecz nie stanęła.

— Thea!

Tym razem zatrzymała się.

Przyspieszył kroku i po kilku minutach dotarł do niej. Chwycił ją za ramię i odwrócił brutalnie.

— Co ty wyprawiasz, do wszystkich diabłów?! — potrząsnął nią.

— Co?

Nie patrzyła mu w oczy.

— Czemu za mną poszedłeś? Czemu nie zostałeś? — podniosła wzrok. — Chcę, żebyś żył, Evan. Spójrz na mnie. Jestem jałowa jak ta ziemia. Jestem zużyta. Rękę mam prawie bezwładną. Nic mi już nie pozostało.

— Nic nie pozostało? Cholera, ja zostałem! — wrzasnął wściekle, jakby przez chwilę odezwał się w nim dawny Pirat. — Nigdy więcej tak nie mów! Kto teraz chce mieć dzieci? Thea, mam to, czego chciałem, i nie potrzebuję niczego więcej!

Delikatnie pogłaskała go po twarzy.

— Wracaj. Proszę, wracaj.

— Bez ciebie — nie.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Ja nie wrócę.

— Dobrze — powiedział, biorąc ją za rękę. — Idź, gdzie chcesz, a ja pójdę z tobą.

Chciała się uśmiechnąć, ale próba skończyła się żalonym niepowodzeniem.

— Może nie ma gdzie iść.

— Może — przytaknął.

Przez chwilę stali w milczeniu wśród nasilającego się wiatru. Później Thea znów odwróciła się i mocno trzymając Evana za rękę, poprowadziła go na południe, w góry, a podążająca za nimi zamieć zasypywała śniegiem ich ślady — jakby ich nigdy nie było.

Spis treści

[I](#)
[II](#)
[III](#)
[IV](#)
[V](#)
[VI](#)
[VII](#)
[VIII](#)
[IX](#)
[X](#)
[XI](#)